

NUMER 900

www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 14 (900)
3-9.04.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Sadowski:
Polska ułomnej
demokracji

Amb. Nowak:
Czas dyletantów
w dyplomacji

Jak PRL wygrała
z NRD wojnę
o porty

MINISTER KOLEJKA



Konstanty Radziwiłł

ISSN 1509-3115 Indeks: 353299
14 >
9 771509 311706

23.

WIOSNA FILMOW

bilety

10

PLN



Festiwal Filmowy
2-9 kwietnia
WARSZAWA

KINO PRAHA
ul. Jagiellońska 26

www.wiosnafilmow.pl •  / [wiosnafilmow](https://www.facebook.com/wiosnafilmow)

CYTATY

**GEN. DYW. W ST. SPOCZ.
PIOTR MAKAREWICZ**

Każda partia, która dochodziła do władzy, chciała mieć „swoje wojsko” dowodzone przez „swoich ludzi”.
„Polska The Times”

AMOS OZ, PISARZ

Polityka stała się częścią showbiznesu. Ludzie nie wybierają już najlepszego kandydata, tylko najzabawniejszego.
„Forum” (za „Der Spiegel”)

**MAŁGORZATA SZEJNERT,
REPORTERKA**

Dziennikarze mają dziś zbyt mało zaufania do czytelnika. Podejrzewają, że szybko się nudzi i lubi mieć najważniejsze informacje podane na tacy.
„Tygodnik Powszechny”

**AGATA DUDA-GRACZ,
REŻYSERKA**

Wrzeszczący reżyser to idiotyczna figura. Drą się... nieudacznicy.
„Twój Styl”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Kłamstwa Tuska

Dawno nie słyszałem tak beczelnego kłamstwa. I to przy okazji fety urodzinowej traktatów rzymskich. Przed szefami państw Unii Europejskiej stanął Donald Tusk i przedstawił swoją wizję historii Gdańska. „W 1945 r. Hitler i Stalin zniszczyli moje rodzinne miasto w ciągu kilku dni. Zostało doszczętnie spalone”. Jakież to proste! Dwóch tyranów w równym stopniu odpowiada za to, że Gdańsk został spalony. Tusk może oczywiście cierpieć na amnezję w sprawach zbrodni niemieckich popełnionych na Polakach w czasie II wojny światowej. To jednak nie amnezja. Tusk ma swój osobisty interes w tym, by zapomnieć, a przynajmniej publicznie nie przypominać, że nie Hitler zajął Gdańsk, ale państwo niemieckie przy aplauzie zdecydowanej większości swoich obywateli dla polityki *Drang nach Osten*.

W Gdańsku żyje jeszcze wiele rodzin, które straciły bliskich, zamordowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej. Żyją też byli więźniowie obozów koncentracyjnych, których machina niemiecka nie zdążyła zabić. Żyją rodziny, których członkowie walczyli, bo musieli, w mundurach Wehrmachtu i innych rodzajów wojsk niemieckich. Podobna jest historia całego Pomorza, Warmii, Mazur i Śląska. Tusk z wykształcenia jest historykiem. I pewnie to wszystko wie. Ale z przekonania i charakteru jest politykiem nieszczerze przywiązany do faktów. Wiele razy wygłaszał poglądy, które dziś określa się jako postprawdę, a w moim pokoleniu nazywano kłamstwem, fałszem czy brednią.

Decyzję o odbudowie gdańskiej Starówki, podobnie jak warszawskiej – i wcześniej o odbudowie całej Warszawy – podejmowali politycy PRL, wspierani przez wielu architektów, konserwatorów zabytków i historyków, którzy po wojnie wybrali drogę odbudowy kraju, a nie skrytobójczych mordów.

Politycy słuchający w Rzymie wystąpienia Tuska mają prawo przypuszczać, że zrujnowany Gdańsk dotrwał w takim stanie do czasów Solidarności, która to miasto odbudowała. Tak historię Polski opisują politycy PO i PiS. Aż żal, że w 2005 r. nie powstał rząd PO-PiS, bo przecież to, co ci politycy mówią o przeszłości Polski, jest jak jedna melodia. Fałszywa i prymitywna.

Reakcji na to, co mówi Tusk, nie ma. Ci, którym jeszcze się chce protestować, milczą, bo uznają, że polityka PiS jest jeszcze gorsza i warto ścierpieć brednie Tuska w imię odsunięcia od władzy Kaczyńskiego.

Nie widzę w tym głębszego sensu. Od 12 lat ćwiczmy na zmianę jakieś warianty PO-PiS. Jak nie oportuniści, to cynicy. I Tusk powołujący się na idee Solidarności, a niepotrafiący docenić wysiłku milionów ludzi, którym wszystko zawdzięcza. Jeśli coś po tej ekipie zostanie, to długi do zapłacenia.

BĄKOWSKI

900

900 numerów w 18 lat to niezły wynik! 61 206 zadrukowanych stron. A ilu autorów? Na naszych łamach pisali nieżyjący już: Stanisław Lem, Aleksander Małachowski, prof. Zofia Kuratowska, prof. Franciszek Ryśka, Krzysztof Teodor Toeplitz, prof. Tadeusz Zieliński, Piotr Kuncewicz, Andrzej Drawicz, Wojciech Giełżyński, prof. Tadeusz Kowalik. Drukowaliśmy wiersze przysyłane przez Tadeusza Różewicza.

Teksty w PRZEGLĄDZIE publikowali m.in.: prof. Andrzej Walicki, prof. Grzegorz W. Kołodko, Anna Tatar-kiewicz, prof. Jan Widacki, prof. Leokadia Oręziak, Krzysztof Daukszewicz.

Występowaliśmy w obronie gen. Jaruzelskiego, Ossolineum, PIW, Domu Księgarza. Wypowiadaliśmy się przeciwko fałszowaniu historii...

900 numerów za nami. Do 1000 jeszcze dwa lata, podobnie jak do wyborów parlamentarnych. Łatwiej będzie wytrwać z PRZEGLĄDEM.



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Minister kolejka**
Chora reforma Radziwiłła
- 14 Dyplomaci i dyletanci**
– rozmowa z Jerzym Marią Nowakiem
- 32 Historia chłopów wyklętych**
– rozmowa z dr. Michałem Rauszerem

ZAGRANICA

- 20 Kandydat zdolniacha**
Kim jest Emmanuel Macron
- 23 Być kobietą w Turcji**
Turczynki bez ochrony przed przemocą
- 26 Argentyńczycy mówią: sprawdzam**
O polityce od lat decyduje ulica

OPINIE

- 28 Zdzisław Sadowski**
O demokracji ułomnej

KULTURA

- 36 Kandydaci na ekrany**
Polskie losy warte sfilmowania
- 40 Kolejność dziobania**
– rozmowa z Joanną Kossak
- 44 Culturalia**
- 66 Neoromantycy wobec natury**

HISTORIA

- 46 Saddam na celowniku**
Św. Tomasz uzasadnieniem zabójstwa dyktatora
- 48 Wojna o porty**
Konflikt morski NRD-Polska

EKOLOGIA

- 49 Wody jest za mało i będzie mniej**
Już dziś to problem setek milionów

OBSERWACJE

- 50 Taktyczny majstersztyk na pięknej górze**
Adam Bielecki o zdobyciu Gaszerbrumu I
- 58 Życie niecodzienne**
Sony World Photography Awards

REPORTAŻ

- 54 Niewolnicy głodu**
Majowie walczą o godne życie

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Kłamstwa Tuska
- 18 Bronisław Łagowski**
Sprawa Krońskiego
- 31 Tomasz Jastrun**
Wszystko jak najgorzej
- 39 Edward Mikołajczyk**
Paramarcza może potrwać



KANDYDAT ZDOLNIACHA

Kim jest Emmanuel Macron

20
ZAGRANICA



58
OBSERWACJE

ŻYCIE NIECODZIENNE

Sony World Photography Awards



NIEWOLNICY GŁODU

Majowie walczą o godne życie

54
REPORTAŻ

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Adam Chelstowski/Forum



W OBRONIE PRAWDY

Kolejne media niemieckie stosują haniebne określenie „polskie obozy zagłady”. Stowarzyszenie Patria Nostra odpowie procesami. Jeszcze nie zakończył się niemiecki etap wykonywania wyroku w sprawie Karola Tendery przeciw telewizji ZDF, a już szykują się następne procesy za używanie określenia „polskie obozy zagłady” – przeciw telewizji SWR i radiu B5aktuell. Niemiecka telewizja publiczna SWR opublikowała 21 marca na swojej stronie artykuł związany z 75. rocznicą pierwszej deportacji Żydów z Moguncji, gdzie czytamy: „(...) 25 marca 1942 r. przyjechał do getta w Piaskach koło Lublina w Polsce specjalny pociąg kolei Rzeszy z ponad 1 tys. Żydów.

Kilka tygodni później ci, którzy jeszcze żyli, zostali przewiezieni do polskich obozów zagłady na Majdanku i w Sobiborze, gdzie zostali zamordowani”. Jeszcze dalej poszła publiczna bawarska stacja radiowa B5aktuell. W materiale z 23 marca, prezentującym książkę niemieckiego historyka Stephana Lehnstaedta „Sedno Holocaustu”, znalazło się następujące sformułowanie: „Historyk Stephan Lehnstaedt opisuje w swojej książce systematyczny, bestialsko i perfekcyjnie zorganizowany mechanizm morderstwa dokonanego w polskich obozach zagłady w Bełżcu, Sobiborze i Treblince”. Następnie stacja zmieniła to określenie na „niemieckie narodowosocjalistyczne obozy zagłady”, nie publikując przy tym ani informacji prostującej, ani przeprosin. Przeprosiny zamieściła telewizja SWR po interwencji dyplomatycznej. Są one jednak widoczne tylko dla osób, które przypadkowo ponownie otworzą artykuł.

Lech Obara, prezes Stowarzyszenia Patria Nostra

ZA TYDZIEŃ

PROF. ANDRZEJ SZAHAJ, filozof polityki

Kłamstwo i oszustwo są jak rak

JANINA OCHOJSKA

Kilka godzin w kolejce do studni

JERZY PILCH

Samotność pisarza, który boi się kotów

DIONISIOS STURIS

Jak Polacy serdecznie przyjęli uchodźców z Grecji



PO REFORMIE EDUKACJI BĘDZIE WSKAZYWANIE WINNYCH



Ponieważ ze strony MEN nie ma nawet pozorów starań jakiegos merytorycznego objaśnienia sensu zmian w systemie edukacji, można się domyślać, że nie one są głównym celem. Ale ten cel (założony lub niezakładany przez reformatorów) poznamy pewnie później. Na pewno zarządzanie chaosem wywołanym reformą będzie polegało na wskazywaniu winnych (czyli samorządów), ale spodziewałbym się też kolejnego rozkwitu szkół niepublicznych i wysysania kapitału kulturowego z publicznych podstawówek.

Michał Wójcowski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Siła grawitacji pokonana – Wenjing Sui i Cong Han z Chin, złoty medal w konkurencji par sportowych, Mistrzostwa Świata w Łyżwiarstwie Figurowym w Helsinkach.



www.sklep.mleczko.pl

www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Jaka opcja polityczna ma najsilniejsze zaplecze intelektualne?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI, socjolog, PAN

PO i Nowoczesna zwracały się do mnie o ekspertyzy, PiS – nie. Te moje doświadczenia rozpatruję pod kątem pewnych prawidłowości. Według mnie na zamawianie opracowań w większym stopniu nastawione są partie szukające u ekspertów odpowiedzi na pytania. Natomiast ugrupowaniom, które mają wyraźnie określony program czy ideologię, sprawiają one pewien kłopot. Ekspertci są na ogół krytyczni i albo trzeba będzie ustosunkować się do ich opinii, albo z punktu widzenia partii uzyskana wiedza będzie zupełnie niepotrzebna. Innymi słowy, partie, które widzą w ekspertach pewien kapitał, chętniej je zamawiają. Wynika to z przekonania, że nie zaszkodzi czegoś się nauczyć, nawet jeśli z tego nie będzie się korzystało. Dochodzą do tego względy wizerunkowe. Przypuszczam, że Nowoczesna czy PO liczą, że do wiadomości publicznej dotrze informacja, że korzystają z eksperckiej wiedzy, co podniesie ich rangę. Nie można też wykluczyć wpływu czynników osobowościowych. Na przykład trudno sobie wyobrazić, żeby Janusz Korwin-Mikke korzystał z ekspertów, gdyż ma zbyt silne przekonanie, że powinno być tak, a nie inaczej.

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG, politolog, UW

Zaplecze intelektualne definiuję tutaj jako ludzi mających wysokie kompetencje analityczne, których ma lub może mieć do dyspozycji partia polityczna. Dlatego już z definicji partia rządząca ma najsilniejsze zaplecze intelektualne. Po pierwsze, ma do dyspozycji specjalistów i ekspertów zatrudnionych w administracji rządowej. Po drugie, administracja rządowa może zlecać różne ekspertyzy na zewnątrz. Zaplecze intelektualne partii parlamentarnych, które nie wchodzi w skład rządu, jest potencjalnie silniejsze niż pozaparlamentarnych, gdyż mogą one korzystać z usług Biura Analiz Sejmowych. Finansowane z pieniędzy publicznych partie pozaparlamentarne mają więc najslabsze zaplecze intelektualne. Poza tymi

obiektywnymi wyznacznikami rozmiaru i jakości zaplecza ważne jest też podejście kierownictwa partii do analityków. Silniejsze zaplecze będą miały te formacje, których kierownictwo docenia znaczenie wiedzy naukowej i eksperckiej w polityce i w rządzeniu.

KAROLINA DULNIK, czytelniczka PRZEGLĄDU

Przyglądając się partii Razem, zaczynam nabierać przekonania, że właśnie oni. Mają najsilniejsze zaplecze nie tylko intelektualne, ale także kulturalne i komunikacyjne. Rozmawiają na zupełnie innym poziomie niż pozostali – merytorycznie, spokojnie, rzeczowo. To, co i jak mówią, buduje ich wiarygodność w moich oczach. Przyglądam się z zaciekawieniem, bo są najbliższymi tego, czego oczekuję od polityków (brudne słowo) czy działaczy.

FILIP PAZDERSKI, Instytut Spraw Publicznych

Poziom wykorzystania wiedzy eksperckiej w polskim życiu politycznym jest raczej niewielki. Dobrze obrazuje to fakt, że w 2014 r. partie uprawnione do otrzymywania dofinansowania z budżetu przeznaczały na fundusze eksperckie od 5 do 8% subwencji, czyli w okolicach ustawowo określonego obowiązkowego minimum, wynoszącego 5%. W 2015 r., czyli w roku wyborczym, było to tylko 5%. Wyjątek stanowiło PiS, które wydało 6%, można zatem powiedzieć, że ta partia w największym stopniu docenia znaczenie ekspertów. Wyróżnia się także pod względem inspirowania tworzenia organizacji pozarządowych, mających ją wspierać również w formie generowania wiedzy; w jakim stopniu z niej korzystała, to już inna kwestia. Warto również zadać sobie pytanie, jak pieniądze z funduszy eksperckich wpływają na propozycje programowe odpowiadające na potrzeby kraju. Mam wrażenie, że duża część tych środków jest wydawana raczej na badania wizerunkowe.

Not. Michał Sobczyk

MINISTER KOLEJKA

Pieniędzy w ochronie
zdrowia nie przybędzie,
obietnice
są bez pokrycia

Ewa Rogowska

Konstanty Radziwiłł jest ministrem małowównym i słabym. Że małowównym, to pewnie dobrze dla niego. Rzadko daje się nakłonić do udzielenia wywiadu w telewizji. Kiedy się zgodził, palnął, że on – jako lekarz rodzinny – nie przepisałby pigułki „dzień po” zgwałconej kobiecie, bo sumienie mu nie pozwala. A właśnie wtedy wprowadził przepis, że pigułka „dzień po” będzie na receptę. Minister zdrowia jest chyba najślabszym członkiem rządu. To może nie ma znaczenia dla niego, ale dla pacjentów bardzo wielkie. Bo minister nie był w stanie wywalczyć w budżecie większych środków na ochronę zdrowia. Mimo to opowiada, że dzięki niemu i jego ustawom znikną kolejki, a pacjentów czeka rajskie życie. Tymczasem jego rozwiązania sprawiają, że będzie trudniej się leczyć. Z chwytliwymi hasłami na ustach szykuje chorym los gorszy, niż mieli wcześniej.

1 PAŹDZIERNIKA

W cieniu kontrowersyjnych działań pani premier czy ministrów spraw zagranicznych, obrony narodowej i sprawiedliwości Konstanty Radziwiłł realizuje swoją reformę. Wprowadza w życie rewolucyjne zmiany. 23 marca Sejm przegłosował ustawę o systemie podstawowego szpitalnego zabezpieczenia świadczeń zdrowotnych, czyli o sieci szpitali. Poparli ją prawie wszyscy posłowie PiS (z wyjątkiem Andrzeja Sośnierza, który od początku krytykował takie rozwiązania), a także jeden poseł niezrzeszony i dwóch posłów partii Wolni i Solidarni. To dzięki nim i ministrowi zdrowia 1 października obudzimy się w nowej szpitalnej rzeczywistości. I może zdziwimy się, że



jakaś placówka w pobliżu przestanie funkcjonować. A potem, że szpital nie może nas przyjąć, bo środki na leczenie się wyczerpały.

W trybie ekspresowym 28 marca ustawą o sieci szpitali zajęła się senacka Komisja Zdrowia. A ponieważ za ustawą było dwa razy więcej postów niż przeciw, skierowano ją pod obrady Senatu i zapewne niebawem zostanie przegłosowana. Rząd i posłowie chcą, by prezydent jak najszybciej ją podpisał, tak aby

Minister chce, by na służbę zdrowia Polska przeznaczała 6% PKB. Tyle że... w 2025 r. A dlaczego nie w 2060? Wiadomo, że jak budżetowa koldra jest za krótka, to każdy resort ciągnie w swoją stronę i wygrywa ten, kto ma silniejszą pozycję. Konstanty Radziwiłł więcej pieniędzy na ochronę zdrowia nie dostał. Wydaje się więc, że jego pozycja jest słaba. Pod koniec stycznia pojawiły się nawet pogłoski, że na stanowisku ma go zastąpić prof. Bogdan Chazan.

Posł Andrzej Sośnierz: Co za diabeł podpowiedział ministrowi, żeby stworzyć taką sieć?

do końca czerwca była już gotowa lista szpitali, które znajdą się w sieci. Pracownicy Biura Analiz Sejmowych zwracali wprawdzie uwagę, że ustawa powinna wejść w życie najwcześniej 14 dni po ogłoszeniu, ale minister Radziwiłł utrzymuje, że ze względu na kalendarz prac musi wejść po siedmiu dniach.

Tymczasem eksperci – podobnie jak w przypadku oświaty – uważają, że przed tak ogromną reformą należałoby sprawdzić, jak to będzie działało. – Zmiany, które mają wejść w życie 1 października, są dramatyczne. Powinny być wprowadzane w dłuższym czasie – przestrzega dr Dobrawa Biadun, prawniczka, ekspert Konfederacji Lewiatan ds. zdrowia. – Rok temu powinny być ustawa i przepisy wykonawcze, a rok 2017 należało przeznaczyć na dostosowanie funkcjonowania systemu.

Nic z tych rzeczy. – Ta zmiana ma wejść bez programów pilotażowych – mówi prof. Dorota Karkowska z fundacji Instytut Praw Pacjenta i Edukacji Zdrowotnej.

CZTERY LATA W KOLEJCE

Minister Radziwiłł obiecał, że zwiększy się finansowanie służby zdrowia. W tej chwili z budżetu przeznaczają się na nią zaledwie ok. 4,5% PKB, czyli mniej więcej 80 mld zł, co stawia nas w ogonie państw rozwiniętych. Jak wynika z ostatniego raportu „Health at a Glance 2015” sporządzonego przez OECD, Polska zajmuje 36. miejsce wśród 44 państw. Jeszcze gorzej wyglądamy na tle Unii Europejskiej – z wydatkami 1259 euro na mieszkańca zajmujemy czwarte miejsce od końca.

Stąd może przyspieszenie prac nad nowymi regulacjami, by przed szefem partii wykazać się skutecznością.

Jak zauważa Maria Ochman, przewodnicząca Krajowego Sekretariatu Ochrony Zdrowia NSZZ Solidarność, w sprawie finansowania służby zdrowia nie wypowiedział się do tej pory minister finansów. Nie wiadomo zatem, czy w ogóle nakłady na służbę zdrowia będą rosły. Opowieści Konstantego Radziwiłła o większym finansowaniu służby zdrowia mogą się okazać tylko bajką.

Obiecuje on – podobnie jak wszyscy jego poprzednicy – skrócenie kolejek do lekarzy. Ale nie słysząc, by coś w tej sprawie się działo. Nie ma internetowej rejestracji do publicznych przychodni, nie ma kart magnetycznych, choć już pod koniec lat 90. poseł Sośnierz, jako dyrektor Śląskiej Regionalnej Kasy Chorych, takie rozwiązania wprowadził. – Wszystko robimy nie w tej kolejności – mówi dr Dobrawa Biadun. – Reformę służby zdrowia zaczyna się od najkosztowniejszego działu, czyli szpitalnictwa i opieki specjalistycznej, a nie od opieki podstawowej i profilaktyki.

Jedną z przyczyn kolejek jest zbyt mała liczba lekarzy. Pod tym względem zajmujemy ostatnie miejsce w Unii. Ilu mamy lekarzy na 1 tys. mieszkańców? Ten wskaźnik wynosi jedynie 2,3, podczas gdy unijna średnia to 3,5. A ponieważ ciągle następuje odpływ znakomicie wykształconych polskich lekarzy za granicę, może być jeszcze gorzej. Dr Biadun uprzedza: – Młodzi lekarze mówią, że 60% rocznika szykuje papiery do wyjazdu, bo nie chce pracować w tym bałaganie. W niektórych specjalnościach średni wiek lekarzy to 60 lat.

Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła, jak wyglądała w 2015 r. sytuacja kolejkowa na dziewięciu oddziałach szpitalnych i w dziewięciu poradniach specjalistycznych. Wnioski są szokujące, choć pewnie nie dla tych, którzy w jakiejś kolejce są zapisani. Na rehabilitację pacjenci musieli czekać 348 dni. W ośrodkach rehabilitacji dziennej – 91 dni. Na oddziale chirurgii urazowo-ortopedycznej w szpitalu czas oczekiwania wyniósł średnio 129 dni, w poradniach endokrynologicznych osteoporozy – 296 dni. Ale rekordowe są kolejki do wszczepienia endoprotezy stawu biodrowego, stawu kolanowego i operacji zaćmy – średnio oczekiwanie na te zabiegi przekraczało 1400 dni. A że zabiegi te dotyczą głównie osób starszych, przez te cztery lata wielu potrzebujących może ich nie doczekać. I kolejka w ten sposób się skróci. Czy o to chodzi?

ZNIKAJĄCE SZPITALE

Ustawa o sieci szpitali zdaniem ministra zdrowia ma spowodować cudowne uzdrowienie szpitalnictwa. Czy on sam w to wierzy? Większość ekspertów jednoznacznie ocenia, że po jej wprowadzeniu część placówek może zniknąć i jeszcze więcej chorych do najbliższego szpitala będzie miało 50 km albo i dalej.

– Uważam, że kryteria zakwalifikowania do sieci szpitali ustawiono w taki sposób, by w białych rękawiczkach wyeliminować z rynku szpitale prywatne – mówi poseł Andrzej Sośnierz. Od 2013 r. nie organizowano konkursów na usługi szpitalne finansowane z NFZ, umowy na te usługi były tylko aneksowane. Czyli żaden nowy szpital nie mógł dostać pieniędzy ze środków publicznych. Wiele nowych szpitali chciało mieć kontrakt na izbę przyjęć lub SOR i prosiło, by zorganizować konkurs. Odmawiano. A teraz nowa władza jako jedno z kryteriów znalezienia się w sieci przyjęła warunek, że przez co najmniej dwa lata trzeba było mieć umowę z NFZ na izbę przyjęć lub SOR. Czy minister Radziwiłł nie wiedział o tym, że wiele szpitali w ten sposób zostanie wyeliminowanych? Oczywiście musiał wiedzieć.

Aby znaleźć się w sieci, szpital musi mieć wiele oddziałów. Tego warunku nie spełniają szpitale specjalizujące się w jednej dziedzinie, nawet jeśli leczą na poziomie światowym. Z te- ▶

KONSTANTY RADZIWIŁŁ POWIEDZIAŁ:

Systemu ochrony zdrowia nie da się zreformować, jeśli nie dołoży się do niego pieniędzy. System, żeby funkcjonował sprawnie, musi być finansowany na wyższym poziomie i od tego jest uzależnione powodzenie reformy.

*

Polska ma nowoczesny system ochrony zdrowia. Niektórzy są jeszcze lepsi od nas, ale mają o wiele więcej pieniędzy. (...) Krok, który zrobiliśmy w 1999 r., wprowadzenie kas chorych, zapoczątkował wejście do nowoczesnych rozwiązań systemowych. Uważam, że utrzymywanie powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego jako systemu obowiązującego jest prawidłowe.

*

Wiadomo, że bez dodatkowych pieniędzy nie zapewnimy lepszej opieki medycznej. Wiemy też, że w obecnej sytuacji pacjent nie może spodziewać się równego dostępu do wszystkich świadczeń wykonanych w każdym standardzie.

Portal rf.gov.pl, 4.06.2008 r.

*

Moja rodzina to wyzwanie, ale i poczucie spełnienia oraz szczęścia. Mam nawet wrażenie, że nasza rodzina spotyka się z życzliwą zazdrością. Ludzie sobie o nas myślą, że jest może jakieś szaleństwo w posiadaniu ośmiorga dzieci, ale kiedy patrzą na naszą rodzinę, mówią: nieźle im to wychodzi. Z daleka widać, że są szczęśliwi.

Niedziela.pl, 2009 r.,
artykuł „Dyskryminacja rodziny”

*

Polityka prorodzinna ma sprzyjać temu, by ludzie chcieli mieć dzieci, a z tym mamy największy problem. Wydaje się, że ten niewielki odsetek osób, które uzyskają dziecko w procedurze in vitro, nie wpłynie na demografię w istotny sposób. (...) Kwestia najmniej fundamentalna, chociaż także ważna, to sprawa godności przyszłych rodziców. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że procedury in vitro bardzo mocno naruszają intymność, która normalnie towarzyszy rodzicom powołującym potomstwo do życia. Wieloma małżeństwami po tym zabiegu wstrząsnęło to bardzo głęboko. I bynajmniej nie przyczyniło się do scementowania ich związków. Druga kwestia wiąże się z samą procedurą: powstawanie człowieka w warunkach laboratoryjnych budzi sprzeciw.

„Rzeczpospolita”, 24.08.2013 r.

*

Mam wrażenie, że medialna wrzawa na niespotykaną skalę jest sztucznie napędzana. Grupa lekarzy złożyła na Jasnej Górze deklarację (wiary – przyp. red.) – do czego nikt ich nie zmuszał – i w tym dokumencie zadeklarowała, że są jej bliskie takie, a nie inne ideały. Każdy ma prawo do złożenia takiej deklaracji.

*

Jest absurdem twierdzenie, że ktoś nie ma prawa do wykonywania zawodu albo realizowania się w jakiejś specjalności tylko dlatego, że wyznaje określony światopogląd. Polska konstytucja, międzynarodowe paktów praw człowieka ratyfikowane przez Polskę, a także ogólne przyjęte zasady wykonywania zawodu lekarza każdemu gwarantują prawo do pozostawania w zgodzie ze swoim sumieniem, a także zakazują zmuszania go do działań, które są sprzeczne z jego przekonaniami.

Przyznawanie się do wyznawanego światopoglądu jest więc realizacją podstawowych praw obywatelskich, a odmawianie komukolwiek takiego prawa jest niebezpiecznym oraz karalnym naruszeniem prawa. I nie ma najmniejszego znaczenia, czy mówimy o lekarzach, czy o ludziach wykonujących jakikolwiek inny zawód.

„Do Rzeczy”, 12.06.2014 r.

*

Szpitalne onkologiczne popadły w jeszcze większe tarapaty niż dotychczas (z powodu pakietu onkologicznego – przyp. red.). To jest porażka. Są jakieś próby zmiany, ale to są próby naprawy rzeczy nienaprawialnych.

*

Kolejki, przerażenie pacjentów, którzy nie wiedzą, co z nimi będzie, kiedy dostaną się do lekarza, przerażenie ludzi, którzy cierpią, oczekując operacji już, a nie za pięć lat. To są fakty. Nie ma też sensownego planu. (...) PiS ma plan dotyczący służby zdrowia. W ciągu pięciu-sześciu lat musimy dojść do 6% PKB.

„Polityka przy kawie”, TVP Info, 8.10.2015 r.

*

Założenie, że 15-letnie dzieci będą odpowiedzialnie traktować kwestię prokreacji bez porady i udziału rodziców, jest absurdem (dotyczy pigułki Elle One, zwanej „dzień po” – przyp. red.). Według mnie stosowanie środków hormonalnych bez recepty jest niezrozumiałe, tym bardziej że pozostałe środki antykoncepcyjne są na receptę. Przyjrzyć się tej sprawie od strony prawnej, na pewno trzeba to zmienić.

*

Polska służba zdrowia nie jest w stanie terminalnym, lecz występuje w niej zjawisko daleko idącego nieuporządkowania. Jeden z głównych problemów to dążenie do jej urynkowania.

*

Szpitalne publiczne powołano, aby leczyć chorych. Gdy zostają zamienione w spółki, ich podstawowym celem staje się poprawianie wyniku finansowego.

*

Planuję, że jednym z pierwszych moich posunięć jako ministra będzie list do przedstawicieli wszystkich środowisk służby zdrowia z prośbą o przedstawienie koniecznych ich zdaniem zmian. Jednocześnie także deklaruję, że nie będą one wprowadzane z dnia na dzień, aby wszyscy, którzy będą je wdrażać, mogli się z nimi oswoić i do tego przygotować.

„Gość Niedzielny”, listopad 2015 r.

*

Ta sytuacja, w której czeka się kilka miesięcy, lat na wizytę u lekarza albo na operację, jest oczywiście zupełnie niedopuszczalna. Trzeba powiedzieć, że to wynika w dużej mierze rzeczywistości z niedofinansowania. Mam nadzieję, że już w tym roku to się uda osiągnąć.

Radio RMF FM, 30.04.2016 r.

*

Są ludzie, którzy zaczynają chodzić wokół mojej rodziny. Węszą w sposób, który jest paskudny, bym powiedział. (...) Na przykład dobierają się do mojej żony, która jest architektem i która wykonała kilka razy jakieś zamówienie dla izb lekarskich, projekty aranżacji wnętrz, i ktoś uznał, że to jest jakaś straszliwa patologia. Pewnie w taki sposób gdzieś to w jakimś momencie zostanie pokazane. To są bzdury. Nie mamy nic do ukrycia. Rzeczywiście moja żona ze swoim bratem ileś takich projektów wykonała, ale to nie są moje decyzje, to nie są środki publiczne.

Radio RMF FM, 30.04.2016 r.

*

Nie przepisałbym pigułki „dzień po” nawet zgwałconej kobiecie. To nie jest kwestia, czy ja uważam, że ten preparat powinien być dostępny czy nie. Natomiast jeśli pyta mnie pan jako lekarza, to nie przepisałbym. Skorzystałbym z klauzuli sumienia.

Radio Zet, TVN 24, 23.02.2017 r.

*

Dziś przewlekłe choroby zdecydowanie zbyt często korzystają z porad specjalistów, co zresztą bywa niekorzystne także dla ich zdrowia.

„Wprost”, 27.02.2017 r.

► go powodu do sieci mogą nie trafić Centrum Leczenia Oparzeń w Siemianowicach Śląskich, Małopolskie Centrum Oparzeniowo-Plastyczne w Krakowie, Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrzu, Śląskie Centrum Reumatologii, Wielkopolski Ośrodek Reumatologiczny w Śreńmie, Podkarpackie Centrum Interwencji Sercowo-Naczyniowych... Oczywiście

bo opieka specjalistyczna zostanie wtłoczona do szpitali. Do specjalisty będzie można trafić jedynie przez szpital albo lekarza POZ – zauważa dr Dobrawa Biadun. – Ale, co jest *novum*, lekarz POZ będzie miał określoną kwotę na świadczenia opieki specjalistycznej, tzw. budżet powierzony. Czy chodzi o to, żeby ludzie, których stać, korzystali z prywatnej służby

mentarnego PiS i sejmowej Komisji Zdrowia. – Co za diabeł podpowiedział ministrowi, żeby stworzyć taką sieć? Moim zdaniem dla pacjenta nie ma z tego żadnego pożytku. Żałuję, że w ochronie zdrowia od dawna nie rządzą rozum i wiedza.

POLICZEK DLA KOBIET

Na początku marca Konstanty Radziwiłł powołał do zespołu opracowującego nowe standardy opieki nad rodzającymi prof. Bogdana Chazana.

Minister zdrowia przerzucił odpowiedzialność za kolejki do specjalistów na lekarzy POZ i szpitale.

szpital może prosić o potraktowanie w sposób szczególny ze względu na znaczenie dla pacjentów, ale minister zdrowia do tej prośby nie musi się przychylić.

– Ta ustawa wytnie z rynku istniejące już szpitale powiatowe – twierdzi dr Dobrawa Biadun. – Jeżeli mówi się, że jedynie 9% kwoty na szpitalnictwo pójdzie na konkurs, to jak te kwoty rozdysponować, jeśli np. psychiatria jest poza siecią i będzie brała z tej puli?

Szpital, które znajdują się w sieci, mają otrzymywać ryczałt. Pieniądze dostaną z góry i oczywiście będą musiały leczyć, ale efektywność nie będzie specjalnie ważna. Byle pacjent nie umarł z powodu zabiegu albo nie został okaleczony. Cztery lata spokojnego funkcjonowania, bo następna lista zakwalifikowanych do sieci ma zostać stworzona dopiero w 2021 r.

– Obawiamy się m.in., czy ryczałt dla szpitali zakwalifikowanych do sieci nie spowoduje, że będą unikały skomplikowanych i drogich procedur – mówi prof. Dorota Karkowska z Instytutu Praw Pacjenta i Edukacji Zdrowotnej.

Konstanty Radziwiłł głosi, że jego propozycje mają być niebywale korzystne dla chorych. Pacjent nie tylko łatwiej dostanie się do szpitala, ale na dodatek po wyjściu z niego zostanie objęty opieką przyszpitalnej przychodni i będzie się rehabilitował w przyszpitalnym zakładzie rehabilitacyjnym. Minister nie wspomina, że przy okazji padną małe przychodnie specjalistyczne, co będzie dotkliwie szczególnie dla mieszkańców mniejszych miejscowości. Będą musieli podróżować do przychodni przyszpitalnej, często daleko od domu.

– Pan minister mówi, że nie będzie kolejek do specjalistów. Być może,

Kolejki, aby zapisać się do specjalisty na następny rok, ustawiają się już późną jesienią.



zdrowia? Minister, nie wiedząc, co zrobić z kolejkami, w sprytny sposób przerzucił odpowiedzialność na lekarzy POZ i lekarzy w szpitalach.

– PiS mówiło w kampanii wyborczej o sieci szpitali, ale sądziłem, że mają być wyłonięte szpitale o spe-

60% młodych lekarzy szykuje papiery do wyjazdu, bo nie chce pracować w tym bałaganie.

cialnym znaczeniu, najważniejsze w kraju, które będą traktowane w jakiś szczególny sposób, np. będą mogły otrzymać dodatkowe pieniądze na sprzęt – mówi poseł Sośnierz, bezpartyjny, członek klubu parla-

– To dla pacjentek policzek – komentują organizacje broniące praw kobiet. W 2014 r. prof. Chazan jako dyrektor Szpitala Specjalistycznego im. Świętej Rodziny w Warszawie odmówił wykonania w jego placówce zabiegu legalnej terminacji ciąży w 25. tygodniu, mimo że płód był uszkodzony w znacznym stopniu i nie było żadnych szans, by dziecko było zdolne do życia. Powołał się na klauzulę sumienia, chociaż jedynie lekarz prowadzący ma do tego prawo, a dyrektor szpitala nie. Na dodatek nie wskazał pacjentce, gdzie mogłaby uzyskać pomoc. Dziecko zmarło po 10 dniach od urodzenia...

Po tym incydencie prezydent Warszawy odwołała Chazana ze stanowiska dyrektora publicznego szpitala. Obecny minister zdrowia stał wtedy ►

► z żoną pod szpitalem, by odwoływanego wesprzeć duchowo. Teraz powołaniem do zespołu wsparł go też finansowo. Środowiska kobiece obawiają się, że nowe standardy opieki okołoporodowej zostaną opracowane na podstawie wskazań ideologicznych, a nie medycznych. W rezultacie może nastąpić pogorszenie opieki na oddziałach położniczych.

Powołując prof. Chazana, minister znów pokazał kobietom gest Kozakie-

wicza. Po raz pierwszy zrobił to, gdy stwierdził, że nie przepisałby pigułki „dzień po” zgwałconej kobiecie, bo klauzula sumienia mu na to nie pozwala. Dlatego 8 marca w Warszawie kobiety szły z hasłami: „Radziwiłł precz, idź się leczyć!”, „Za Radziwiłła będziemy rodzić jak chłopki pańszczyźniane”, „Chcemy zdrowia, nie zdrowasiek”, „Chcemy lekarzy, nie misjonarzy”, „Antykoncepcja to prawo każdej kobiety”, „Moje prawa nie

są na receptę, tabletki awaryjnej nie oddamy” i „Oprócz macic mamy mózgi”.

Bo tak jak Andrzej Duda nie jest prezydentem wszystkich Polaków, tak Konstanty Radziwiłł nie jest ministrem wszystkich chorych. I klauzula sumienia nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli minister i lekarze, których ona ogranicza, nie chcą przeżywać rozterek, należy pozostawić pigułkę „dzień po” bez recepty. Proste? Proste.

SZPITALA NIE DLA PACJENTÓW

DR N. MED. MACIEJ HAMANKIEWICZ,
prezes Naczelnej Rady Lekarskiej

Naczelna Rada Lekarska oceniła negatywnie projekt ustawy o sieci szpitali i od miesięcy nie zmieniliśmy zdania. Uważamy, że nowe przepisy spowodują likwidację niejednego szpitala i oddziału. Negatywnie oceniliśmy rozwiązania dotyczące podporządkowania szpitalom nocnej i świątecznej opieki zdrowotnej.

Jestem lekarzem od 40 lat. Pracuję w szpitalu i wiem, jak wygląda codzienność na izbie przyjęć, na oddziale, w poradni przyszpitalnej. I podkreślam tam, gdzie mogę, że rozwiązania, które wprowadza ustawa o sieci szpitali, są niekorzystne dla pacjentów.

Ze stu kilkunastu szpitali na Śląsku w sieci znajdzie się nieco ponad połowa. Wiele szpitali jednooddziałowych, których nie uwzględniono w nowym systemie, to placówki bardzo dobre. Na przykład mamy świetnie rozwiniętą kardiologię, a szpitale kardiologiczne nie zostały w sieci uwzględnione. Pan minister negatywnie ocenia placówki, które mają po kilka łóżek. Ja uważam, że to niewłaściwa ocena, bo część z nich jest wysokospecjalistyczna. Szpitale zaczęły się łączyć, żeby spełniać nowe wymagania.

Moim zdaniem jeśli szpital nie znajdzie się w sieci, straci szansę na dofinansowanie ze środków publicznych. Co ma wtedy zrobić? Może przejść tylko na przyjmowanie pacjentów prywatnie.

Początkowo sieć szpitali miała funkcjonować od 1 czerwca. Na szczęście odłożono to do 1 października. Wiemy jednak, że najpierw powinien być przeprowadzony pilotaż. Z niepokojem myślę o tym, czy za dwa lata nie czeka nas kolejna reforma. Pan minister mówi o zwiększeniu nakładów na służbę zdrowia do 6% PKB. Powinien powiedzieć, że bez 6% PKB w ogóle nie powinno się podejmować kierowania resortem. Nikt nie ma możliwości zapewnienia społeczeństwu właściwej opieki zdrowotnej przy tak niskich nakładach.

Minister Radziwiłł zapowiedział, że od 1 stycznia zostanie zlikwidowany NFZ. Moim zdaniem będą to ci sami ludzie, tylko inaczej zgrupowani.

Przez wiele lat pan minister i ja współpracowaliśmy w Naczelnej Radzie Lekarskiej. Przez dwie kadencje on był prezesem, a potem, kiedy ja zostałem prezesem, on był wiceprezesem, a przez rok sekretarzem. Teraz, jako minister, nadal jest członkiem NRL. Nie ma zakazu działania w samorządzie lekarskim. Zresztą trzeba przyznać, że udało mu się przeprowadzić bardzo ważną dla lekarzy i postulowaną przez samorząd kwestię przywrócenia stażu podyplomowego. Ale widać, że w przypadku sieci szpitali wpadł w pułapkę, bo przygotował ustawę, a Naczelna Rada Lekarska oceniła ją negatywnie. Poza tym Krajowy Zjazd Lekarzy zobowiązał NRL do działania w tym kierunku, żeby system opieki zdrowotnej opierał się na ubezpieczeniach. A pan minister uważa, że powinno być finansowanie z budżetu. My od lat twierdziliśmy, że w Polsce, w naszych warunkach, system oparty na budżecie, i to lichym, w zakresie zdrowia nie jest dobrym pomysłem.

Każdy widzi, że ochrona zdrowia wymaga zmian. Ale już 13 maja ub.r., kiedy pan minister po raz pierwszy przedstawił na Krajowym Zjeździe Lekarzy plan reform, mówiliśmy, że to nie jest dobra droga. Tylko że tego samego dnia dowiedzieliśmy się, że Konstanty Radziwiłł wstąpił do partii politycznej, dał więc czytelny sygnał, że będzie reprezentował kierunek obrany przez partię, a nie przez samorząd.

Konstanty Radziwiłł chce, by Polska na służbę zdrowia przeznaczała 6% PKB. Tyle że... w 2025 r.

Pod koniec marca Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji przygotowała projekt nowych wycen. W ginekologii i położnictwie zredukowano je nawet o 70%. Ginekolodzy wystosowali do ministra zdrowia list, w którym piszą: „Zmiana finansowania może spowodować spadek jakości, co byłoby katastrofą i może doprowadzić do śmierci wielu dzieci i kobiet”.

ZAKUSY NA KARETKI

Minister Konstanty Radziwiłł, chociaż był właścicielem przychodni w Warszawie (teraz należy ona do jego syna Karola), ma chyba alergię na prywatną służbę zdrowia, która nie jest jego. Już w ubiegłym roku pojawił się w resorcie pomysł znacjonalizowania prywatnych firm świadczących usługi ratownictwa medycznego. Bo – zdaniem ministra – prywatny podmiot działa po to, by zarabiać, czyli do budżet przeznaczony na ochronę zdrowia Polaków. Okazało się jednak, że nacjonalizacja nie jest taka łatwa. Bo np. firma Falck, która świadczy usługi w ramach ogólnopolskiego systemu ratownictwa medycznego, jest własnością duńskiej spółki. Po znacjonalizowaniu państwo polskie musiałoby Duńczykom zapłacić odszkodowanie, gdyż działalność gospodarczą na terytorium innego państwa unijnego regulują prawa Unii Europejskiej.

Falck ma w tej chwili 66 stacji pogotowia ratunkowego, które funkcjonują w niedużych miastach w kilku województwach, trzy dyspozytornie, 87 zespołów ratownictwa medycznego, dwie karetki wodne, 500 lekarzy



Konstanty Radziwiłł w czasie protestu służby zdrowia w maju 2006 r.

taktu wypisała mu bezpłatną receptę, farmaceutka w aptece ją zrealizowała. Po czym NFZ zażądał od lekarki zwrotu pieniędzy. Okazuje się, że lek, który został stworzony dla osób cierpiących na arytmieję, nie jest dla nich bezpłatny. Refunduje się go chorym na zakrzepicę żył. Brawo, panie ministrze!

W Polsce żyje ok. 2,7 mln osób powyżej 75 lat. W budżecie na rok 2017 przewidziano na bezpłatne leki 564,3 mln zł. Na jednego chorego seniora wypada rocznie 209 zł, 17 zł miesięcznie. Szafu nie ma. Ale czy warto się przejmować suwerenem w tym przedziale wiekowym? Czy taki człowiek zagwarantuje, że dożyje do następnych wyborów?

NIBY-LAURKA

Minister Konstanty Radziwiłł może nie jest najgorszym ministrem zdrowia w historii III RP, ale znajduje się w niechlubnej czołówce. Za to na pewno jest ministrem najbardziej sklerikalizowanym. Zasiadanie na ministerialnym stołku, na dodatek w resorcie zajmującym się tak delikatną materią jak zdrowie – gdzie jednym zdaniem daje się zakamufłowaną wykładnię, jak postępować z chorymi – wymaga nie tylko wiedzy, ale także taktu, rozsądku,

i 1000 ratowników. Poza tą firmą w polskim systemie ratownictwa funkcjonuje też wiele innych firm prywatnych. Czy ktoś w Ministerstwie Zdrowia zastanowił się, jaki los czeka pacjentów, kiedy z dnia na dzień przestaną one ratować ludzi? Czy tak ma wyglądać – zdaniem ministra zdrowia – lepsza opieka nad chorymi?

SENIOR DO ODSTRZAŁU

Wbrew szlachetnym zapowiedziom ofiarami działań ministra Radziwiłła staną się również seniorzy. Centrum Geriatryczne im. Jana Pawła II w Katowicach ma niewielkie szanse na zakwalifikowanie się do sieci szpitali. Minister nie widzi zresztą powodów, by starzy ludzie mieli jakąś taryfę specjalną w leczeniu. „Problem opieki geriatrycznej powinien być rozwiązywany raczej przez stworzenie możliwości konsultacji geriatrycznej na oddziałach internistycznych i specjalistycznych (hospitalizujących znaczny odsetek osób w podeszłym wieku) aniżeli w drodze tworzenia odrębnych oddziałów geriatrycznych” – tak re-

Jesteśmy na ostatnim miejscu w Unii pod względem liczby lekarzy przypadających na 1 tys. pacjentów.

sort uzasadnił odrzucenie dosłownie wszystkich uwag zgłoszonych podczas konsultacji publicznych w sprawie opieki geriatrycznej.

Odpowiednikiem programu 500+ w resorcie zdrowia miały być darmowe leki dla pacjentów powyżej 75. roku życia. To jedno wielkie oszustwo wyborcze i niespełniona obietnica – uważają oburzeni seniorzy. Do mediów i internetu trafiają ich listy. Piszą oni, że ich rachunki za lekarstwa zmniejszyły się raptem o kilka złotych miesięcznie, bo za darmo przysługują im najtańsze leki albo tylko jeden, za który wcześniej płacili 3 zł. Pan X po przebytym zawałe codziennie przyjmuje dziewięć leków. Tylko jeden – najtańszy – może otrzymać za darmo. Ojciec pani Z leczy się na arytmieję serca i musi brać lek przeciwzakrzepowy. Ucieszył się, że specyfik znalazł się na liście leków bezpłatnych dla seniorów, bo kuracja kosztuje go 150 zł miesięcznie. Lekarka pierwszego kon-

szerokich horyzontów, otwartości na poglądy innych i szanowania wartości, które inni wyznają.

Czy o działalności pana ministra można powiedzieć coś pozytywnego? Owszem. Że jednak postawił się Kościołowi. Kuria zakonu bonifratrów, prowadząca Szpital św. Józefa w Mikołowie, zaproponowała w czasie publicznej debaty nad siecią szpitali taki wpis do ustawy: „Do systemu zabezpieczenia dyrektor oddziału wojewódzkiego Funduszu po uzyskaniu pozytywnej opinii ministra właściwego do spraw zdrowia kwalifikuje świadczeniodawcę, będącego kościelną osobą prawną lub osobą prawną założoną przez taką osobę, który realizuje działalność służącą celom charytatywno-opiekuńczym, pomimo braku spełnienia warunków, o których mowa w ust. 3”. Kuria otrzymała od ministerstwa odpowiedź: „Uwaga niezasadna”.

Ewa Rogowska

DYPLOMACI I DYLETANCI

Słabi w Unii, słabi w NATO, Amerykanie patrzą na nas nieufnie.
Polska dyplomacja to katastrofa

Rozmawia Robert Walenciak

Eurokorpus – Polska redukuje tam swoją obecność, nie chce być państwem ramowym, tylko stowarzyszonym. Co to oznacza?

– To oznacza, że Polska wycofuje się z ważnej instytucji, która jest nakierowana na przyszłość, na tworzenie w przyszłości armii europejskiej, jakiegoś zbrojnego ramienia Wspólnoty Europejskiej. Eurokorpus nie ma na koncie wielkich akcji, może z wyjątkiem operacji pokojowej w Kosowie, nie ma swojej armii, swoich sił zbrojnych. Ma natomiast rozbudowaną kwaterę główną pod Strasburgiem, tam jest nieustanne planowanie, szkolenie na użytek Unii Europejskiej, teraz i w przyszłości. Polska ma tam niewielu oficerów, ok. 120. Kosztuje to też niewiele, ale stanowi symbol polityczny. Wycofanie się z tej struktury, będącej załącznikiem armii europejskiej, jest dla Polski bardzo niekorzystne, z punktu widzenia zarówno naszej pozycji w kwestii obronności Unii Europejskiej, czyli wspólnej polityki obronnej, jak również NATO.

POLEXIT KROK PO KROKU

Dlaczego niekorzystne?

– To kolejny sygnał skierowany do państw Unii – że wycofujemy się z wszystkich działań o charakterze przyszłościowym, rezygnujemy ze współdziałania, i to w momencie Brexitu. Nawet jeśli zostawimy w Eurokorpusie kilku oficerów i przyjmimy formułę państwa stowarzyszonego, nie zatrze to złego wrażenia.

Które można określić: nie jesteście wami zainteresowani...

– W tej sytuacji oni także nie będą nami zainteresowani. Błędem jest też zupełnie niedyplomatyczna forma wyjścia, niestety, typowa dla obecnej formacji rządzącej w Polsce.



JERZY MARIA NOWAK

– był dyplomata z 50-letnim stażem, m.in. ambasador przy NATO, obecnie profesor Akademii Finansów i Biznesu Vistula i wiceprezes Stowarzyszenia Euro-Atlantyckiego.

Polega ona na nieprzewidywalnych, zaskakujących ruchach, na braku profesjonalizmu. Te dwie cechy są najniebezpieczniejsze, a zostały tu zaprezentowane z takim rąbnięciem w stół.

Z przytupem, żeby każdy usłyszał i zapamiętał.

– Polska nikomu nie wytłumaczyła, dlaczego wychodzi, jakimi motywami się kieruje. Złożono tylko oświadczenie, że wycofujemy oficerów i rezygnujemy z bycia państwem ra-

mowym. Zrobiło to okropne wrażenie. Że jesteśmy nieprofesjonalni, że nie można z nami załatwiać żadnych spraw. Rezultat będzie taki, że zaczną nas obchodzić, nie będą się nas radzić. Potraktują jak dziwaka, nieprzewidywalnego i nieprofesjonalnego, w gruncie rzeczy – niepotrzebnego. A do tego mogą dochodzić uzasadnione z ich punktu widzenia obawy, że od nas mogą iść przecieki gdzie indziej, np. na wschodnią stronę. **Przecież Polska prezentuje się jako kraj antyrosyjski!**

– A jednocześnie sam pan widzi, że ta werbalna antyrosyjskość nie przeszkadza w różnych działaniach zbliżających Polskę do modelu rosyjskiego. Mamy poza tym różne sygnały, że Rosjanie operują w Polsce bardzo swobodnie. Takie są obawy na Zachodzie, silne, może nawet przesadne, ale będą istnieć. W ten sposób w dziedzinie wspólnej polityki europejskiej bardzo się osłabiamy.

Ale chyba nie w sprawach NATO, będącego czymś innym niż Eurokorpus?

– Osłabienie Polski w NATO postępuje już od dość długiego czasu. Nie mamy tutaj takich funkcji, jakie potrafiły uzyskać Chorwacja czy inne, mniejsze od nas kraje. Nie ma Polaka pełniącego wysoką funkcję w cywilnym sekretariacie Sojuszu. A mieliśmy – Adam Kobieracki był zastępcą sekretarza generalnego NATO. Po jego wyjściu nie potrafiliśmy uzyskać podobnej pozycji. Nie mówię, że natychmiast, ale mija już osiem-dziewięć lat, jak nie mamy tam żadnego funkcjonariusza wysokiego szczebla, co jest absolutnie nie do przyjęcia, choćby z uwagi na nasz potencjał.

Jesteśmy siódmą-ósmą armią NATO.

– Za USA, Wielką Brytanią, Francją, Niemcami, Turcją, Hiszpanią, Włochami, może też Kanadą. A mieliśmy ambicje być w czołowej szóstce, jeżeli nie liczyć Turcji. Uczciwie trzeba powiedzieć, że niewiele bra-

kowało, byśmy w 2010 r. mieli wysokiego przedstawiciela wojskowego w sekretariacie Sojuszu Północnoatlantyckiego. Chodzi mi o gen. Gągora, który był świetny i który niestety zginął.

Nikt nie mógł go zastąpić?

– Nie mamy ludzi znających języki obce. Mimo że w Polsce generalnie poprawia się znajomość angielskie-

Patrząc na działania PiS, Zachód zastanawia się, o jakie interesy nam chodzi.

go, to jeśli chodzi o wojsko, choć formalnie sytuacja nie wygląda źle, jak zaczyna się rozmawiać – a rozmawiałem z wieloma dowódcami, generałami, oficerami średniego szczebla – praktyczna znajomość angielskiego na ogół nie jest zachwycająca, mówiąc bardzo delikatnie. Inny przykład – od listopada, czyli za chwilę będzie pół roku, Polska nie ma ambasadora przy NATO. Poprzedni został odwołany, następcy nie ma, a ten, który podobno ma być, nie zna angielskiego. Jak to oceniać? Do tej pory przyjęta była zasada, że wakaty na stanowisku szefa naszego przedstawicielstwa w NATO nie powinien trwać dłużej niż dwa tygodnie. A teraz to trwa... Jak pan sądzi, jak wpływa taka sytuacja na pozycję Polski?

MINISTER, CO PREZYDENTOWI SIĘ NIE KŁANIA

Być może w instytucjach sztabowych struktur zachodnich pracuje mało Polaków, ale w Polsce są żołnierze amerykańscy, co chyba bardziej niż awanse dyplomatów buduje polskie bezpieczeństwo, zwłaszcza wobec Rosji.

– Myślę, że to część naszej oficjalnej propagandy, w tym oświadczenie ministra Antoniego. Dlatego, że to wisi na bardzo cienkiej linie. Zobaczymy za kilka miesięcy, jak Stany Zjednoczone będą patrzyły na swoją obecność w tym regionie. Bo Trump chce to liczyć w kupiecki sposób, chce patrzeć, jak to wygląda od strony kosztów, czy to Ameryce się opłaca itd.

I będzie tak liczył?

– Wydaje się, że ta administracja, przynajmniej w tej chwili, nie potrafi

przeliczać kosztów niewymiernych dolarowo na korzyści strategiczne dla USA. Zobaczymy więc, co będzie dalej. Jeśli dojdzie ona do wniosku, że niebezpieczeństwo strategiczne dla Stanów Zjednoczonych jest duże, być może będzie to dla Polski pomocne w utrzymaniu obecnego stanu. Jeżeli nie, to nie łudźmy się, interesy amerykańskie staną zawsze przed interesami polskimi. Po drugie, z różnych rozmów z wojskowymi, których znam z okresu pobytu w Kwaterze Głównej NATO, płyną do mnie sygnały, że dzieje się coś niedobrego, jeśli chodzi o stopień zaufania między nami. Amerykańskie służby wywiadowcze, dowództwo wojskowe, nie patrzą przychylnym okiem na nasze pompatyczne oświadczenia, że współpracujemy z Amerykanami, że by kontrolować zagrożenie rosyjskie. Amerykanie inaczej traktują swoją obecność.

Jak traktują?

– Jako element umocnienia stabilności, powstrzymywania, a nie jakiegoś bronięcia przed bezpośrednim zagrożeniem. To jest różnica. Poza tym są sygnały, że Amerykanie zaczynają przerzucać mniejsze jednostki raczej do Bałtów czy do Rumunii, a nie do nas. To też nie jest przypadek. Bo tam państwo funkcjonuje dobrze. Natomiast państwo polskie nie funkcjonuje dobrze, o czym mogliśmy się przekonać podczas wspomnianej sprawy Eurokorpusu.

Dlatego, że ta sprawa wszystkich zaskoczyła?

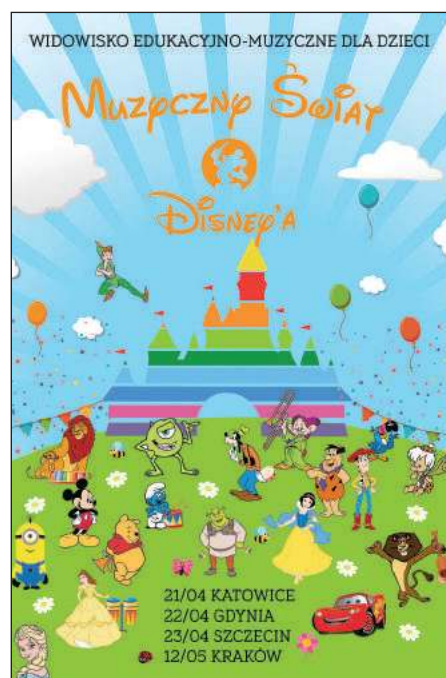
– Konstytucyjnie taki akt nie powinien mieć miejsca bez dokładnego uzgodnienia między ministrem obrony, ministrem spraw zagranicznych i prezydentem. Tymczasem MSZ wycofało się ze spraw bezpieczeństwa międzynarodowego, choć absolutnie ma w tej dziedzinie kompetencje! MSZ nie miało kompetencji w sprawach obrony i sojuszy zagranicznych tylko w czasach PRL i teraz, w czasach PiS. W PRL panowała zasada przyjęta ze Związku Radzieckiego – *dieta wojennyje prinadleżat' k wojennym*. W związku z tym MSZ w tę sprawę się nie mieszało. Bardzo tego

Polska nikomu nie wytłumaczyła, dlaczego wychodzi z Eurokorpusu.

przestrzegano. A co do prezydenta – głosy dochodzące z Kancelarii Prezydenta, z Rady Bezpieczeństwa Narodowego mówią, że prezydent o niczym nie wiedział.

Czyli potraktowano go, tak jak w PRL traktowano Radę Państwa.

– Prezydent nic nie wiedział, MSZ w ogóle się nie odzywało. To kompromitująca sytuacja. Sprawa Eurokorpusu okazuje się indywidualnym pociągnięciem ministra, który narzu-



ca temu charakter ogólnopaństwowy. Moim zdaniem jest tu naruszenie i konstytucji, i dobrych zwyczajów, a to również liczy się w funkcjonowaniu państwa.

PIERWSI W KATEGORII DZIWAKÓW

Pan mówi, że działania PiS zaskakują Zachód i gorszą. Jarosław Kaczyński tłumaczy, że wynika to z tego, że twardo gra o polskie interesy i nie daje się klepać po plecach. Dlatego liczą się z nami.

– Nie chcę oceniać psychologii prezesa, ale takie oświadczenia wyglądają jak utrata kontaktu z rzeczywistością. Polska w czasach PiS, wynika to z wszystkich rozmów,

...czyli dyplomatycznego załatwienia sprawy.

– Dyplomacja lubi załatwianie spraw w ciszy gabinetów. Nie lubi odgrywania roli tzw. godnościowego krzykacza.

Polska w czasach PiS ewidentnie osłabiła swoją międzynarodową pozycję.

O, to nasze PiS!

– Owszem. Takie zachowanie spowodowało, że zakwalifikowano nas do kategorii dziwaków. Myślę, że to będzie się pogłębiać, co oznacza straty na lata. Przez ten czas, dopóki nie odbudujemy zaufania, trudniej

wał tylko polskie – toby go wyrzucili. Choć w dyplomacji nic nie jest proste. Tusk był np. tym, który hamował tendencje pójścia w kierunku Unii dwóch prędkości, pilnował sprawy Ukrainy. To było korzystne dla Polski. Natomiast nie mógł nam załatwić, że dostaniemy od Unii 15 mld euro albo 15 wysokich stanowisk! **PiS mówi, że Platforma i Tusk kłaniali się Niemcom.**

– To stara śpiewka, powrót do czasów PRL. Nigdzie nas to nie zaprowadzi. Niemców mało to obraża, traktują nas jak niegrzeczne dziecko. Ale przede wszystkim trzeba sobie zdać sprawę, że dyplomacja polska staje przed potężnym wyzwaniem – dwuletnich negocjacji w sprawie skutków Brexitu. Zaczęliśmy najgorzej jak można od strony dyplomatycznej,



z komentarzy prasowych i telewizyjnych, ewidentnie osłabiła swoją pozycję. Czy dlatego, że walczy o swoje interesy? Umiejętność formułowania własnych interesów jest szanowana w dyplomacji i stosunkach międzynarodowych, podobnie

Największym niebezpieczeństwem dla Polski jest peryferyjność. To, że o nas się zapomni.

jak umiejętność ich obrony. Ale patrząc na działania PiS, Zachód zastanawia się, o jakie interesy tu chodzi. Na przykład w kwestii przewodniczącego Rady Europejskiej – czy to rzeczywiście interesy Polski, czy osobiste interesy prezesa? Poza tym pojawia się problem ich realizacji...

nam będzie cokolwiek załatwić. Nikt nam nie będzie mówił, że straciliśmy pozycję, że nam się nie ufa, że lepiej nas omijać. Tego w dyplomacji raczej się nie robi. Tylko patrzy się, jak sprawy się toczą. A jeżeli jakieś państwo wybiera taki kierunek, to jego sprawa.

PiS mówi tak: co wielkiego Polska osiągnęła z tego powodu, że Tusk był przewodniczącym Rady Europejskiej? Co na tym zyskaliśmy?

– Zyskaliśmy rzecz istotną od strony rangi, pozycji i prestiżu państwa. Ranga, prestiż mają znaczenie, to decyduje, jak nas traktują przy załatwianiu różnych, także bardzo konkretnych kwestii. Stawianie sprawy: a co Tusk jako przewodniczący Rady Europejskiej zrobił dla Polski, jest świadectwem braku profesjonalizmu tych, którzy o tym mówią. On nie przyjechał tam jako przedstawiciel Polski, lecz żeby reprezentować wspólne interesy. Gdyby reprezento-

od łamania solidarności europejskiej. Kaczyński poleciał do Londynu, teraz pani premier Szydło odbyła rozmowę telefoniczną z premier Theresą May. Pokazano, jak dzwoni. To są rzeczy dla dyplomaty straszne. Taka propaganda do wewnątrz. W negocjacjach wcale nam nie pomoże. A one będą trudne, wszyscy będą walczyć o swoje interesy, bo tu chodzi o 50 mld euro. Zamiast więc napiąć się godnościowo, trzeba będzie zawierać sojusze, kompromisy. Jeśli wy uwzględnicie nasze sprawy, my uwzględnimy wasze... Ale Polska nie umie tak funkcjonować. Woli odgrywać godnościowego krzykacza. Czyli pokrzykzeć i niczego nie załatwić.

HISZPAN POTRAFI, POLAK...

A czy może pan podać przykład kraju, który za sprawą dobrej, skutecznej dyplomacji załatwił więcej, niż waży?

– Takim przykładem jest Hiszpania. W pewnym momencie, po 1981 r., kiedy zgnieciono opór prawicowców i cieszyła się autorytetem na Zachodzie, potrafiła uzyskać wybitną pozycję w zdobywaniu funduszy europejskich. Hiszpanie byli tu na czele. I to nie tylko jeśli chodzi o pozyskiwanie funduszy, ale również pod względem ich wykorzystania. Do tego stopnia, że wszyscy nowi członkowie Unii jeździli do Madrytu, żeby uczyć się, jak to robić. Notabene my byliśmy pojętnym uczniem. Co więcej, byliśmy również bardzo pojętnym uczniem w NATO, gdzie potrafiliśmy zawsze doprowadzić do sytuacji, w której inwestycja Sojuszu w Polsce przekraczała koszty, które ponosiliśmy na sekretariat cywilny i na kwatery wojskową NATO w Mons. Drugi przykład – Hiszpanie potrafili umiejętnie,

A Polska? Jak polska dyplomacja powinna wykorzystać nasz potencjał?

– Jesteśmy krajem średniej wielkości i podobnie jak Hiszpania peryferyjnym. Ale nasza peryferyjność jest gorsza niż hiszpańska. Przez jakiś czas nas nie było, byliśmy częścią

Polska woli odgrywać rolę godnościowego krzykacza. Pokrzyknąć i niczego nie załatwić.

różnych mocarstw. I w przeciwieństwie do Hiszpanii nie potrafimy wykorzystać w Unii swojego potencjału. Stajemy się, jak to określają niektórzy, niegrzecznym bachorem, kłopotem wewnętrznym Unii, zamiast uczestniczyć w kształtowaniu jej polityki, realizując przy tym nasze interesy. Poza tym nie wzbogacamy Unii kadrowo.

PARTIA BUDUJE, POLSKA PŁACZE

Brakuje nam dobrze przygotowanych dyplomatów?

– Przygotowanie dobrego dyplomaty, szanowanego przez partnerów, wymaga długich lat.

W Polsce takich warunków nie ma, co parę lat mamy czystki.

– Cechą dyplomacji PiS jest maksymalne zerwanie z tradycją, w tym z tą, która zaczęła się wykształcać od 1990 r. Na zasadzie ideologicznej, że Polska właściwie odzyskała niepodległość dopiero w październiku 2015 r. i wszystko trzeba budować od nowa. A to jest bolszewicki sposób myślenia, który powoduje ogromne straty. I który bolszewicy w Rosji szybko zarzucili.

U nas nie zarzucają.

– Owszem, będzie to szło dalej, będziemy mieli nową ustawę o służbie zagranicznej itd.

Będzie czystka.

– To nic nowego. Sam przeżyłem w MSZ przez pół wieku pięć czystek kadrowych. Kłopot polega na tym, że wraz z nimi następuje obniżenie wymagań merytorycznych. W dzisiejszym MSZ wszystko jest budowane na zasadzie partyjnej, na potencjale

uczelni ks. Rydzyka. Tam szuka się adeptów. Czyli tworzy się dyplomację w istocie nie Polską, ale dyplomację PiS, przedstawia ją na tory obrony interesów partyjnych.

Te słabości dyplomacji kosztują. Jak to można wyliczyć?

– Nie każdą rzecz można wyliczyć w złotych. Ale można to jakoś ocenić. Państwo, które nie ma dobrej opinii, które jest uważane za nieprzewidywalne, na pewno z biegiem czasu, a ten bieg można nawet określać w miesiącach, traci znaczenie, jest pomijane w procesie decyzyjnym. Nie liczy się. Traci też na inwestycjach. Traci na współpracy kulturalnej i naukowej. Na przykład ostatnie poścignięcia z polskimi Instytutami Kultury uderzają nie tylko w osoby, które PiS wyrzuca, ale także w stosunki kulturalne itd. Wielu wybitnych ludzi kultury we Francji, w Niemczech, w Austrii zaczyna się wypowiadać źle o Polsce.

Przygotowanie dobrego dyplomaty, szanowanego przez partnerów, wymaga długich lat.

Takie państwo jest spychane na margines.

– Tego zawsze najbardziej bał się Geremek i ciągle nam to powtarzał – że największym niebezpieczeństwem dla Polski jest peryferyjność. Zepchnięcie nas na bok. To, że o nas się zapomni i wrócimy do tego, jak nas traktowano w XVIII w. – że państwo na pozór potężne, ale nie można tam przejechać normalnymi drogami, brak kultury itd. Że będzie jak u Alfreda Jarry'ego – Polska, czyli nigdzie.

Robert Walenciak



bez krzyków obsadzać swoimi ludźmi stanowiska w Unii i w NATO. Ale też mieli ludzi wysokiej klasy. To byli często ludzie pochodzący jeszcze z czasów Franco, którzy znali procedury, mieli znajomości, znali po cztery języki. I to nie była taka znajomość, jak u nas się mówi: a ja mam egzamin państwo-

Nie tudźmy się, interesy amerykańskie staną zawsze przed polskimi.

wy! O nie, to była prawdziwa znajomość. Oni swoje szanse wykorzystali, umieli sobie poradzić w niektórych momentach z uczestnictwem w różnych operacjach pokojowych. Potrafili ściągnąć Unię Europejską do operacji pokojowych, które były im pomocne, służyły umacnianiu ich pozycji w Afryce Północnej.

Drogiemu Redaktorowi
Marianowi Turskiemu
 głęboko współczuję po śmierci

Żony
Haliny Paszkowskiej-Turskiej

Jerzy Domański

Bez uprzedzeń



Bronisław Łagowski

SPRAWA KROŃSKIEGO



Artykuł Marka Beylina o filozofie Tadeuszu Krońskim bardzo mnie zainteresował i przypomniał mi spory polityczne należące już do historii idei, ale do dziś zachowujące pewne praktyczne znaczenie. Tadeusz Kroński jest szerzej znany dzięki Miłoszowi, który się z nim przyjaźnił i uważał go za swojego mentora. W zaciekawiający sposób pisał o nim jako o wysoce nieprzeciętnej osobowości i wnikliwym myślicielu.

Wyrobić sobie pogląd o Krońskim jedynie na podstawie tekstów, jakie pozostawił, można tylko w grubym przybliżeniu, ale Marek Beylin zna go przez pośrednictwo ojca, jego ucznia i przyjaciela, a taką znajomość można uznać za bliską.

Osoby nieprzychylnie nastawione do Krońskiego z lubością cytują jego słowa z listu do Miłosza o „sowieckich kolbach”, którymi w tym kraju „nauczmy ludzi myśleć racjonalnie i bez alienacji”. W Polsce niczego się tak nie pamięta jak wyrażone, którym można przypisać kompromitujący sens, czy będzie to „obcinanie rąk” Cyrankiewicza, czy „Kiszczak człowiek honoru” Michnika. Ludziom mającym złą wiarę niczego nie można wytłumaczyć, ale odnotować, po to żeby było odnotowane, trzeba: Kroński wyraził się ironicznie i parabolicznie i nie było w jego słowach cienia pochwały indoktrynacji za pomocą terroru. Beylin pisze, że te słowa były „moralnie nie do obrony”, moim zdaniem nie do obrony były stylistycznie.

Znałem Krońskiego, jak student zna profesora, i nieco więcej. Wpłynął on w pewnym stopniu na moje życie. Zaprzyjaźniona pani powiedziała mi niedawno: „Gdyby nie Kroński, byłbyś dziś senatorem z partii PiS”. Czytelnik się domyśla, że nie jest to dla mnie powód, aby wspominać Krońskiego źle. Było tak: po manifestacjach przeciw rozwiązaniu „Po Prostu” jesienią 1957 r. w PZPR na Uniwersytecie Warszawskim przeprowadzono weryfikację członków. Zostałem wezwany przed komisję obradującą pod przewodnictwem sympatycznej z wyglądu, spokojnej, czarnookiej pani Majerowej (w życiorysie brygada międzynarodowa w Hiszpanii) i kwalifikowałem się do skreślenia. Aliści najbardziej słuchany, cały czas uśmiechnięty członek tej komisji prof. Kroński skutecznie mnie wybronił. Piszą, że był bezpartyjny, ale ja go nieraz słyszałem przemawiającego na zebraniach partyjnych i jego wypowiedzi robiły na mnie duże wrażenie.

Jak to możliwe, że ludzie inteligentni i dobrej woli należeli do partii komunistycznej? A dlaczego tacy ludzie należą do PiS lub PO?

Najpełniejszą jego charakterystykę dał Andrzej Walicki w książce „Zniewolony umysł po latach” (rozdział „Tygrys» i »odwilż»). Przedstawia go tam i w anegdotycznym stylu jako pamiętnikarza, i z precyzją historyka idei. Walickiego zastanawia dystans Krońskiego do „odwilży”, do przemian październikowych. To samo zastanawiało Miłosza. Pisze w „Rodzinnej Europie”, że miał o to żal do „Tygrysa”, podejrzewał go o małoduszność, o niepotrzebnie przedłużoną ostrożność, „stąpanie na miękkich łapach”. Jeżeli jest tak wstrzemięźliwy, to znaczy, że za wcześnie i że nie widzi „odwilży”, „na razie nic poza krótkotrwałym porywem”. A może wstydził się naśladować tych, co zmienili poglądy o 180 stopni? Miłosz nie był jednak na właściwym tropie.

Dzięki przemianom 1956 r., swobodom kulturalnym i w szczególności zaprzestaniu terroru wszyscy poczuli ulgę (o jakiej ludzie Solidarności nie mieli pojęcia), a wielu szczęście w najdosłowniejszym sensie tego słowa. I Kroński nie był wyjątkiem. Co go różniło od wielu ko-

legów i przyjaciół, to obawa przed drugim etapem, a w końcu upadkiem socjalizmu. Wcale nie wierzył, że stalinizm może wrócić. Bał się, że może

nastąpić to, co teraz w Polsce mamy. W tamtych warunkach, gdy z więzień wyszli dyszący pragnieniem zemsty „żołnierze wyklęci”, gdy ogół nie myślał o panującej władzy inaczej jak „żydokomuna”, a zajadły politycznie Kościół wprowadziłby kontrrewolucję nie kulturalną, lecz powszechną, byłaby to „rewolucja przeciwnie skierowana”. Leszek Kołakowski takich obaw nie miał, bo w myśleniu politycznym już kierował się zdrowym rozsądkiem, a zdrowy rozsądek nie chwyta dziejowych perwersji. Dla ludzi zdrowego rozsądku Jedwabne to rzecz absurda i niemożliwa, dopóki się nie stanie.

Pamiętam zebranie partyjne, na którym Kroński wygłosił gwałtowno-sardoniczne przemówienie, w którym piętnował zwolenników drugiego etapu przemian, określając ich słowem „wściekli”, wziętym z języka rewolucji francuskiej. Charakterystyka tych „wściekłych” wypisz wymaluj pasowała do Kołakowskiego (nie było go wtedy). Nie ośabiło to przyjaźni między nimi, bo nie wściekłych się bał, lecz tych, którzy by przyszli po nich. Dlaczego „wściekli”, tacy nietolerancyjni wobec innych, uważali Krońskiego za swego? Bo wiedzieli, dlaczego on nie chce „drugiego etapu”.

Historyk filozofii z Uniwersytetu Śląskiego Czesław Głombik, bodajże magistrant Krońskiego, przebadwał ma-

teriały z jego pobytu w 1956 r. na Uniwersytecie Karola w Pradze. Ku zdumieniu słuchaczy, wśród których byli jego znajomi sprzed wojny, ostrzegał przed przemianami, jakie zachodziły w Polsce. Jeżeli on to mówił ze strachu, to ze strachu przed tym, co by się działo, gdyby system wówczas upadł. Andrzej Walicki zanotował jego słowa: „demokracja w Polsce (co innego Czechy) doprowadziłaby do rządów motłochu, czego dowodzą przedwojenne ekscesy antysemityczne” (s. 93).

Ludzie formacji Marka Beylina – i starsi, i młodszy – starają się sobie wyjaśnić, jak to było możliwe, że ludzie inteligentni, wykształceni i dobrej woli należeli do partii komunistycznej. Nie dziwi ich jednak, że ludzie inteligentni, wykształceni i nieraz dobrej woli należą dziś do partii PiS lub PO. Co przesądza, że z tą przynależnością czują się dobrze, znakomicie? Przecież to, że przedtem był tu komunizm, a teraz go nie ma. Również komuniści (żydowscy i nieżydowscy) czuli się nieźle w swojej partii, ponieważ przedtem panował szowinizm, antysemityzm, a nad tym wszystkim „nasi okupanci”, mówił Boyem.

Słuszną racją nie jest w polityce sprawiedliwie podzielona, mimo że żadna partia nie skarży się, iż ma jej za mało. To nie znaczy, że w ogóle podzielona nie jest. Kroński, wstępując do PZPR, gdy inni występowali, też miał swoją rację. Polska bezpośrednio po okresie terroru, z wielu otwartymi ranami, stała na granicy powszechnej rewolty i niewiele było trzeba, aby się krew polała, jak na Węgrzech, tylko szerszym strumieniem. Panujący dziś duopol

solidarnościowy po 30 i po 60 latach prześladowe, dyskryminuje oficerów, dyplomatów, policjantów (jawnych i tajnych), mających cokolwiek wspólnego z Polską Ludową, a w 1956 r. zmiana ustroju mogłaby przejść gładko, bez „rewolucji przeciwnie skierowanej”? Rzeczywistość istnieje na swój sposób, a możliwość na inny sposób, ale też istnieje, tylko dyskusja nad możliwościami w niedobrym gronie do niczego nie prowadzi.

Wiadomości z ostatniej chwili. Media informują, że na Ukrainie mnożą się akty bezczeszczenia polskich cmentarzy i pomników. Ostatnio ostrzelano konsulat w Łucku. Kto to robi? Odpowiedzi z jednego tylko numeru „Gazety Wyborczej”. Wacław Radziwiłowicz: nie można pospieszyć ferować wyroków, ale wiadomo, że Rosja wytoczyła nam i Ukrainie wojnę hybrydową, więc łatwo się domyślić, kto za tym stoi. Marszałek Senatu Karczewski: mam takie wewnętrzne przekonanie, że to Rosja ingeruje. Doradca różnych rządów Michał Kamiński: „Tutaj mamy do czynienia po prostu z rosyjską prowokacją. Rosyjska agentura jest wszędzie, na całym świecie. (...) Celem Rosjan, polityki rosyjskiej jest dzielenie Polaków i Ukraińców”. Jak wiadomo, odwiecznie ze sobą zaprzyjaźnionych. Pozostałe media nie mają nic innego do dodania. Niektóre wzywają do karania tych, co głoszą złe opinie o Ukrainie. Komentarz zbędny.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeklad.pl

biblioteka Le Monde diplomatique

USZLACHET- NIAJĄC PRZESTRZEŃ

JAK DZIAŁA
GENTRYFIKACJA
I JAK SIĘ
JĄ MIERZY

Łukasz
Drożdża

Książka i Prasa

Walka o miasto

Do nabycia w księgarniach i empikach
(w działach prasowych)

Książkę można zamówić
w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

Cena 28 zł (w tym 5% VAT)

KANDYDAT ZDOLNIACHA

Emmanuel Macron ma spore szanse zatrzymać frontalny atak Marine Le Pen

Wojciech Osiński

Istotnym atutem porywającego ostatnio coraz liczniejsze tłumy Emmanuela Macrona jest nie tyle jego program polityczny, ile prosta, choć trudna do zlekceważenia wizja, która łatwo przenika do mediów. Głównym jego celem jest znaczne, choć mgliste hasło „odnowienia Francji”. Centrolewicowy kandydat na prezydenta pragnie właściwie tego samego co jego konkurentka Marine Le Pen, liderka ultraprawicowego Frontu Narodowego – roszadzenia obecnego systemu. Tyle że Macron zastąpiłby słowo roszadzić strawniejszym dla wielu Francuzów określeniem przebudowa.

W trwającej od miesięcy batalii między politykami starszej daty 39-letni Macron jawi się niby tyk świeżej wody, mimo że wywodzi się z establishmentu. W najnowszych sondażach wyprzedza Le Pen, która od miesięcy żeruje na obciążającym Francję alercie terrorystycznym, a także borykającego się ze skandalem konserwatystę François Fillona. – Chciałbym tym krajem potrząsnąć, uzdrowić go, sprawić, aby był bardziej przyszłościowy – obiecywał przywódca ruchu En marche! (w luźnym tłumaczeniu Naprzód!) na portalu YouTube, na którym w każdą niedzielę przemawia do internautów. Lejtmotywnym kampanii jest: koniec z Francją „dworskich elit”, które oderwały się od społeczeństwa lub komunikują się z nim belferskim tonem. Do tych elit Macron zalicza zarówno republikanów, jak i socjalistów, z ramienia których jeszcze do niedawna zasiadał w rządzie.

SOCJALIŚCI W ODWROCIE

Już wcześniej wykazywał się umiejętnością zauważania zjawisk, które mogły doprowadzać do większych kryzysów. Jako minister gospodarki w latach 2014-2016 mówił o potrzebie przebudowy i za każdym razem ubolewał, że obecny system polityczny hamuje realizację jego projektów. W rządzie nie zawsze traktowano go poważnie. Premier Manuel Valls na-

zwał go egoistą, który nigdy nie nauczył się grać w zespole. Natomiast François Hollande, który zrobił Macrona najpierw swoim doradcą, a potem ministrem, zwięźle skomentował ambicje młodego polityka: „On wie, co mi zawdzięcza”. Niemal w każdym wywiadzie urzędujący prezydent Francji zaznacza, że to on „wymyślił” Macrona. Hollande przechodzi właśnie do historii jako prezydent z najmniejszym poparciem, a Valls przegrał wyścig o kandydaturę z partyjnym kolegą Benoît Hamonem. Wszyscy trzej politycy – zresztą jak cała Partia Socjalistyczna – są w odwrocie. Sondaże skłaniają do prognoz, że Hamon nie ma cienia szansy na drugą turę.

Tymczasem Macron uparcie podąża własną ścieżką, umiejętnie lawirując między naciskami z różnych stron. W odpowiednim momencie opuścił lewicowy tonący okręt i w kwietniu 2016 r. postawił na emancypację polityczną, zakładając własny ruch En marche! Postanowił sam wystartować w wyborach prezydenckich i w ciągu zaledwie roku skupił wokół siebie ekipę nowych twarzy intelektualnej centrolewicy. W mediach otwarcie przyznaje, że główną przyczyną porażki socjalistów jest bezbrzeżna pycha, która zapanowała w tym obozie. Nad Sekwaną może więc dojść do wydarzenia bezprecedensowego, a mianowicie wyeliminowania kandydatów dwóch głównych partii ludowych (PS i Les Républicains) już w pierwszej turze 23 kwietnia. Jeszcze dwa miesiące temu życzliwe konserwatystom media zawczasu zatwierdziły Fillona jako nową głowę państwa. W obecnych sondażach były premier spadł na trzecie miejsce. To załamanie poparcia jest związane ze skandalem, jaki wybuchł, kiedy wyszło na jaw, że przez 30 lat fikcyjnie zatrudniał żonę.

Z ustaleń dziennikarzy „Le Monde” wynika, że gdyby kandydatem Republikanów został Alain Juppé, otrzymałby 24% i bez trudu przeszedł do drugiej tury. Teraz wiele wskazuje na to, że w drugiej turze 7 maja dojdzie do starcia między Macronem (26%) i Le Pen (25%), co potwierdza tezę, że linia

sporu we francuskim społeczeństwie nie przebiega już między lewicą a prawicą, lecz – podobnie jak w innych krajach – między europejskimi liberałami a protekcjonistycznymi nacjonalistami. W przypadku Macrona zadziałało więc coś, co Niemcy nazwaliby dziś efektem Schulza. Parwienusz z Amiens przyciągnął wielu młodych i tych, którzy mają dość obecnego systemu, ale nie chcą odwrócić się od europejskiej wspólnoty i oddać pola populistom. Macron wyczuł te nastroje. Unieważnił myślenie obozowe i zaproponował alternatywę dla Frontu Narodowego. A teraz, kiedy prezydentura znalazła się w zasięgu ręki, nie chodzi już tylko o ambicje młodego zdolniacza, który po osiągnięciu jednego celu umiejętnie wyznaczał następny. Dla milionów



Francuzów wybór Macrona wiąże się z tym, w jaki sposób zamierza on zmienić ich życie po 7 maja.

ŚWIEŻY I DYNAMICZNY

Do ruchu Macrona dołącza coraz więcej polityków kojarzonych z obecnym establishmentem, przy czym trudno ich podejrzewać jedynie o grę polityczną, obliczoną na utrzymanie wpływów i synekur. Wsparcie obiecali szef Europejskiej Partii Demokratycznej François Bayrou, a także prominentni socjaliści: mer Lyonu Gérard Collomb i wieloletni mer Paryża Bertrand Delanoë. Collomb już wcześniej kibicował Macronowi. Kiedy ten był ministrem gospodarki, urządził dla niego spotkanie w Lyonie, na które zgłosiło się ok. 200 osób, a w końcu przyszło ponad tysiąc. – On jest inny, świeży, dynamiczny i przede wszystkim nie kłamie – zauważa Collomb. Podobnego zdania jest Daniel Cohn-Bendit, niemiecko-francuski europoseł Zielonych. – Obecnie nie widzę we Francji lepszej opcji – mówi.

Wśród zwolenników Macrona panuje przekonanie, że wreszcie znalazł się ktoś, kto przestał recenzować rzeczywistość z łoża szyderców. Kiedy pozostali kandydaci dostarczają sobie amunicji do kolejnego ataku, on szuka kontaktu z wyborcami. Na wiecach ludzie uważnie go słuchają, pragną zobaczyć go na żywo. Im bliżej do wyborów, tym ciekawszy są osoby, która w ciągu kilku miesięcy podbiła serca tylu rodaków.

Macron otwarcie przyznaje, że główną przyczyną porażki socjalistów jest bezbrzeżna pycha.

Czy jednak wszyscy na niego zagłosują? Le Pen i Fillon mogą liczyć na przekonanych wyborców, do których przemawiali latami. Macron wprawdzie zyskuje coraz więcej nowych fanów, ale trudno powiedzieć, czy już skonsolidował swój elektorat. Ponadto gdy wszystkie obiektywy skierowane są na byłego ministra gospodarki, łatwiej o błędy i wpadki. Na spotkaniach

z jego udziałem dochodzi niekiedy do przykrych incydentów, np. w lutym w Carpentras grupka uczestników obrzuciła Macrona inwektywami, nazywając go m.in. zdrajcą. Wcześniej lider En marche! przebywał w Algierii, gdzie złożył kwiaty na grobie znanego aktora Rogera Hanina i przy okazji podkreślił, że francuski kolonializm był „zbrodnią przeciwko ludzkości”. W Algierze zebrał za to oklaski, ale we Francji spadły nań gromy ze strony obrońców kolonial-

nej przeszłości. – Nie chciałem nikogo skrzywdzić, ale nie możemy też wybierać haniebnych wątków naszej historii – przekonywał na wiecu w Tulonie.

Wtedy słupki sondażowe chwilowo zaczęły spadać, ale na ogół Macron na swojej bezpośredniej retoryce raczej zyskuje, niż traci. Kiedy na przedmieściach stolicy został zapytany, co zamierza obiecać tamtejszym społecznościom, odparł: „Nic! Już zbyt często wam coś obiecywałem, a później byliście zawiedzeni”. Faktycznie, większość mieszkańców paryskich peryferii już dawno przestała wierzyć w państwo i w to, że ktokolwiek zmierzy się z ich problemami.

PEDAGOG

Macron dopiero buduje swój elektorat, wobec tego dla wszystkich grup społecznych znajduje dobre słowo. W ostatnim wywiadzie dla radia Europe 1 powiedział, że w przyszłym rządzie na stanowisku premiera chętnie zobaczyłby kobietę. Już teraz udało mu się coś wyjątkowego w historii powojennej Francji. Od zarania V Republiki żaden niezależny kandydat nie miał tak wielkich szans na prezydenturę jak Macron.

Tymczasem problemy, z jakimi przyjdzie mu się zmierzyć, są ogromne. 89% Francuzów uważa, że ich kraj podąża w niewłaściwym kierunku. Trudno jednak sprowadzić sukces Macrona do słabej konkurencji i trudnych czasów. To polityk błyskotliwy i niestereotypowy, kapitalnie obsługujący emocje wyborców. Na rynku etykietek politycznych najbardziej pożądaną jest centrum, kojarzące się ludziom z umiarem, przyznawaniem racji po trosze wszystkim, przy jednoczesnym dystansowaniu się od ▶



► populizmu. – Wytrawny polityk powinien być też znakomitym pedagogiem, który w przejrzysty sposób objaśnia wyborcom swoje plany – tłumaczył Macron w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Le Figaro”. Tak myślał zapewne wiosną 2016 r., kiedy – uznawszy, że komunikacja elit z francuskim społeczeństwem zmierza w złym kierunku – złożył rezygnację ze stanowiska ministra gospodarki. – Zmiany są przeprowadzane opieszale, nawet w trybie pilnym realizacja niektórych ustaw trwa siedem miesięcy. Jak mamy to wytłumaczyć wyborcom? – oburzał się, co media uznały wtedy jeszcze za przejaw walki politycznej z Vallsem i Hollande’em.

Dlatego Macron kładzie ogromny nacisk na kontakty z ludźmi. Kiedy w marcu przedstawiał swój program, wspominał, że jest on dziełem zwykłych Francuzów, powstałym po wyczerpujących konsultacjach ze społeczeństwem. En marche! prezentuje się jako szeroki ruch o spłaszczonej hierarchii, do którego każdy może się zapisać i działać we własnym okręgu. Po roku przynależność do organizacji Macrona deklaruje 200 tys. Francuzów i z dnia na dzień ta liczba rośnie. Tygodniami wolontariusze chodzili od drzwi do drzwi, zbierając odpowiedzi na trzy pytania:

1. Co chcielibyście zmienić w waszej ojczyźnie?
2. Co nie podoba się wam w obecnym systemie politycznym?
3. Jakie macie propozycje zmian i nadzieje na przyszłość?

Program En marche! został więc zatytułowany wzniośle: „Mon contrat avec la Nation” („Moja umowa z Narodem”). Macron chciałby zniwelować różnice płacowe między urzędnikami i zwykłymi pracownikami. W rozde- tej służbie cywilnej zamierza skreślić 120 tys. stanowisk, czym sprowokował rozlewającą się falę krytyki ze strony

Umiejętnie punktuje słabości dzisiejszej Francji, lecz nie jest defetystą podsycającym lęki społeczne. Swoje ponure diagnozy tonuje nutami optymizmu i nadziei. Co jednak ciekawe, im bliżej wyborów, tym częściej ulega emocjom. Na aplauz sympatyków reaguje słowami: *Je vous aime farouche-ment!* (Kocham was gorąco!), przery-

W Algierze Macron przyznał, że francuski kolonializm był „zbrodnią przeciwko ludzkości”.

związkowców. Niektórym trudno uwierzyć, że taki pomysł wyszedł od byłego ministra socjalistycznego rządu. Macron zasłania się argumentem sprawiedliwości społecznej, chcąc wyrównać szanse na rynku pracy, zlikwidować getta na przedmieściach, znieść bariery dla uboższych i skończyć ze skłonnością polityków do grzęźnięcia w biurokracji.

DEMOKRATYCZNA REWOLUCJA

Młody kandydat zapowiada „demokratyczną rewolucję” od podstaw, m.in. reformę systemu edukacyjnego, będącego „sercem przyszłej Francji”. Aby odwieść nieprzekonanych wyborców od postawienia krzyżyka przy nazwiskach polityków prawicy, chętnie powołuje się na tradycję i patriotyzm, ale podkreśla swoją otwartość na Europę i poparcie dla polityki migracyjnej Angeli Merkel.

wa dziennikarzom, na gwizdy i krytykę reaguje nerwowo. – Na bezwarunkową przychylność słuchaczy może liczyć książd, ale nie polityk – sądzi francuski pisarz i filozof Pascal Bruckner. Jedno z czołowych piór „L’Obs” twierdzi, że Macron kreuje się na wyzwoliciela, nieznoszącego krytyki. W istocie niektóre jego wystąpienia są utrzymane w nieco kaznodziejskim stylu.

Macrona charakteryzuje niezwykła pewność siebie, choć nie jest arogantki. W ogóle trudno go zaszufladkować. Nigdy nie był typowym socjalistą, reprezentował raczej warstwę, której dziś oficjalnie wytacza wojnę. Zanim został zamożnym bankierem w Rothschild Bank AG w Zurychu, a później doradcą w Pałacu Elizejskim i ministrem w rządzie Vallsa, uczęszczał do najlepszych szkół w kraju. W książce „Révolution” usiłuje zmienić ten wizerunek uprzywilejowanego zdolniachy i pianisty, któremu zawsze się wiodło lepiej niż innym. Przywołuje małżeństwo ze starszą o 24 lata Brigitte Trogneux, która była jego nauczycielką w szkole średniej, i zapewnia: – Dobrze wiem, jak to jest, kiedy wszyscy się na ciebie gapią, bo odbiegasz od powszechnie uznanych norm.

Publicystów znad Sekwany nurtuje jedynie, czy Macron wytrzyma nerwowo finał batalii wyborczej. Założyciel portalu WikiLeaks Julian Assange ujawnił materiał mający skompromitować Macrona jako homoseksualistę. Podchwyciły tę informację m.in. rosyjskie media, a sam kandydat zareagował z ironią, jakby był to kolejny dowód, że wymyka się konwencjom. W każdym razie po wyborach w Holandii oraz sondażach wieszczących we Francji i w Niemczech zwycięstwo centrolewicy wiemy jedno – ponure prognozy zmierzchu Unii w dotychczasowej formie są przedwcześnie.

Wojciech Osiński



BYĆ KOBIETĄ W TURCJI

Szok po pierwszym pobiciu trwa dziesięć dni, po drugim – pięć, po trzecim zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało

Ebu Orhan

Początek marca. Licealistka z miasta Aydin w ciągu ostatnich trzech lat została zgwałcona przez ponad 200 osób, wśród sprawców są i licealiści, i dorośli. Sprawa wychodzi na jaw, kiedy okazuje się, że 17-latką jest w ciąży.

Stambuł, dzielnica Ataşehir. Starszy brat w środku nocy zdenerwowany wchodzi do rodzinnego domu, budzi 24-letnią siostrę Ceylan Timuroğlu, pyta: „Co ty wyprawiasz?”, po czym strzela w jej głowę. Powód? Poszła ze znajomym do kina.

Kilka miesięcy wcześniej, Ankara. 38-letnia kobieta, matka dwójki dzieci, wieczorem wraca do domu autobusem miejskim. Zostaje zgwałcona przez jego kierowcę.

Stambuł, miejski autobus. Pielęgniarka Ayşegül Terzi wraca z nocnego dyżuru. Zostaje kopnięta w twarz, bo ma na sobie szorty. „Ci, którzy noszą szorty, muszą zginąć”, krzyczy sprawca. Sąd go wypuszcza.

W mieście Manisa ciężarną Ebru Tireli nieznany mężczyzna bije w parku, bo uprawiała tam sport. Napastnik wyjaśnia jej: nie będziesz tu już więcej spacerowała, nie będziesz uprawiała sportu.

To tylko niektóre akty przemocy wobec kobiet, opisane w ostatnich miesiącach przez tureckie media. Według raportu Światowej Organizacji Zdrowia więcej kobiet w wieku 15-44 lata umiera na świecie na skutek przemocy niż na raka, malarię czy w wypadkach drogowych. Jeśli przyjrzeć się temu zjawisku w Turcji, sytuacja okazuje się alarmująca. W kraju, który formalnie stara się o członkostwo w UE i który niezmennie chwali się, że jest jedynym państwem muzułmańskim i zarazem laickim, w związku z tym respektującym równe prawa mężczyzn i kobiet, rocznie giną już setki kobiet i dziewcząt, a dziesiątki tysięcy padają ofiarą przemocy seksualnej, fizycznej czy ekonomicznej.



12 czerwca 2015 r. Protest kobiet w Ankarze po zamordowaniu 20-letniej studentki wracającej z zakupów minibusem.

GINĄ CODZIENNIE

Według głównej partii opozycyjnej – Republikańskiej Partii Ludowej (CHP) – od 2002 r., czyli od początku rządów konserwatywnej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), zamordowanych zostało 14 tys. kobiet. Organizacja pozarządowa Platforma

Zatrzymamy Zabijanie Kobiet podaje, że tylko w 2016 r. zabito 328 kobiet, a sprawcami byli głównie mężowie czy partnerzy. Raport Federacji Stowarzyszeń Kobiet Tureckich podaje liczbę 261 zamordowanych. Różnica w danych wynika z tego, że państwo tureckie nie prowadzi żadnych statystyk. Stowarzyszenia kobiece same ▶

► ustalają liczby, głównie na podstawie informacji medialnych.

Władze w Ankarze nie podzielały tych ocen. Ich zdaniem zarówno liczba morderstw, jak i samo zjawisko przemocy wobec kobiet są wyolbrzymione. W 2011 r. obecny prezydent, a wówczas premier Recep Tayyip Erdoğan oznajmił, że twierdzenia o wzroście przemocy wobec kobiet są przesadą, że stoją za nimi media i opozycja. Trzy lata później minister rodziny i polityki społecznej Ayşe Nur İslam oświadczyła, że w 2014 r. z powodu przemocy domowej w Niemczech zginęły 303 kobiety, a w Turcji – 170. Niepełniąc funkcji publicznych, ale należąc do kręgu władzy żona ówczesnego premiera Ahmeta Davutoğlu, Sare Davutoğlu,

dając im numer telefonu na posterunek, aby w razie niebezpieczeństwa zadzwoniły. Bardzo niewiele kobiet zostaje objętych ochroną policji czy umieszczonych w schronisku dla ofiar przemocy – mówi Hülya Gülbahar, prawniczka i działaczka Platformy Koniec Przemocy.

WYKSZTAŁCENI BIJA WYKSZTAŁCONE

Ayşe, nauczycielka w szkole podstawowej, zaznała wszystkich rodzajów przemocy ze strony męża, który również jest nauczycielem, wychowanym w inteligentnym domu. Przemoc pojawiła się w trzecim miesiącu małżeństwa, gdy Ayşe była w szóstym tygodniu ciąży. Przez ponad trzy

w obecności znajomych mąż zaatakował ją nożem. Zaczął się znęcać nad ich roczną córką. – Mimo regularnego doznawania przemocy nie chciałam być przegrana w małżeństwie, na które sama się zdecydowałam, i chyba nie chciałam, żeby córka dorastała bez taty – w ten sposób Dilek tłumaczy, dlaczego znosiła to wszystko tak długo. Przydzielono jej ochronę policyjną. Na szczęście jej były mąż – dziś już są po rozwodzie – okazał się mniej uparty niż mąż Ayşe.

Dilek wspomina, że gdy była bita codziennie, systematycznie, przemoc stawała się normalna. – Szok po pierwszym pobiciu trwa dziesięć dni, po drugim – pięć, po trzecim zachowujesz się tak, jakby nic się nie stało, nie zostałam pobita czy zwyzywana, wszystko w porządku, wszystko w normie.

Obie nauczycielki twierdzą, że kobietom, które są ofiarami przemocy, nie oferuje się pomocy psychologicznej, a o pomocy finansowej w ogóle nie ma mowy. Ayşe i Dilek uważają, że przydzielono im ochronę policji tylko dlatego, że jako nauczycielki były pracownicami administracji publicznej. Na szczęście, dzięki stałemu etatowi i pensji, nie miały problemów finansowych.

W rodzinie Filiz z Ankary przemoc obejmuje również sferę ekonomiczną. Z wykształcenia graficzka i fotografka, po pięcioletniej znajomości wyszła za obiecującego inżyniera. Szybko pojawiły się wyzwiska, awantury, bicie, groźby, zdrada, znęcanie się nad dzieckiem. Filiz dwukrotnie próbowała się zabić, jednak bezskutecznie. Żyje w biedzie, bo mąż miesięcznie jej i córce daje ok. 100 dol. Po co im pieniądze, skoro mieszkanie należy do niego, on płaci rachunki i robi zakupy? Po ślubie Filiz nie mogła pracować, najpierw

z powodu zagrożonej ciąży, potem dlatego, że zajmowała się dzieckiem, a jeszcze później nie pozwalał na to jej stan psychiczny.

– Znam swoje prawa i nawet należą do organizacji kobiecej, jednak nie mogę stanąć na nogi, bo nie miałam pracy, nie mam oszczędności, nie mogę liczyć na swoją rodzinę, bo emerytura ledwo im wystarcza. Znalazłam pracę, zarabiam pensję minimalną, planuję odkładać trochę pieniędzy

Od 2002 r., od początku rządów konserwatywnej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju, w Turcji zamordowano 14 tys. kobiet.

która z wykształcenia jest ginekologką, w wywiadzie prasowym dołączyła do tej dyskusji, mówiąc: „Wydaje mi się, że im więcej mówimy o morderstwach kobiet, tym bardziej one się nasilają. Odnoszę wrażenie, że używając określenia »przemoc wobec kobiet«, powiększamy ten problem”.

Niezależnie od stanowiska władz i od rozbieżności danych przytaczanych przez organizacje kobiece faktem jest, że kobiety w Turcji giną codziennie. Są zabijane, bo chciały się rozwieść albo nie chciały dać mężowi rozwodu, bo po rozwodzie wyszły za mąż za innego, a nawet dlatego, że zastały męża w łóżku z inną. I czasami – może nie w takiej skali jak wcześniej – mężczyźni zabijają je w imię honoru. A wiele z tych, które nie zginęły, pada ofiarą przemocy fizycznej. Według danych ministerstwa rodziny i polityki społecznej co czwarta kobieta doświadcza przemocy fizycznej oraz seksualnej, 89% kobiet nie zgłasza się po pomoc do żadnej instytucji.

– Kobiety wiedzą, że nie otrzymają skutecznej ochrony państwa. Jeśli odważą się zgłosić przestępstwo, zazwyczaj i na komisariacie, i w sądzie próbuje się je odesłać do domu. Funkcjonariusze na ogół mają do tego tematu podejście takie, że to sprawa rodzinna. Jeśli nawet zgłoszenia kobiet zostają przyjęte, policjanci znowu odsyłają ofiary do domu, tym razem

lata była bita pod byle pretekstem, wielokrotnie zmuszana do współżycia, wyzywana i wiele razy zdradzana. Kiedy odważyła się na rozwód, wraz z dzieckiem wyprowadziła się z domu, jednak dopiero po długich staraniach dostała ochronę policji. Wreszcie sąd zakazał mężowi zbliżać się do niej. To go nie powstrzymało: przychodził do jej szkoły, wyzywał przy uczniach i nauczycielach, naciskał, żeby zrezygnowała z rozwodu. Za złamanie zakazu zbliżania się do żony mężczyzna trafił do więzienia, ale po zwolnieniu znowu ją nachodził. Koszmar Ayşe trwał siedem lat, aż jej mąż został przez władze skierowany do szkoły w mieście na drugim końcu kraju.

Kobiety w Turcji są zabijane nawet dlatego, że zastały męża w łóżku z inną.

– Wiem, że teraz ma nową partnerkę, na szczęście już dał mi spokój, córka nawet była z nimi na ostatnich wakacjach. Zapytała partnerkę taty, dlaczego się rozwiodła. Ona odparła, że z powodu przemocy i zdrady. Czasami robi mi się smutno, kiedy o niej myślę, ale szybko mi mija – mówi Ayşe.

W małżeństwie Dilek, też nauczycielki, bicie, wyzwiska, szyderstwa i groźby trwały pięć lat. Pewnego dnia



W Turcji coraz częściej słychać, że kobiety powinny nosić tradycyjne stroje, a nie gorszyć krótkimi spódniczkami czy szortami.

tów. Zdaniem stowarzyszeń kobiecych liczby te są zaniżone. Z powodu wstydu i strachu nie wszystkie zgwałcone zgłaszają się na policję czy do organizacji pozarządowych.

– Procesy sądowe toczą się latami. Sprawcy, którzy na rozprawy przychodzą w krawacie i wyrażają ubolewanie, zazwyczaj pozostają bezkarni. Jeśli kobieta nosiła krótką spódnicę, bluzkę z dekoltem, o późnej godzinie była poza domem albo do gwałtu doszło podczas spożywania alkoholu czy po nim, to wszystko oznacza dla sędziów, że nie jest ona osobą przyzwoitą, więc tego pana nie trzeba karać – mówi Hülya Gülbahar.

Jeżeli chodzi o aktywność zawodową kobiet, dane też nie wyglądają pociesząco. Według statystyk tureckiego GUS w 2014 r. tylko 30,3% Turczynek pracowało, wśród mężczyzn odsetek ten sięga 71,3%. Podobne są wskaźniki uczestnictwa w życiu społecznym czy politycznym. Raport ministerstwa rodziny i polityki społecznej wskazuje, że 30% dziewcząt przed 18. rokiem życia jest zmuszanych przez rodziny do zamążpójścia. 32% dziewcząt po 15. roku życia przerwa edukację pod naciskiem rodziny czy krewnych. Zgodnie z raportem Światowego Forum Ekonomicznego pod względem równości kobiet i mężczyzn na 144 kraje Turcja zajmuje dopiero 130. miejsce, a w kategorii uczestnictwa kobiet w polityce – 113.

Dyskryminacja kobiet w Turcji zaczyna się już w dzieciństwie, zazwyczaj od słów: „Jesteś dziewczynką, nie wolno ci tego robić, nie wypada ci chcieć tego...”. W takim społeczeństwie zwykły kobiecy śmiech staje się nieskromny. Jak powiedział kiedyś wicepremier Bülent Arınc, kobieta śmiejąca się publicznie jest bezwstydną.

Książeczka, którą rozdaje nowożeńcom ratusz Şahinbey w rządzonej przez AKP mieście Gaziantep, szczegółowo instruuje, jak należy bić przekraczającą granice żonę, żeby przywołać ją do porządku.

Ebu Orhan

Imiona rozmówczyń zostały zmienione

i za kilka miesięcy wyprowadzić się z domu – mówi Filiz. – Wiem, że jak będę chciała się wyprowadzić, on nie pozwoli, powie, że nie odda mi córki... I wiem, że zagrozi, że mnie zabije. Boję się, może to zrobi, może nie...

– Przemoc wobec kobiet w Turcji nie zależy ani od statusu materialnego, ani od wykształcenia. Nie zależy też od światopoglądu, spotyka się ją zarówno w środowisku konserwatywnym, jak i mniej tradycyjnym czy wręcz lewicowym – podkreśla prezeska Federacji Stowarzyszeń Kobiet Tureckich Canan Güllü. – Problem ten nie zostanie rozwiązany, dopóki nie przekształcimy struktury patriarchalnej społeczeństwa, dopóki nie będzie równości płci w sferze społecznej, gospodarczej czy politycznej.

KOBIETO, DO DOMU!

Tymczasem za rządów AKP propaganda podkreśla rolę macierzyństwa, zostawiając mężczyznom strefę poza domem. Inaczej nie można rozumieć słów ministra zdrowia Mehmeta Müezzinoğlu, który wizytując szpital

z okazji narodzin pierwszego w kraju dziecka w 2015 r., oświadczył, że mamy nie powinny stawiać w centrum życia innej kariery oprócz macierzyńskiej. Minister Leśnictwa Veysel Eroglu zapytał kobiety proszące go o pracę, czy nie wystarczają im obowiązki domowe. Znałe są wypowiedzi prezydenta Erdoğan o tym, że wbrew naturze byłoby stawianie na

Prezydent Erdğan: Kobieta równa mężczyźnie? To wbrew naturze.

równi kobiet i mężczyzn, a kobiecie, która odrzuca macierzyństwo, czegoś brakuje. Głowa państwa przy każdej okazji wzywa kobiety do posiadania co najmniej trójki dzieci. Te wypowiedzi bez wątpienia miały i nadal mają wpływ na umacnianie patriarchalnej struktury społeczeństwa.

Na tym problemy Turczynek się nie kończą. Coraz więcej kobiet pada ofiarą gwałtu. Jak podaje raport ministerstwa sprawiedliwości, w latach 2002-2011 doszło do 91,5 tys. gwał-

ARGENTYŃCZYCY MÓWIĄ: SPRAWDZAM

Lech Miodek

Mirtha Legrand, aktorka i dziennikarka telewizyjna, prowadząca od 1968 r. w argentyńskiej telewizji cotygodniowy program „Nocne spotkanie z Mirthą”, rozmawia z prezydentem Mauriciem Macrim i jego żoną Julianą Awadą. Program zawsze bił rekordy oglądalności, teraz też nie jest inaczej. Wywiad w niczym nie przypomina rozmów z rządzącymi, do jakich przyzwyczailiśmy nas telewizję w Polsce, publiczna i prywatna. Świadoma swojej politycznej siły rażenia 90-letnia kobieta stawia parę prezydencką w niezręcznej sytuacji. – Bardzo was popierałam. Myślę jednak, że jesteście oderwani od rzeczywistości. Ludzie skarżą się, że nie starcza im na życie. Wszystko podrożało: energia elektryczna, gaz, woda; plajtują firmy i zamykane są teatry – wypomina. Prezydent nie wie, co odpowiedzieć. Bo co może mówić, gdy po 15 miesiącach jego rządów wyniki gospodarcze są słabe? Nie będzie przecież tłumaczył, że rządy Néstora Kirchnera i jego żony Cristiny Fernández przypadły na okres bumu surowcowego na rynku międzynarodowym, a rozrzutność, korupcja, autorytaryzm i klientelizm zniszczyły w ciągu 12 lat podstawowe narzędzia rozwoju gospodarczego i doprowadziły do niewyłączalności kraju.

Macri przyznaje, że wiele osób może czuć rozczarowanie, i powoli przechodzi do kontrofensywy: – Najgorsze już za nami, zaczynamy zmniejszać biedę, a gospodarka weszła na ścieżkę rozwojową.

Legrand jednak jest bezlitosna, kręci głową i oskarża prezydenta o nadmierny optymizm. – Pański guru ekonomiczny, Jaime Durán Barba, źle panu doradza, dmuchając w balon entuzjazmu.

Sami Argentyńczycy doszukują się przyczyn złej sytuacji gospodarczej w znieczulicy władz, trudnościach w wychodzeniu z populistycznej polityki rządu Cristiny Fernández de Kirchner, spadku cen surowców,

Pikiety, 400-tysięczna manifestacja i 24-godzinny strajk generalny

korporacyjnych reakcjach gremiów oświatowych, wykazywanym przez prezydenta braku umiejętności rządzenia krajem, a nawet konfliktowości jako cesze narodowej.

ZAPASĆ PUBLICZNEJ OŚWIATY

Od lat o argentyńskiej polityce decyduje ulica. Na niej, a konkretnie na Plaza de Mayo, gdzie znajdują się siedziby prezydenta i rządu i gdzie w każdy czwartek zbierają się matki, których dzieci zaginęły w czasie panowania junty, rozwiązuje się najważniejsze problemy kraju. Po 15 miesiącach rządów Macriego przyszedł czas na manifestacje niezadowolonych z jego prezydentury. W marcu przed siedzibą rządu protestowało ok. 400 tys.

W tej chwili rząd nie ma już nic do zaoferowania, by powstrzymać falę protestów.

osób, wśród nich nauczyciele szkół publicznych, strajkujący od trzech tygodni i domagający się podwyżki wynagrodzeń. Ogrom demonstracji robił wrażenie. A jeszcze niedawno argentyńska oświata publiczna, czerpiąca m.in. ze wzorów angielskich, mogła być stawiana za przykład. W 1880 r. nadano jej rangę państwową. Analizy fabetyzmu w Argentynie pozbity się wcześniej niż w wielu krajach europejskich. Problemy zaczęły się w latach 70., wraz z nadejściem dyktatury i kryzysów gospodarczych. Teraz już nikt nie ma wątpliwości, że z oświatą publiczną jest źle mimo poważnych inwestycji w ostatnich latach.

Znaczna część dzieci klasy średniej uczy się w szkołach prywatnych.

Macri, pochodzący z jednej z najbogatszych rodzin w kraju, jest pierwszym prezydentem, który nigdy nie uczył się w szkole publicznej. Podobnie jak wielu jego ministrów to wychowanek elitarniej szkoły, Colegio Cardenal Newman.

W tle konfliktu między rządem a nauczycielami sektora publicznego jest 4 mln dzieci. Na strajk prezydent zareagował ogłoszeniem danych o stanie edukacji publicznej, które nazwał bolesnymi. Według niego 46,4% uczniów szkół średnich nie rozumie treści tekstów, a 70,2% nie potrafi rozwiązać najprostszych zadań matematycznych. Jego zdaniem szkolnictwo prywatne osiąga znacznie lepsze rezultaty.

Co mówią nauczyciele? Że aby walczyć z pogarszaniem się stanu oświaty, trzeba ich godnie wynagradzać – żądają 35-procentowej podwyżki płac. Rząd odpowiada, że powtarzające się strajki zachęcają rodziców do korzystania ze szkół prywatnych, co jeszcze pogłębia problem.

6 kwietnia peronistowskie związki zawodowe zamierzają sparaliżować Argentynę. Przywódcy Powszechnej Konfederacji Pracy (Confederación

General del Trabajo, CGT) zapowiadają 24-godzinny strajk generalny, pierwszy za prezydentury Mauricia Macriego. W ten sposób Macri byłby wystawiony na próbę, której wcześniej zostali poddani prezydenci Raúl Alfonsín (1983-1989) i Fernando de la Rúa (1999-2001). Obaj musieli odejść przed końcem kadencji.

W kierownictwie związkowym nie ma jednolitego stanowiska. Zorganizowana przez CGT manifestacja z 7 marca skończyła się obrzuceniem kamieniami liderów związkowych przez grupy radykalne, domagające się od nich działań, a nie tylko formułowania gróźb pod adresem rządu. W CGT może nawet dojść do rozłamu na tych, którzy chcą radykaliza-



Tak 6 marca w Buenos Aires protestowali nauczyciele szkół publicznych.

cji stanowiska wobec rządu, i grupę wzywającą do dialogu.

PREZYDENT PROSI O CIERPLIWOŚĆ

Obraz przedstawiany przez związek różni się od rządowej propagandy. Tam, gdzie rząd widzi nowe miejsca pracy i lepsze możliwości działania dla przedsiębiorców, CGT dostrzega zwolnienia z pracy i otwarcie gospodarki na import. Według związkowców rynek pracy w przemyśle, górnictwie i sektorze rolno-hodowlanym zmniejszył się o 52 tys. miejsc. – W planach rozwoju gospodarczego chcemy uczestniczyć wszyscy i dlatego 6 kwietnia ogłosimy 24-godzinny strajk generalny – twierdzą.

Prezydent, aby uspokoić nastroje, po objęciu urzędu 10 grudnia 2015 r. porozumiał się ze związkami zawodowymi w sprawie zawieszenia manifestacji na pewien okres, zakładając, że uda mu się doprowadzić do poprawy sytuacji gospodarczej. Aby zyskać przychylność związkowców, uwolnił fundusze na ubezpieczenie medyczne, kontrolowane przez gremia związkowe, i podpisał umowę o wstrzymaniu zwolnień. CGT uważa jednak, że właściciele firm nie wywiązują się z tego zobowiązania. Pikiety zwolnionych z pracy blokują główne ulice stolicy i drogi wjazdowe do Buenos Aires. Peronistowskim liderom związkowym udało się namówić do protestów Argentyńską Centralę Pra-

cujących (CTA), zrzeszającą urzędników państwowych i wykładowców. W ożywionej aktywności związkowców rząd dopatruje się wymuszania przyspieszonego odejścia Macriego. W historii Argentyny po 1983 r., czyli od powrotu do demokracji, nie było nieperonistycznego prezydenta, który by pełnił funkcję przez całą kadencję. W tej chwili rząd nie ma już nic do zaoferowania, aby powstrzymać falę protestów i zapobiec strajkowi 6 kwietnia.

Macri twierdzi, że nie będzie odwrotu od planów gospodarczych, i prosi o cierpliwość. W czasie kampanii wyborczej przedstawił bardzo liberalny program ekonomiczny. Brak sukcesów w jego realizacji tłumaczył cięższą, niż się spodziewał, sytuacją gospodarczą. Liczono na

Od lat o argentyńskiej polityce decyduje ulica.

poprawę w drugiej połowie 2016 r., ale do niej nie doszło. Twarda opozycja, kierowana przez Cristinę Fernández de Kirchner, na której ciążyą oskarżenia o nadużycie władzy, korzysta z sytuacji i mobilizuje peronistów przeciwko rządowi. Przydatne są tu maksymy Perona, pasujące do określonej sytuacji politycznej. Jedną z najbardziej znanych to: „My, peroniści, jesteśmy jak koty. Jak się drzemą, to przeciwnik uważa, że

walczyliśmy między sobą, a w rzeczywistości uprawiamy miłość”.

NADZIEJA W WOŁOWINIE

Paradoksalnie w obliczu wewnętrznych trudności politycznych rośnie poparcie dla rządu Macriego na arenie międzynarodowej. Do sukcesów może on zaliczyć wizyty w Hiszpanii i Holandii. Wicepremier Morawiecki po spotkaniu G20 w Monachium oświadczył, że Polska jest gotowa do zacieśniania więzi ekonomicznych z Argentyną, zwłaszcza że będzie ona gospodarzem najbliższego spotkania G-20. Argentyna przewodniczy południowoamerykańskiej organizacji integracyjnej Mercosur i opowiada się za finalizacją jej negocjacji z Unią Europejską oraz zbliżeniem z Sojuszem Pacyfiku (Meksyk, Kolumbia, Peru, Chile). Między 5 a 7 kwietnia odbędzie się w Buenos Aires konferencja World Economic Forum on Latin America, która zbiegnie się z zapowiadzianym strajkiem generalnym.

Zwolennicy prezydenta przekonują, że nie ma powodów do zmartwień. Sytuacja gospodarcza powoli będzie się poprawiać. Zapowiadają się rekordowe zbiory i duże szanse eksportowe znanego z jakości mięsa wołowego. Październikowe wybory do parlamentu, mające odnowić znaczną jego część, dowiodą, czy prezydentowi uda się dokończyć kadencję. Powrót do normalności znów okazał się trudny. ■

O DEMOKRACJI UŁOMNEJ

Obóz rzeczywistych i potencjalnych zwolenników partii rządzącej jest liczniejszy niż obóz zwolenników prawdziwej demokracji

Zdzisław Sadowski

Czy w Polsce mamy jeszcze demokrację? Jeżeli ten termin traktujemy poważnie, rozumiejąc przez demokrację ustrój oparty na trójpodziale władzy i pełnym poszanowaniu praw obywatelskich (a więc i praw mniejszości), to nie ma wątpliwości, że już od ponad roku doświadczamy świadomego łamania tych zasad ustrojowych przez rząd, który wyłoniła partia o zwodniczej nazwie Prawo i Sprawiedliwość, gdy w 2015 r. objęła władzę w wyniku demokratycznych wyborów.

Demokracja jako koncepcja ustrojowa to wyraz ogólnoludzkiego dorobku wielu wieków rozwoju kultury i zasad współżycia, opartych na szacunku dla prawa. Koncepcja ta legła u podstaw Unii Europejskiej, a Polska aktem przystąpienia do Unii zobowiązała się do jej stosowania i przestrzegania.

Dlaczego więc obecny polski rząd prowadzi taką destrukcyjną działalność? Nie robi tego przecież dla zabawy, lecz bardzo świadomie przystąpił do usuwania podstaw ustroju demokratycznego, przyjętego przez Polskę po obaleniu długich rządów partii komunistycznej i określonego przez konstytucję z 1997 r. Chce bowiem wprowadzić ustrój autorytarny, w którym decyzje należą do władzy wykonawczej, wyłonionej przez partię rządzącą.

Rząd narzuca społeczeństwu swoje rozwiązania metodą „na rympał”.

Ułatwieniem jest to, że PiS zdobył urząd prezydencki i bezwzględną większość parlamentarną, co pozwala bez trudu uchwalić każdą ustawę. Mimo to nie jest łatwo zmienić system instytucjonalny, osadzony w ustroju demokratycznym. Na drodze prawnej nie można zmienić konstytucji. Dlatego po zwycięskich wyborach partia rządząca przystąpiła natychmiast do walki o to, aby władzę sądowniczą podporządkować rządowi. To właś-



nie się dzieje. Najpierw, przez łamanie konstytucji i dobrych obyczajów, nastąpiło ubezwłasnowolnienie Trybunału Konstytucyjnego. Teraz trwa walka o odebranie znaczenia Krajowej Radzie Sądownictwa.

Partia rządząca zmienia ustrój, nie licząc się ze zdaniem tej części społeczeństwa, która tego nie chce. Jaka to część, nikt nie wie. Wydaje się, że w sensie hasłowym demokracja ma w Polsce sporo zwolenników, co uwidacznia się w manifestacjach ulicznych i różnych wystąpieniach. Dla tych ludzi łamanie zasad demokracji nie tylko

jest bardzo przykre i bolesne, ale też stwarza poczucie zagrożenia utratą wolności.

Jest jednak wiele osób, które nie mają nic przeciwko temu, co robi władza, a nawet im się to podoba. W oczach wielu przewaga systemu autorytarnego nad demokracją polega przecież na sprawności działania. Demokracja traci czas na spory, dyskusje i debaty, a ludziom od tego nic się nie poprawia. Dobrze więc, że przycho-

dzi ktoś, kto wie, czego chce, szybko wprowadza porządek i żadnych decyzji nie odkłada.

Zdawałoby się, że temu komuś nie zaszkodzi zapraszanie opozycji do dyskusji, a nawet przyjmowanie jakichś propozycji, by tworzyć atmosferę współpracy. Ale to w demokracji dba się o prawa mniejszości. W ustrojach autorytarnych nie przyznaje się jej żadnych uprawnień. Rządząca obecnie partia uważa zwolenników demokracji za wrogów, bo tylko przeszkadzają każdym swoim ruchem i słowem. Nie może być mowy o zgodnym, wspólnym budowaniu przyszłości.

Kiedy w roku 2005 wyborcy po raz pierwszy oddali władzę Prawu i Sprawiedliwości, wystąpiło ono z gotowym programem, który otwarcie zapowiadał wprowadzenie w Polsce systemu autorytarnego pod nazwą IV Rzeczypospolitej. Wzmacniało go hasło solidarności społecznej, co tak zmyliło niektórych komentatorów, że dopatrzili się w nim lewicowości. W swojej ówczesnej publicystyce oceniałem ten program bardzo krytycznie. Solidaryzm to piękna idea, stawiająca

dobro publiczne na czele dążeń społecznych. Nie ma jednak sposobu realizowania idei solidarnego dążenia do dobra wspólnego bez sprawnego organizatora, który określa sposób poemowania tego dobra i umie zapewnić ogólne współdziałanie. Stąd krok do władzy autorytarnej, środków przymusu i ograniczania praw obywatelskich, będących naczelną troską demokracji liberalnej. W Sejmie zatem ogranicza się do minimum prawo opozycji do stawiania pytań i zgłaszania wniosków. Narodowi narzuca się bez dyskusji gotowy projekt rewolucji w syste-

do niższych kategorii – ustrojów hybrydowych i reżimów autorytarnych. Wszystkie kraje są oceniane na podstawie pięciu cech: charakteru procesów wyborczych, sposobu działania rządu, uczestnictwa politycznego, kultury politycznej, swobód obywatelskich.

Otóż okazuje się, że status pełnej demokracji osiąga z roku na rok coraz mniej krajów. Tym razem uzyskało go zaledwie 19, z czego 14 z Europy Zachodniej (bez Francji i Włoch, które już wcześniej straciły tę pozycję). Na czele znajdują się oczywiście wszystkie kraje skandynawskie z Norwegią jako liderem. Są to państwa w znacznej mierze o obliczu socjaldemokratycznym, co nie dziwi, gdyż socjaldemokracja od dawna jest podporą ustroju demokracji liberalnej (czego, niestety, nie zdążyła zauważyć polska lewica).

Natomiast liczna, ale silnie zróżnicowana jest grupa 57 krajów o demokracji ułomnej. Tu na czele, obok specjalnej ustrojowo Japonii, znalazły się USA, które wypadły z wyższej kategorii w wyniku wyborów prezydenckich. Polska jest w tej grupie od początku analiz, ale była wyraźnie wyżej, a teraz spada i znalazła się na dość dalekim 33. miejscu. Prawie wszystkie kraje członkowskie Unii Europejskiej, z wyjątkiem Węgier, Rumunii i Chorwacji, plasują się w tym rankingu wyżej od nas, uderza przy tym stosunkowo wysoka pozycja wszystkich trzech najbliższych nam krajów bałtyckich.

Polska nie ma tradycji demokratycznej.

Polska została więc oceniona jako mocno dotknięta pogarszaniem się stanu demokracji i tendencją do oddalania się od państwa prawdziwie demokratycznego. Nie może to dziwić wobec natury działań układu rządzącego, ocenianych negatywnie – choć na razie wciąż w tonie przyjaznej krytyki – przez właściwe organy Unii. Dziwić może jedynie to, że nasz układ rządzący tak lekceważy sprawdzoną już przecież podporę pozycji i rozwoju Polski, jaką jest Unia Europejska.

Na razie jeszcze jesteśmy zaliczani do krajów demokratycznych, chociaż o demokracji ułomnej. Trzeba zwrócić uwagę na to, że z pięciu wskaźników składających się na omawianą tu ocenę Polski najniższy został przy-

znany poziomowi kultury politycznej. W pierwszej chwili to boli, ale kiedy się zastanowić...

Po pierwsze, nawet ktoś, kto popiera działania układu rządzącego, nie może przyznać wysokiego standardu kultury politycznej łamaniu konstytucji przez prezydenta i większość parlamentarną. Po drugie, Polska nie ma tradycji demokratycznej. Nie tworzyła jej przecież tzw. demokracja szlachecka, nie mogła ona się wytwarzać pod rozbiarami, próba jej tworzenia w II Rzeczypospolitej została skutecznie zdławiona przez zamach majowy Piłsudskiego i rządu sanacji, potem przyszła straszliwa noc okupacji hitlerowskiej, a następnie życzliwi sprzymierzeńcy oddali nas pod opiekę totalitarnego ZSRR. Wprawdzie wśród zmagających z sowieckim nadzorem udawało się stopniowo czynić PRL coraz bardziej samodzielną, ale do końca pozostała reżimem autorytarnym o ograniczonych prawach obywatelskich. Liberalna demokracja zaczęła się rodzić po roku 1990 w III Rzeczypospolitej i uzyskała silne wsparcie, gdy Polska przystąpiła do UE. Podpisanie traktatu z Unią pozwoliło sądzić, że weszliśmy nareszcie na drogę zbliżenia do utrwalonych, demokratycznych tradycji zachodnioeuropejskich. Ale zaraz nastąpił pierwszy akt rządów PiS z programem IV Rzeczypospolitej, a po kilku latach oddechu ta sama partia uzyskała pełniejszą władzę i przystąpiła do walki z liberalną demokracją.

Teraz więc mamy jeszcze jakieś formy demokracji, ale jest to demokracja niepełna, ułomna, zanikająca. Nie ulega jednak wątpliwości, że sami wybraliśmy władzę, która tak nas traktuje. Wprawdzie w wyborach 2015 r. głosy na Prawo i Sprawiedliwość oddało tylko 18,5% uprawnionych, ale to wystarczyło do zdobycia większości parlamentarnej. Absencja wyborcza też jest formą głosowania.

Nie wiemy, jak wielu rodaków naprawdę pociąga wizja autorytarnej dyktatury. Można jednak podjąć próbę określenia, jaka część społeczeństwa popiera obecne rządy. Ogłoszony przez CBOS sondaż z połowy lutego 2017 r. przedstawia ciekawy podział społeczeństwa na trzy grupy. Pierwsza uznaje sytuację polityczną za dobrą. Tak sądzi 19% respondentów. Druga, ▶

Wielu ludzi nie ma nic przeciwko temu, co robi władza, a nawet im się to podoba.

mie oświaty. Nocą i w maksymalnym pośpiechu przyjmuje się sekwencję ustaw i uchwał skutecznie obezwładniających Trybunał Konstytucyjny. Nawet o wycinaniu drzew władza decyduje bez dyskusji.

Obecny rząd wszedł znacznie mocniej niż w poprzednim okresie władzy PiS na drogę narzucania społeczeństwu rozwiązań bez próby porozumienia, czyli metodą „na rympał”. Drażni ludzi arogancją także w sprawach personalnych, gdy na intratne stanowiska powołuje osoby zupełnie niekompetentne, a tylko oddane partii. Mamy więc sytuację, która wielu z nas zdecydowanie nie odpowiada. Ale póki mamy wolne wybory, opozycję w parlamencie, niezawisłe sądy i wolną prasę, a także póki komisja dyscyplinarna uwalnia nauczycieli od kary za przyjęcie do szkoły w czarnych ubraniach i przyłączenie się w ten sposób do czarnego protestu polskich kobiet, póty mamy jeszcze jakąś demokrację i możemy jej bronić.

Ale jest to demokracja ułomna, której grozi stopniowe powiększanie się ułomności.

Swego rodzaju pociechą może być to, że nie jesteśmy w tym odosobnieni. Ukazała się najnowsza ocena poziomu demokracji w 167 krajach świata. Ocen takich dokonuje corocznie specjalny zespół londyńskiego tygodnika „The Economist”. Wyodrębnia cztery typy ustrojów: od najwyższej punktowanej pełnej demokracji przez demokrację wadliwą, *flawed democracy*, którą tu nazwał demokracją ułomną,

► 43-procentowa, uważa sytuację za złą. W trzeciej są ci, którzy wybrali odpowiedź, że sytuacja nie jest „ani dobra, ani zła”, czyli nie chcieli się wychylić. To 32% obojętnych.

Na tej podstawie można przyjąć, że znaczna część społeczeństwa negatywnie ocenia zamiary i działania partii rządzącej. W jakimś stopniu da się jej przypisać pozycję zwolenników prawdziwej demokracji. Jest ich dużo, co pozwala podejmować niekiedy skuteczne akcje protestacyjne, ale nie stanowią większości.

57 krajów ma demokrację ułomną. Polska znalazła się na 33. miejscu.

Otwartych zwolenników działań partii rządzącej jest stosunkowo mało, ale to grupa zwarta wokół programu budowania systemu autorytarnego. Zasilają ją ci, którzy bezpośrednio korzystają z licznych nowo obsadzanych dobrych stanowisk, z nieprzestrzegania wymagań kwalifikacyjnych czy z podwyżek wynagrodzeń. Dzięki takim poczynaniom, na które jest jeszcze sporo miejsca, liczebność tej grupy może rosnąć.

A „obojętni”? Nie są to zwolennicy demokracji, gdyż ci nie mieliby powodu nie przyznawać się, że obecną sytuację polityczną uważają za złą. Raczej ludzie, którzy naprawdę nie mają zdania, bo temat ich nie interesuje, a także ci, których cieszą takie posunięcia rządu jak program 500+ czy obniżenie wieku emerytalnego, ale drażni arogancja władzy, więc nie czują się zdolni do ogólnej oceny sytuacji. Podejrzewam, że korzyści materialne mogą przeważać, prawdopodobnie zatem są w tej grupie liczni kandydaci do otwartego popierania Prawa i Sprawiedliwości.

Z tych porównań wynika, że prawdopodobnie obóz rzeczywistych i potencjalnych zwolenników partii rządzącej jest obecnie silniejszy niż obóz zwolenników prawdziwej demokracji. Jak to wytłumaczyć? Zacząć trzeba od doświadczenia transformacji systemowej, rozpoczętej przez powszechnie wówczas upragnioną reformę Balcerowicza. Niewątpliwym sukces transformacji polegał na szybkim przywróceniu systemu kapitalistycznej gospodarki rynkowej. Sukces ten został jednak osiągnięty pod sztandarami doktryny neoliberalnej, która głośno pochwała wolnego rynku, zupełnie

lekceważąc znaczenie społecznych kosztów przemian. Te zaś były bardzo duże. W kraju wytworzył się wyraźny podział na beneficjentów przemiany, którym powodziło się dobrze, a niektórzy zdołali nawet szybko zgromadzić niezłe fortuny, oraz znaczną część społeczeństwa, która nie tylko nie odczuła żadnej poprawy losu, ale również musiała znosić skutki masowego bezrobocia, wielkiego obszaru biedy i narastających nierówności społecznych. W Polsce roku 2005, gdy PiS po raz pierwszy tworzyło rząd, połowa ludności żyła na poziomie minimum socjalnego, a ok. 3 mln zdecydowanie poniżej minimum, czyli w skrajnej biedzie. Mielśmy więc masę pokrzywdzonych przez historię i boleśnie odczuwających swoją krzywdę.

Program Prawa i Sprawiedliwości mógł się im wydawać bardzo pociągający, zwłaszcza że wprowadzono do niego dobrze brzmiące zapowiedzi szybkiej poprawy warunków życia (budowa 3 mln mieszkań). Został też silnie wsparty przez Kościół katolicki, któremu odpowiadało hasło solidarności społecznej, przeciwstawione liberalnej demokracji. Mało kto przecież wie, że antyspołeczna doktryna neoliberalna to coś całkiem innego niż liberalna demokracja, dla której troski socjalne są sprawą zasadniczą.

Prawdopodobnie w grupie „obojętnych” jest wielu kandydatów do otwartego popierania PiS.

Pierwsze rządy PiS okazały się krótkotrwałe, ale było to raczej wynikiem trudności z utrzymaniem sztucznej koalicji rządzącej niż spadku poparcia dla tej partii. Być może wyborcy zniechęcili się nie tyle do koncepcji ustrojowej, ile do sposobu działania trzech koalicjantów, który polegał na narzucaniu społeczeństwu wątpliwych rozwiązań bez troski o porozumienie. Już po dwóch latach i nowych wyborach kraj wrócił na ścieżkę liberalnej demokracji. Zdawało się, że trwałe.

Jednak osiem lat później w demokratycznych wyborach naród znowu powierzył rządy Prawu i Sprawiedliwości, tym razem dając mu samodzielnią władzę. Dlaczego? Po kilku latach widocznie zapomniano o jego sposobie działania. Mogło pomóc to, że w kampanii wyborczej zwycięska partia

w ogóle nie mówiła o swoim programie, lecz go ukryła, skupiając uwagę na obietnicach poprawy materialnej.

Co jednak najważniejsze, warunki społeczne nie bardzo się zmieniły. Wprawdzie trochę się zmniejszył obszar biedy, zmalało bezrobocie, a kraj miał za sobą niebywały sukces, bo przez wszystkie lata wielkiego światowego kryzysu, który wybuchł w 2007 r., jako jedyny w Europie zdołał uniknąć recesji i utrzymać nieprzerwany wzrost gospodarczy. Jednakże nie zniknęła masa ludzi pokrzywdzonych, dla których ten sukces niewiele znaczył, bo jego korzyści do nich nie docierały. Trudno więc się dziwić, że dążenie do budowy ustroju autorytarnego, wciąż niesłabnąco popierane przez Kościół, znowu przemówiło do niemałej części społeczeństwa. Zwłaszcza że tym razem zostało poparte kilkoma bardzo wyrazistymi obietnicami szybkiej poprawy bytu, z których jedna, 500+, rzeczywiście została szybko wprowadzona, zmieniając na lepsze położenie ubogich rodzin, zwłaszcza wielodzietnych.

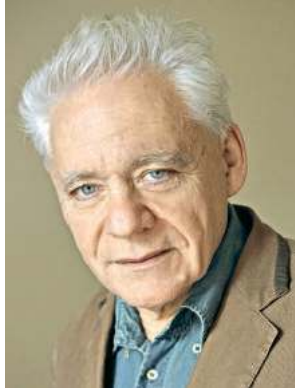
Dzisiejsza sytuacja polityczna Polski nie pozwala więc jeszcze na poważną ocenę kierunku jej rozwoju w perspektywie najbliższych paru lat. Prawo i Sprawiedliwość z pewnością nie zrezygnuje ze swojego programu, wiele zatem zależy od tego, na ile będzie się trzymać przyjętego agresywnego

stylu działania. Można sądzić, że go nie zmieni, licząc na neutralizowanie wrażenia niebywałej arogancji władzy efektami poprawy sytuacji materialnej uboższej części społeczeństwa oraz skuteczne oddziaływanie propagandy prowadzonej przez liczne życzliwe media z telewizją publiczną na czele.

Ostatecznie więc należy sądzić, że jeszcze przez jakiś czas będzie się pogłębiał nasz status demokracji ułomnej, a tempo tego procesu będzie zależało w znacznym stopniu od kształtowania się ogólnej sytuacji ekonomicznej kraju i związanych z nią możliwości finansowych rządu. Ale to już osobny temat.

Autor jest profesorem ekonomii, członkiem Polskiej Akademii Nauk, honorowym prezesem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego

Oko w oko



Tomasz Jastrun

WSZYSTKO JAK NAJGORZEJ



Mam wrażenie, że zaczynam żyć w gęstym lesie pożegnań. Pogrzeb Jurka Modraka, kolegi, artysty fotografa. Cmentarz ewangelicki na Żytnej. Brzydka, nieprzytulna dzielnica, ale cmentarz mały, przytulny i ładny. Wiele starych grobów. Napisy często już zatarte, chociaż ryte w kamieniu. W jakimś zakątku olśnionym słońcem wysyp niebieskich kwiatków, potrzaskane kolumny pokryte mchem, jakiś duży kamienny ułomek obrośnięty starym platanem. Trudno o bardziej romantyczny obraz. Skromna msza w małej kaplicy. Synek Jurka ma osiem lat, zachowuje się, jakby jego to nie dotyczyło, ale przed kremacją żegnał się czule z ojcem. Dzieci lepiej sobie radzą ze śmiercią niż dorośli. Mniej wiedzą, a może więcej? Za bardzo istniejemy, by pojąć nieistnienie. Na tym cmentarzyku kontrast między uderzaniem wiosny a śmiercią, spokojem tego miejsca i niepokojem miasta wokół. Urna z prochami wmurowana w ścianę. Poproszony przez Kasię mówię kilka słów. Tyle było życia, a potem wszystko bez trudu mieści się w kilku słowach. A one też szybko gasną.

Prezydent Andrzej Duda napisał list do Komitetu Żydów Amerykańskich (AJC), z okazji otwarcia w Warszawie biura AJC. „Z radością i satysfakcją witamy na polskiej ziemi. W ten sposób umacnia się współpraca transatlantycka”. Mam wrażenie, że po raz pierwszy Duda zrobił coś samodzielnie. Po prostu nie da się o wszystko pytać prezesa, jego ucho się zatyka. Nie miałem wątpliwości, że ten list rozuhała polski żywioł antysemitki. I proszę – na portalach społecznościowych tysiące wpisów wzburzonych Polaków, niektórzy aż oniemiały ze zgrozy. Oczywiście wypominają prezydentowi, że ma żonę nieczystej krwi, co tłumaczy zdumiewające zachowanie głowy państwa. Jest w tych głosach poczciwy, tradycyjny, ludowy, polski antysemityzm, ale częste są motywy hitlerowskie. A przecież portale i tak wycinają najostrzejsze wypowiedzi, jak to musi wyglądać w oryginale? Nie przykładam przesadnej wagi do wpisów internautów, badania mówią, że antysemityzm nam topnieje. Nie ma obiektu. Teraz głównym wrogiem dla myślenia nienawistnego są Arabowie i islam. Jedno pewne – ludziom nadal potrzebny jest jakiś obcy i lęk przed nim. A PiS tym gra.

Trzy idee i religie były nieomyślne: Kościół, komunizm i faszyzm. Człowiek musi wierzyć, że coś (czy ktoś) jest nieomyślne, by się z tym utożsamić i wybaczyć sobie własne niedoskonałości. PiS jednak czasami przyznaje się do błędu, może więc nie jest z nim tak źle. Wziął po trochu z tej „świętej trójcy” i rozwodnił w demokracji, która u nas jeszcze żyje,

mimo wszystko. Doprawdy osobliwy napój z tego wyszedł. Jak długo będziemy go pić? PiS próbuje też fabrykować nową świadomość zbiorową. Na pierwszym miejscu są teraz „żołnierze wyklęci”. Czemu nie AK? Zużyła się, potrzebne są świeże mity. Jadę do Łodzi, co rusz jakieś rondo Żołnierzy Wyklętych. Ale jest też próba wmontowania Polakom w świadomość umiarkowanej niechęci do Unii Europejskiej. Jak posypie się gospodarka, to zwali się winę na Unię. Poza tym a nuż trzeba będzie się ewakuować z tej Europy? PiS jednak zaczyna się potykać o swoje nogi. Widać odnóża prezesa, nieco wyżej majątają się nogi pani premier i pana prezydenta. Jak iść do przodu z takim balastem? Stąd te zdumiewające potknięcia i upadki, już na każdym kroku. Prezes po cichu lamentuje: „Ależ ja mam słaby materiał ludzki”.

Znany aktor mówi mi: „Wiesz, do niedawna miałem poczucie, że moje życie jest bez sensu, nie muszę już dłużej żyć. Ale teraz odzyskałem sens istnienia. Muszę dożyć chwili, kiedy PiS przegra i wsadzi się tych fajdaków”.

W moim domu ekipa filmowa, kręcą dokument o Jerzym Giedroyciu. Przypomniałem sobie spotkania i rozmowy z Redaktorem. Był piłsudczykiem, stąd też jego głęboka niechęć do polskiej prawicy. Piłsudski nienawidził endecji, z wzajemnością. Piłsudski – choleryk, Giedroyc w takiej masce spokoju, że miał nawet słabą mimikę. Obaj konserwatywni liberałowie. Wolni od uprzedzeń rasowych i narodowościowych.

I pewni, że Polacy mają jakąś skazę. Piłsudskiego można by tu cytować bez końca. Cała linia „Kultury” po ‘89 była naznaczona obawami, że w Polsce ożyje prawicowy trup zamknięty w szafie. Rozmawiałem o tym nieraz z Redaktorem. Mówił mi: „Nie jestem optymistą wobec Polski, znam Polaków”. Był zjadłym malkontentem, ilekroć pytałem go, co słysząc, odpowiadał zawsze: „Wszystko jak najgorzej”. I czy nie miał racji?

Nareszcie sondaże pokazują, że spada poparcie dla PiS, a rośnie dla opozycji, szczególnie PO. Nie ma w tej partii za wiele pracowitości czy inwencji, boję się więc, że upije się sukcesem i pójdzie spać. Czasami mam wrażenie, że Schetyna bardziej boi się powrotu Tuska i przewagi Nowoczesnej niż PiS. Jakże znamienne, że w nowych sondażach nawet SLD załapuje się na parlament, chociaż jest po udanym samobójstwie. Zabawa z duchem. Te sondaże to może być chwilowe wahnięcie, ale tendencja jest nieuchronna. Nie można wygrywać, robiąc tyle błędów i otwierając tyle frontów. Jutro moje dzieci nie idą do szkoły, strajk nauczycieli i uczniów.

30 marca 2017 r.

Czasami mam wrażenie, że Schetyna bardziej boi się powrotu Tuska niż PiS.

HISTORIA CHŁOPÓW WYKLĘTYCH

Zamożna część społeczeństwa po 1989 r. poszukiwała szlacheckich korzeni. Prawie każdy budował sobie kominek i wieszał portrety przodków

Rozmawia Kacper Leśniewicz

Opór chłopów stanowi podręcznikowy przykład społecznej samoorganizacji. Takie opinie wygłaszają doświadczeni historycy. Może zamiast mówić o liberalnym społeczeństwie obywatelskim powinniśmy wrócić do pamięci o strajkach chłopskich?

– Każda rozmowa o chłopach musi się zacząć od przypomnienia, że etymologicznie wyraz chłop oznacza niewolnika, kogoś bezwolnego. Historia oporu chłopów jest fascynująca, szczególnie gdy spojrzymy na nią pod kątem organizowania się wspólnoty. Najpowszechniejszym typem buntu był strajk chłopski – genialna forma samoorganizacji społecznej. Najczęściej strajki odbywały się w dobrach królewskich. Starosta zarządzający chłopami zwiększał pańszczyznę według własnego uznania, co wywoływało opór. W okresie najintensywniejszych prac na roli, czyli latem, w czasie żniw, cała wieś odmawiała pracy. Opór zaczynał się od próby prawnej. Chłopi wysyłali prośbę do króla. Wobec negatywnej odpowiedzi odmawiali pracy. Organizowała się wówczas cała wieś, bez wyjątku. Jeśli ktoś wyłamałby się i poszedł pracować, to, mówiąc ogólnie, wywieźliby go z tej wsi obitego.

Szlachta postrzegała resztę społeczeństwa jako bezwonną trzodę.

Na temat buntów chłopskich krąży wiele mitów. Odwołują się one do chłopów jako bezwolnej masy, która bezmyślnie, ale krwawo rozprawiała się ze swoimi wrogami.

– Szlachta postrzegała resztę społeczeństwa jako bezwonną trzodę. Jeżeli chłopi stanowili coś w rodzaju zwierząt pociągowych, to trudno sobie wyobrazić, aby mogli się buntować. Echem takiego myślenia jest twierdzenie, że w porównaniu do robotników chłopi potrafili dokonywać tylko nieskoordynowanych zrywów bezsensownej przemocy. Witold Gombrowicz, opisując chłopów w „Ferdynandzie”, posługuje

DR MICHAŁ RAUSZER

– antropolog z Instytutu Sławiastyki Polskiej Akademii Nauk

się metaforą psa i psiego żywota. Choć u Gombrowicza jest to obraz dość krytyczny wobec ziemiańskich fantazmatów, oddaje on to zjawisko ubezwłasnowolnienia, przedstawiania chłopów jako zwierząt. Poezja ziemiańska z XVII w. wskazuje na Kainowe pochodzenie chłopów, przez co do końca świata będą oni nurzać się w ziemi za swoje plugastwo.

Jeżeli więc patrzymy na chłopów jako na zwierzęta, nie będziemy ich oceniać przez pryzmat racjonalnego działania. Może pamięć o chłopskich buntach jest niewygodna?

– Pamięć o chłopskich buntach i o pańszczyźnie uderza w mit o odwiecznym, jednolitym narodzie polskim, ukazuje różnice między ludźmi i tło konfliktów. Pojęcie nowożytnego narodu polskiego ukształtowało się



czypospolitej od XVI w. był całkowicie oparty na niezależności szlachty. Innymi słowy każdy szlachcic, mając własność w postaci ziemi i przywiązanych do niej chłopów, był od pewnego momentu jedynym i ostatecznym prawodawcą. Od niego zależały sądy, a nawet w wielu przypadkach zgoda na małżeństwo. Przykładowo zgoda była uzależniona od tego, czy ziemie nowożeńców mogą przynieść większy zysk, niż gdyby ci sami ludzie związali się z kimś innym.

Oprócz tego chłopów bardzo ciężko pracowali.

– Zgadza się. Początkowo, od XV w., pracowali dla pana mniej więcej jeden dzień w tygodniu. Pod koniec XVI w. każdy szlachcic mógł ten czas ustalać dowolnie, a więc w jednej własności były to np. dwa dni w tygodniu, a w drugiej – osiem dni (wtedy pańszczyznę musiała odrabiać także rodzina). Poza darmową pracą w ciągu tygodnia na chłopach ciążył obowiązek darmowej pracy w okresie intensywnych robót polowych, np. żniw, oraz tzw. podwód, czyli transport zboża na skupy, istniał także obowiązek propinacyjny, czyli wypicia określonej ilości wódki z pańskiej gorzelni. Nie należy też zapominać o przywiązaniu do ziemi, czyli zakazie opuszczania wsi bez zgody pana, zdarzały się również przypadki handlu chłopami. Kiedy czytamy prze-

kazy etnograficzne o sytuacji chłopów w XIX w., to włos się jeży na głowie! Dojmujący głód – pożywienie na wsi w XIX w. składało się wyłącznie z kasz, ziemniaków, mleka i tłuszczu od święta. Nieustanne poczucie zagrożenia, bo pan mógł chłopów np. zabić i wtedy zostałby postawiony przed sądem, a sądziliby go jego koledzy.

Ustaliliśmy, że wystąpienia chłopskie nie były przypadkowym działaniem zbieraniny ludzi. Jak wyglądał taki strajk?

Pamięć o chłopskich buntach i pańszczyźnie uderza w mit o jednolitym narodzie polskim.

– Kiedy np. starosta zbyt obciążał chłopów, skrzykiwali się i wysyłali do króla delegację ze skargą. Bardzo często król przychylił się do takiej prośby czy skargi i zaopatrywał chłopów w listy żelazne. Zarządca dóbr leżajskich jednak odpowiadał swoim chłopom: „Choćbyście mieli żelazne prawa, tedy się muszę padać, a wy musicie robić na pańskie. A wiecie wy, chłopcy, że pan starosta leżajski tu królem i ja sam podlejszy, a przecie sobie król?”. Nieraz też wracających z takiej delegacji chłopów bito, wtrącano do lochu, zdarzały się morderstwa. Kiedy zarządca dóbr odmawiał respektowania skarg, chłopcy zbierali się w rodzaj samorządu, czyli gromadę, i radzili nad strajkiem. Był on podejmowany, kiedy cała wspólnota zgodnie się za nim opowiadała. Na przywódcę strajku wybierano osobę ze wsi cieszącą się największym autorytetem.

Bardzo rzadko strajk kończył się sukcesem, najczęściej strajki brutalnie pacyfikowano albo przeradzały się w zbrojne wystąpienia przeciwko panu. Wobec groźby upodmiotowienia się chłopów w szlachtę wstępował wyjątkowy duch solidarności w krwawym tłumieniu takich żądań. Chcę tutaj powiedzieć jeszcze jedną rzecz, ocierającą się o herezję – otóż nie wszyscy przedstawiciele szlachty byli brutalnymi degeneratami, czasem starali się należycie zarządzać dobrami. Problemem był sam system gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej, który po prostu uniemożliwiał inne traktowanie chłopów. Cała kultura szlachecka musiała więc wytworzyć przeciwciała przed wyrzutami sumienia i stąd to postrzeganie chłopów jako zwierząt, jako bydła. Z bytłem dużo łatwiej obchodzić się brutalnie.

W świetle tego, co pan mówi, opór chłopów jest przedstawiany wyjątkowo karykaturalnie.

– Przede wszystkim działania chłopów, o ile w ogóle o nich się mówi, są przedstawiane zgodnie z interesem klas dominujących: szlachty i ziemiaństwa. Dzięki temu panowie wypadają na tle zezwierzęconych chłopów jak ostoja porządku. Przede wszystkim nieprawdziwe są popularizowane tezy o wyjątkowej brutalności i nieprzemysłanym charakterze działań chłopów.

Nie sięgali od razu po kosy i nie ściśleli głów. Przypomnijmy sobie bunt Jakuba Szeli, który wybuchł, ponieważ ogłoszony strajk nie przyniósł żadnych rezultatów. Szlachta była niewzruszona, odmówiła jakichkolwiek ustępstw na rzecz strajkujących chłopów. W 1811 r., kiedy król pruski wy-

wielu temat samoorganizacji chłopów to dzisiaj skansen.

– Po pierwsze, możemy sobie uświadomić, że jako lud polityczny jesteśmy w stanie wpływać na otaczającą nas rzeczywistość i kontrolować system, w którym żyjemy na co dzień. Przywracamy znaczenie kluczowskiemu pojęciu sprawstwa społecznego grup podporządkowanych i dyskryminowanych. Z historii oporu chłopów czerpiemy także wiedzę praktyczną na temat samoorganizacji, do której niepotrzebne było błogosławieństwo klas rządzących i opiniotwórczych. Strajki chłopskie wybuchały, ponieważ chłopcy nie zgadzali się dłużej tolerować życia w określonych warunkach.

No dobrze, ale jeśli nawet toczą się dyskusje o pańszczyźnie, najczęściej pojawia się wątek rżnięcia piłą panów. Trochę trudno czerpać z tego inspirację.

– To właśnie jeden z przykładów politycznego wykorzystania pamięci. Jeżeli w naszej historii przedstawiamy



Staloryt „Rzeź galicyjska”.

dał edykt, by trochę złagodzić nastroje społeczne, chłopcy na Śląsku odebrali to jako zniesienie pańszczyzny. Spotkali się w gospodzie w Tworzkowie, nie zabierali od razu siekier i pił, tylko wydali manifest, czyli tzw. znowę tworzkowską, w której zapowiedzieli koniec odpracowywania pańszczyzny. Oczywiście wywołali tym reakcję zbrojną i dopiero wtedy wybuchły walki, które rozlały się na całym terytorium między Raciborzem a Pszczyną.

Czego możemy się nauczyć dzięki wiedzy o buntach chłopskich? Dla

taką sprawczość społeczną tylko jako zryw nagej przemocy, to pacyfikujemy wszelkie pozytywne wzorce wspólnotowego działania, na jakich można budować tożsamość i aktywność polityczną. Zamiast ślepej reakcji na zasadzie: dawał im, możemy pomyśleć o działaniu pozytywnym. Historia buntów chłopskich jest dzisiaj historią wyklętą, i to w sensie dosłownym. W konfrontacji z narracją szlachecką, powielaną nawet przez środowiska lewicowo-liberalne i oczywiście skrajną prawicę, wciąż nie ma większych

► szans na przebicie się do świadomości społecznej innej historii Polski niż opowieść o dzielnych królach, rycerzach i cnotliwych damach.

Potomkowie szlachty odzyskują wieś Michałowice, Czartoryscy sprzedają państwu za 100 mln euro kolekcję sztuki, warszawskie kamienice są zajmowane przez osoby kojarzone ze Związkiem Szlachty Polskiej. Wymarzone warunki do przywracania pamięci o pańszczyźnie i chłopskim oporze...

– Skala roszczeń i akceptacja tego procesu przez państwo są niepokojące. Gdybyśmy mieli rzetelną opowieść o życiu chłopów w okresie pańszczyzny, czy ktoś odważyłby się zapłacić 100 mln Czartoryskim za zbiory? Stwierdzenie, że Czartoryscy powinni w takim razie zapłacić odszkodowania za pańszczyznę, zostało skwitowane jako nieznanomość kontekstu historycznego. Ale jakiego kontekstu? Darmowej pracy na ich roli? Czyszców im płaconych? Jako społeczeństwo wciąż nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, że majątek w Michałowicach został ufundowany na niewolniczej pracy chłopów.

Kto wobec tego najbardziej potrzebuje dziś pamięci o pańszczyźnie?

– Potrzebujemy tego jako społeczeństwo. Powinniśmy jednak zachować ostrożność, aby nie popaść w jednowymiarowość. To nie może być tylko opowieść o chłopskiej krzywdzie, ponieważ stwarzamy dogodne warunki



Aleksander Kotsis, „Ostatnia chudoba”.

poszukiwała szlacheckich korzeni. Prawie każdy, kto wygrał na transformacji po 1989 r., natychmiast budował sobie kominek, nad którym wieszał portrety przodków i skrzyżowane szable, co jest zaskakujące, ponieważ do szlachty można było zaliczyć w XVII w. 10% społeczeństwa. Brakuje nam znaków i symboli odwołujących się do historii chłopów. Mniej zamożni obywatele nie wieszają na ścianach sierpów i cepów, zamiast tego powiększają domy o filary imitujące dworki. Interesujący pod tym kątem jest proces wy-

powieści Henryka Sienkiewicza, odnawiających ziemiańskie mity. Jeżeli spojrzymy na filmy poruszające tematykę wiejską w czasach PRL, to nawet te pozornie emancypacyjne opierają się na chłopskiej „bezwolności”. Chłopskie buntury czy przemiany świadomości zawsze są inspirowane przez jakiś element zewnętrzny. Tak się dzieje w doskonałym, westernowym „Podhalu w ogniu” o buncie na Podhalu z 1651 r., w którym gniewny szlachcic popycha chłopów do zrywu. W ekranizacji „Konopielki” dopiero przystana przez partię nauczycielka zmienia chłopską świadomość, emancypuje seksualnie, a przez to także technologicznie.

Może powinniśmy szukać ratunku w kulturze? Nakręmy dobry film o chłopach i polskim niewolnictwie.

– To bardzo dobry pomysł. Wyobraźmy sobie, że powstaje w Polsce film jakościowo porównywalny do „Django” Quentina Tarantina. Przedstawia sugestywnie położenie niewolników i ich emocje, ale ma też żywą akcję, interesujących bohaterów i doskonałe dialogi. Zamieńmy amerykańskich niewolników na polskich niewolników – chłopów. Pokażmy, jak byli traktowani, jak kochali, nienawidzili, jak patrzyli na świat. Taka opowieść wprowadziłaby nowy typ myślenia o relacjach społecznych. Możliwych bohaterów jest wielu, taki Radocki z powstania Kostki-Napierskiego, postać o niezwykle skomplikowanym życiorysie, oczywiście Jakub Szela; można tu wymienić wielu innych. Można by nakręcić także

Majątek w Michałowicach został ufundowany na niewolniczej pracy chłopów.

ki do powstawania niebezpiecznych resentymentów. Zamykamy się wówczas w sporze plemiennym: my nienawidzimy ich, oni nienawidzą nas i dążymy do tego, żeby nasz wróg zniknął. A co się stanie, gdy on już zniknie? Wówczas tożsamość zbudowana na nienawiści się rozpadnie, bo zabraknie jej obiektu tej nienawiści. Potrzebujemy pozytywnej opowieści o emancypacji chłopów, o pochodzeniu ze wsi, o chłopskich korzeniach.

Naszą wyobraźnią rządzi jednak szlachta. Odwołują się do jej tradycji przedstawiciele wszystkich klas społecznych.

– Zgadza się, nie ma opowieści, która pozwoliłaby nam się zidentyfikować z chłopami. Zamożna część społeczeństwa w pierwszej dekadzie XXI w.

pierania się chłopskiego pochodzenia przez ludzi wywodzących się z klas ludowych, którzy zaczynają odgrywać rolę opiniotwórczą, stają się elitą. Najczęściej odwołują się do wzorów inteligencji mieszczańskiej, a bywa, że i do szlachty. Dzięki temu mogą zająć bezpieczną pozycję w środowisku politycznym, biznesowym i medialnym.

Co nam to mówi o kulturze i polityce pamięci o chłopach?

– W polskiej kulturze chłop zawsze był niemy. W latach stalinizmu próbowano przywrócić wiedzę o chłopskiej emancypacji i budować tożsamość na podnoszeniu chłopskiej godności. Bardzo szybko jednak zarzucono ten pomysł, by powrócić do sielskiej „ziemiańskości”. Widać to choćby w popularności w latach 60. i 70. ekranizacji

doskonały film o Ernestynie Świbównie, nauczycielce z Brennej, w wolnych chwilach zbierającej wiadomości o lokalnej kulturze ludowej.

Powstają sztuki teatralne o Jakubie Szeli, ale rzadko udaje się wyjść poza niego i zobaczyć, jak ten system działał na poziomie norm i reguł społecznych.

– Historia uprawiana w Polsce w dużym stopniu oparta jest na wydarzeniowości. Pokazuje się ją jako nieustanne zmaganie z losem i przeciwnikami konkretnych bohaterów, zawsze wywodzących się z jednej warstwy. Taki sposób myślenia oparty na wielkich bohaterach zastępuje wiedzę o codziennej pracy, oporze i organizacji grup obywateli. Zupełnie inny typ wrażliwości daje nam historia społeczna, czyli opowieść o klasach społecznych, dzieciach, kobietach, mniejszościach etnicznych.

Aby zmierzyć się dziś z historią pańszczyzny i oporem chłopów, powinniśmy się zastanowić, jak ten temat jest odbierany przez społeczeństwo. W jaki sposób myślą o wsi elity?

– Możemy obserwować próby budowania pozytywnego wizerunku wiejskości. Dominuje jednak model, w którym intelektualista jedzie na wieś i opisuje nam to, co tam zobaczył, ale tylko z własnego punktu widzenia. Istotne dla tej perspektywy są marzenia wielu osób o domku na wsi. W ramach tych doświadczeń wieś jawi nam się jako kraina, gdzie rano budzą nas ptaszki, krówka nam rano śmietankę przynosi i za chwilę wyjdzie słonko. Widać to bardzo dobrze w filmach Jana Jakuba Kolskiego. Nikt tam nie musi pracować, nie trzeba niczego doglądać, wszystko dzieje się samoistnie. Życie na wsi jest związane z doznaniem duchowymi. Zastanówmy się, kto w takich warunkach żyje na wsi?

Na pewno księża i może jacyś zaможni obywatele. Co jeszcze dzisiaj wyróżnia nasz stosunek do wsi?

– Można mówić o dwóch rodzajach stygmatyzacji czy rasizmu. Mamy klasycznie rasistowskie opowieści, w których ciemnoskóry jest gorszy, głupszy i generalnie zły, ale są opowieści, w których wychwalamy kulturę innego i gardłujemy za jej zachowaniem. W tej drugiej formie mówimy o rasizmie odwróconym. Tutaj też traktujemy innego jako kogoś bezwolnego – to my wiemy lepiej, co dla niego dobre, i rościmy sobie prawo do kształtowania

jego kultury. Oczywiście obie formy nie są porównywalne, ale w podobny sposób podchodzą do samodzielności myślenia i decydowania o sobie innego: czarnoskórego, Araba czy chłopca, także kobiety. Właśnie ten drugi schemat można od jakiegoś czasu obserwować w kontekście wiejskim. Natomiast początek lat 90. to okres szczególnie intensywnego stygmatyzowania wiejskości. Przypomnijmy sobie, jak przedstawiano Samoobronę Andrzeja Leppera – jako bandę dzikich chłopów. Krytyka wymierzona

W polskiej kulturze chłop zawsze był niemy.

była w wieśniaków, którzy nie wiedzieli, co należy postawić przed domem. Jak ktoś zdradził swój akcent, od razu stawał się obiektem drwin i podejrzeń. **Mamy zatem kolejną opowieść o cywilizowaniu wsi.**

– Mieszkańcy wsi stanowią w jej świetle bezwonną masę. Traktuje się ich trochę jak dzikich z opowieści antropologów, dzikich, którzy nawet nie wiedzą, że mają kulturę. Widzimy też podobne reakcje podczas dyskusji po zwycięstwie PiS i Donalda Trumpa. „Wieśniaki” (by zacytować popularny schemat myślowy) z Podkarpacia nie są w stanie decydować o sobie, bo jak już mają wybór, to wybierają nieodpowiedzialnie, czyli np. „Kaczora”. Elity, ubezwłasnowolniając tych ludzi, kręcą na siebie bicz, bo czy nie taka jest jedyna

na reakcja na oskarżenia, że czyjś demokratyczny wybór jest nieodpowiedzialny? Czyli co? Mój wybór oznacza, że jestem za głupi, żeby o sobie decydować, bo jak dziecko wybiorę źle? Na tak przygotowanym podglebiu popularność zyskują prawicowi populiści, którzy wykorzystują te resentymenty. W tej sytuacji klasy ludowe pozostają bez pozytywnej opowieści o sobie, bez pozytywnych wzorców tożsamości, bo ich wyrażenie w formie resentymentu niczego dobrego nie przynosi ani im, ani nikomu innemu.

Prezydent Duda w małych miasteczkach mówi wyraźnie, że jego obóz zadba o tych ludzi. Obecna władza traktuje wyborców wyjątkowo paternalistycznie. Jak tu budować inną opowieść o Polsce, uwzględniając tradycje chłopskiego oporu?

– Prawica wspiera swoich wyborców na poziomie psychologicznym, zapewniając im utraconą protektę godności. Nie udziela im jednak głosu, ale wykorzystuje go, żeby po prostu przejąć władzę i idące za nią finanse. Mamy więc do czynienia z zastąpieniem jednej elity przez drugą i niczym więcej. Jest taki dowcip, że jeżeli politycy mówią, że chcą naszego dobra, to należy te dobra jak najszybciej ukryć.

Kacper Leśniewicz



KANDYDACI NA EKRANY

Jesteśmy coraz bardziej ciekawi rodaków, którzy uczyli, nie jak bohaterstwo ginąć, ale jak rozsądnie żyć

Wiesław Kot

Bum na ekranowe biografie wybitnych współczesnych Polaków trwa. Film „Bogowie” o prof. Relidze obejrzało dotąd przeszło 2 mln widzów. „Sztukę kochania. Historię Michaliny Wisłockiej” – 1,6 mln. Jesteśmy coraz bardziej ciekawi rodaków, którzy uczyli, nie jak bohaterstwo ginąć, lecz jak rozsądnie żyć. A w historii XX w. mamy jeszcze spory zapas postaci, które aż się proszą na ekran. Bo barwne, źle przedstawiane, niesformatowane. Ale zawsze z potencjałem. A że kino myśli obrazem, anegdota, spróbujmy mu je podsunąć.

ŚMIERĆ OD WODY SODOWEJ

Wyobraźmy sobie pilota Franka Żwirko, promowanego dopiero co, w roku 1924, na porucznika w jednostce lotniczej w Grudziądzu, jak wykonuje swój ulubiony numer. Nie, wcale nie te słynne becзки i korkociągi, od których widzom krew ścinała się w żyłach. Franek lata sobie wysoko i tylko popatruje, kiedy na poligonie pod miastem słynna kawaleria z Grudziądza ustawi się w nienagannym szyku bojowym. Wtedy nagle przelatuje tuż ponad głowami szwadronów, a konie w panice rozbiegają się na wszystkie strony. Sypany się nagany, ale Żwirko i tak był najlepszy, zwłaszcza podczas nocnych lotów, kiedy za całą nawigację musiała mu wystarczyć obserwacja gwiazd. Szybko więc awansował, a w Warszawie poznał konstruktora Stanisława Wigurę. Stali się nierozłączni – pomysłowy konstruktor i ryzykancki oblatywacz.

I tak nadszedł rok 1932, a z nim – europejski Challenge. Lekkie samoloty, do pokonania 7 tys. km w sześć



Żwirko i Wigura to byli trzeźwi faceci, ale raz sodówka uderzyła im do głowy.

dni. Polecili samolotem RWD-6 projektu Wigury, wyklepanym po godzinach w hangarach na Okęciu. W ostatnią niedzielę sierpnia na berlińskim lotnisku Tempelhof, po próbie prędkości maksymalnej, Żwirko i Wigura wylądowali jako pierwsi. Nagrody, gratulacje i – do Warszawy. Tak jak wtedy się latało: wzdłuż linii kolejowej Berlin-Poznań-Warszawa, bo innej nawigacji nie było. Na Okęciu tłumy entuzjastów nie była w sta-

nie opanować nawet policja konna. Audjencje, gratulacje od najwyższych dostojników i wyrazy nadziei, że tak zdolny tandem dźwignie polskie lotnictwo.

Żwirko i Wigura to byli twardzi i trzeźwi faceci, ale tym razem sodówka wyraźnie uderzyła im do głowy. Na fali uniesienia zapomnieli, że ich RWD-6 to świetnie skonstruowana, ale przecież też wyklepana w amatorskich warsztatach maszynka do latania. I co najważniejsze – po Challenge’u wyeksploatowana do granic. Po kilku dniach, bez przeprowadzenia koniecznego przeglądu technicznego, wsiedli do tego swojego cuda, żeby się przelecieć dosłownie kawałeczek. Na zawody lotnicze do Pragi.

W tamtych czasach awaria samolotu nie była niczym nadzwyczajnym. Jak dostawał zadyszki, lądowało się na pierwszej lepszej łące, naprawiało i frunęło dalej. Ale nie tym razem. Kiedy Żwirko i Wigura lecieli nad Beskidem Śląskim, w okolicach Cieszynej po prostu mocniej dmuchnęło. To wystarczyło, by ich wymęczony samolot po prostu rozpadł się w powietrzu. Runęli. Nie mieli najmniejszych szans. Bardzo polska śmierć. Polskie było też pożegnanie wyczynowców. W Warszawie zgotowano im pogrzeb nie mniej uroczysty niż prezydentowi Narutowiczowi i marszałkowi Piłsudskiemu.

NIECH SCZEZNĄ ARTYŚCI!

Dla filmu nawet najwięksi bywają straceni. Tłumaczyła to Szymborska: co z tego, że poeta pisze interesujący wiersz, skoro na filmie trzeba by pokazać, jak godzinami siedzi w stroju niedbałym i rozmyśla, a potem stawia na kartce parę wersów. I już. Ale w przypadku Magdaleny Abaka-

nowicz musiało to wyglądać inaczej. Jej prace w płótnie od początku miały trzeci wymiar. Lawa zakrzepła na stokach wulkanu, stalaktyty w głębi jaskiń, płatanina lian w dżungli – to dostrzegali krytycy w abakanach.

Widzimy, jak artystka uwija się, krząta wokół obiektów, które są dwa albo i trzy razy wyższe od niej. Jak ładuje w te swoje kadłuby zwoje lin, kłęby pakuł, sznurów, włókien, jak z głów robi miniaturowe pacynki albo w ogóle je ucina. Ustawia toto – wybebeszone, odmóżdzone – w karnych szeregach, że niby otacza ją anonimowy, bezmyślny tłum. I żeby wrażenie nie rozwiało się po zakończeniu wernisażu, przerzuca się z nietrwałego płótna na drewno, na żeliwo. Obiekty pojawiają się w miejscach publicznych, np. 40 „pleców” w Hiroszimie, na wzgórzu, na którym schroniła się garstka ocalałych po wybuchu bomby atomowej.

I ironiczna pętka. Kiedy artystka ustawiła swoich 112 „Nierozpoznanych” z żeliwa na poznańskiej Cyta-deli, miejscowi „nierozpoznani” bardzo się ucieszyli. Bo to rozległy teren spacerowy, tymczasem nie było tam wtedy ani jednej ubikacji. A tak – problem się rozwiązał...

ŁZY W LOS ANGELES

Co z tego, że Januszowi Kusocińskiemu krociła się jasna przyszłość dziedzica świetnie prosperującego gospodarstwa ogrodniczego w Ożarowie pod Warszawą? On wołał palanta i bieganie. Nawet jak w żniwa kosił od świtu, to i tak wieczorem biegał te swoje 10 km po warszawskiej Agrykoli. Do biegania w barwach Klubu Sportowego Sarmata dopuszczali go jednak tylko wtedy, gdy zachorował któryś z zawodników. Na bilet (trzeciej klasy) na pierwszą międzynarodową spartakiadę do Pragi ledwie starczyło, na porządną positek już nie. Najadł się knedliczków, popił piwem i wybiegał tylko drugie i trzecie miejsce. Ale się zawziął.

Kiedy po paru latach jechał do Pragi jako członek reprezentacji narodowej, nie tylko miał już własny pokój w hotelu, ale też pozwolili mu biegać w tej jego czapeczce, którą

uważał za talizman. I powoli, z bieżni na bieżnię, z podium na podium, wy-rabiał sobie nazwisko.

Rok 1932, olimpiada w Los Angeles. Kusociński stoi na najwyższym stopniu podium, 10 km przebiegł w rekordowym tempie 30 minut i 11,4 sekundy. Grają „Mazurka Dąbrowskiego”. Kusociński słucha i płacze. Ale nie z radości. Z bólu. Włożył nowe kolce i jego stopy to teraz jedna wielka rana.

Wrzesień 1939 r. zastaje go w Warszawie, więc Kusociński zgłasza się do wojska. Tam słyszy, że nic z tego. W papierach – z racji licznych kontuzji – ma już dawno wpisaną kategorię D. Nie nadaje się do noszenia broni. Rozgoryczony chwytła więc byle karabin i walczy na barykadach. Nie wie, że wyrok na niego już zapadł – jako jeden z najbardziej znanych Polaków figuruje na listach gestapo. Aresztują go 26 marca 1940 r., rozstrzelają w Palmirach.



Kusociński nawet jak w żniwa kosił od świtu, to i tak wieczorem biegał te 10 km.

SAMOBÓJSTWO ROZŁOŻONE NA OCEANY

Mały Leonid mieszkał 300 km od morza, w Grodzisku Mazowieckim, ale nie przeszkadzało mu to podróżować po najodleglejszych morzach i oceanach. Na razie w marzeniach. Ale minie kilkanaście lat i Leonid Teliga będzie śmigać przy bałtyckim brzegu jachtem typu „Konik Morski”, bo zaliczył kurs w Jastarni. Wy płynąłby dalej, ale – wojna. A że miał już papiery jachtowego sternika morskiego, przyjęli go do „kolektywu rybackiego”, który łowił na Morzu Azowskim.

Wszystko to mały, ale jak wypłynąć dalej, skoro się wychodzi ze Związku Radzieckiego z andersowcami? Potem strzela się do messerschmittów z pokładu lancastera? A potem w PRL zarabia jako dziennikarz?

Pewna szansa pojawiła się, gdy Leonid zarobił nieco jako członek Komisji Rozjemczych ONZ w Korei i Laosie. Zamknął się w starym gdyńskim baraku przeznaczonym do rozbiórki i zaczął budować jacht pełnomorski. Na dwoje babka wróżyła: uda się takie cudo zbudować, nazwie go „Opty”, jak optymista, nie uda się, to powstanie bodaj kajak i wtedy nazwie go „Pesy”, jak pesymista. Udało się – 1 października 1966 r. podniesiono banderę na jachcie „Opty”, a 25 stycznia jacht wyruszył z Casablanki w rejs dookoła świata. Niestety, „Opty” przeciekał, a Telidze ręce wykręcał reumatyzm. Przerwa, niejedyna. „Żeby przepłynąć ocean, trzeba mieć tyle cierpliwości, ile w nim jest wody”, notował na Barbadosie. Przepłynął. Linie własnego kursu z roku 1967 Teliga przeciął 5 kwietnia 1969 r. o godz. 11.15. Wtedy zamknął krąg okołoziemski. Po dwóch latach, 13 dniach, 21 godzinach i 35 minutach.

Kiedy zacumował w Casablance, schodził z jachtu, stając się, w stanie skrajnego wyczerpania. Cokolwiek by mówić, taki rejs to było czyste samobójstwo rozłożone na raty. „Gorące herbaty! ▶

► Czy jest tu lekarz? Sucha pościel!”, brzmiały jego pierwsze słowa. Był ruiną człowieka. Przewiegetował jeszcze tylko rok.

PIOTRUŚ, KRZYSIO, TADZIO I INNI

Obrazek pierwszy. Lata 50., barak robotniczy w Nowej Hucie, godz. 3 w nocy. W baraku trwa próba teatralna, którą prowadzi młodziutki absolwent Państwowej Szkoły Instruktorów Teatrów Ochotniczych, Piotruś Skrzynecki. Dlatego tak późno w nocy, bo w obsadzie sztuki są zarówno robotnicy pierwszej, jak i trzeciej zmiany. W stołówce karmią marnie, więc żeby choć raz w tygodniu podjeść do syta, ferajna z Nowej Huty wyprawia się do Krakowa, do restauracji. Zamawiają, pałaszują, a potem na gwizdek zrywają się i w nogi – oczywiście bez płacenia. Pan instruktor jest najstarszy, więc przysługuje mu zawsze miejsce najbliżej drzwi.

Jest rok 1956 i ten sam Piotruś szuka lokalu na Klub Młodzieży Twórczej. Nocami chadza ze świeczką po piwnicach kamienic w okolicach krakowskiego Rynku. Nadała mu się taka jedna w pałacu Pod Baranami. Dwie zagruzowane klitki z wejściem przez okienko – z ulicy. Trzeba to jakoś przystosować. Nie ma sprawy – gruz wywozi taczkami młodziutki skrzypek



Krzysio Penderecki, węgiel wynosi Tadek Kantor, a pierwszą estradkę zbija ze skrzynek po piwie Wiesiek Dymny. „Od państwa, gdzie jest więcej szpiegów niż pielęgniarek i więcej miejsc w więzieniach niż w szpitalach, wybaw nas, Panie!”, popłynęło z tej estradki w jednym z pierwszych programów w roku 1956.

A potem to już był program z okazji 93. rocznicy elektryfikacji Krakowa, inscenizowano Hołd Pruski, zorga-

Lawa zakrzepła na stokach wulkanu, płatanina lian w dżungli – to dostrzegali krytycy w abakanach.

nizowano „striptiz holenderski”, co polegało na publicznym rozbieraniu roweru na części. W czasie stanu wojennego artyści Piwnicy chórem odśpiewali tekst milicyjnej notatki dotyczącej Piotra Skrzyneckiego: „Swoją spokojną i godną postawą jakby zachęcał do demonstracji”.

Skrzynecki przestrzegał zasady, by kończyć kwadrans przed pełną godziną. Jeżeli przedstawienie się nie udało, goście wychodzący na Rynek mogli przynajmniej posłuchać hejnału z wieży mariackiej.

Sam Skrzynecki przeniósł pół wieku na Groblach, w najbardziej zaniedbanej dzielnicy Krakowa. Janina Garycka, towarzysząca życia, wspominała: „Ludzie pukali tu ciągle do okna, przychodzili z wódką, bo on był takim bohaterem ludowym...”. Pewnego dnia zjawił się koleżka z dwoma żelaznymi prętami i z propozycją: „Panie Piotrze, chodźmy do zoo. Będziemy napieprzać tymi prętami po klatkach, gdzie siedzą małpy, i dzień jakoś zleci”.

„Dla mnie Piotr zawsze był wyrzutem sumienia, że nie dość poetycko żyję na ziemi”, mawiał ks. prof. Józef Tischner.

Wiesław Kot



DOBRA ZABAWA

Anarchistyczna opowieść Agnieszki Wolny-Hamkało, poetki, krytyczki literackiej i felietonistki PRZEGLĄDU, o dzieciństwie, które wcale nie jest różowe i układne. Zaczyna się jesień, która gasi światła, zabiera rowery, namioty i klapki i wysyła deszcz. Po to, żeby było brzydko, czarno, szaro, żeby było wielkie przeżycie. Ale trójka bohaterów: Adelka bałaganiara, Franek, który lubi zatrzymywać świat, i Julek, który pluł w kałuże, nie boi się bakterii i kataru. Jak miło w parku pobrodzić w kałużach! A żeby dorośli nie przeszkadzali

w zabawie i nie upominali, wrzucić do wody telefony. A może zrobić coś jeszcze bardziej buntowniczego? Wypalić papierosa? Rozbić butelkę? Rozebrać się i biegać w listopadzie na golasa, z gołą głową i boso? Albo spalić świat? A kiedy kończy się apokalipsa jesieni, dzieci budzą się w nowym, wysprzątanym, ohydnie pięknym świecie, gdzie w ohydnie pięknym parku dzieci chodzą w ohydnie pięknych ubrankach. Ale wystarczy tylko telefon do jesieni, żeby nie było nudno...

Dla kogo jest ta książka, ilustrowana mrocznymi grafikami Ilony Błaut? Dla dorosłych czy dla dzieci? Dla jednych i drugich, jeśli mają naturę buntowników.

(es)

Agnieszka Wolny-Hamkało, *Nikt nas nie upomni*, Wydawnictwo Hokus-Pokus, Warszawa 2016

KSIAŻKA

Paramparcza może potrwać

Edward Mikołajczyk

TVP wyznaje miłość do własnego kraju dwa razy w tygodniu, w sobotę i w niedzielę, w „Kocham Cię, Polsko”. W dni powszednie dopuszcza się zdrady, od poniedziałku do piątku po trzy razy w Jedyńce, tyle samo w Dwójce i raz w TVP Seriale, w najlepszym czasie antenowym.

Wybrała sobie do amorów Turczynki i Turków w różnym wieku. Uprawia voyeuryzm, czyli podglądactwo, na skalę niespotykaną między narodami. Nawet w okrutnych czasach Józefa Stalina, po części pewnie dlatego, że nie było jeszcze w Polsce telewizji, nie zmuszano Polaków do tak namiętnego podglądania narodów Związku Radzieckiego, jak to się czyni dzisiaj w odniesieniu do obywaterek i obywateli Turcji, mocarstwa przecież trochę mniejszego.

Oglądamy turecką jazdę obowiązkową i tańce godowe w fantastycznych układach: ona i on dzisiaj, jeden sułtan i niejedna sułtanka przed wiekami, matka i córka oraz ona lub on, teść, ojciec, kochanek, Ibrahim Pasza, kumpel szefa, Murad IV, totur biznesmen. Dowiadujemy się masowo o niepokojach w haremie, intrygach na dworze i współczesnych spiskach.

Po tym jak Cihan zastał Cansu w mieszkaniu Özkana, Cihan jest wściekły. Cansu wraca do domu, w którym mieszka z Gülseren. Wkrótce Cihan dowiaduje się, że jego ojciec i Dilara zapłacili kaucję, żeby wyciągnąć Özkana z niemieckiego więzienia. Chcesz wiedzieć, jak to się skończy, oglądaj TVP 1 we wtorek, w najlepszym czasie. Trzeba tylko trochę cierpliwości, bo „Paramparcza” może potrwać. „Rozdarte serca”, w polskiej wersji, będą rozpruwane i ponownie zszywane na antenie jeszcze jakieś 90 razy, a jeśli ta operacja na otwartych sercach spodoba się widzom, stacja zakupi, oczywiście z pieniędzy abonentów płacących za misję publiczną, następnych 200 gotowych już epizodów.

Tureckim telewizjom, w co aż trudno uwierzyć, ich seriale podobają się jeszcze bardziej niż widzom w Polsce. Oglądają je z uwagą przez prawie 150 minut. Jeśli fala nabożnego zainteresowania naszego ludu obyczajami ludu z naszej perspektywy bezbożnego będzie wzbiierać, TVP powinna przejść z dzisiejszego 45-minutowego formatu emisyjnego na ten turecki.

TVP wyznaje miłość do własnego kraju w sobotę i w niedzielę, w dni powszednie dopuszcza się zdrady.

Kto chce poznać prawdziwą „Cenę miłości”, niech wybierze TVP 2. Szahnur podburza Sawasza przeciw Cziczek. Nie może się doczekać wnuka i poleca Cziczek (co znaczy, że to damskie imię), aby zjawiła się w sypialni Sawasza w wyzywającym stroju. Sawasz jest wściekły na Szahnur. Każe śledzić Cziczek, bo podejrzewa ją o romans, ale kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że Cziczek udziela korepetycji ze starotureckiego siostrze kolegi ze studiów.

Naprawdę można umrzeć z ciekawości. Turecka narracja wciąga jak hasz. Co prawda, sułtan TVP obiecywał rok temu, że zaraz zastąpi importowane „Wspaniałe stulecie” rodzimą

wspaniałą produkcją, ale tak się zapatrzył w Roksolanę, pierwszą sułtankę w Telewizji Polskiej, że się zapomniał i w ogóle wybrał kurs na Bosfor.

Rezultat jest taki, że po roku rządów Jacka Kurskiego TVP obraca codziennie pięcioma serialami tureckimi, których tytułów aż nie chce mi się tu wymieniać. Emituje je oczywiście w technologii rdzennie polskiej, wynalezionej w latach 60. ubiegłego wieku. Nazywa się ona *voice-over*, czyli szeptanka nadwiślańska. Niewidoczny na ekranie lektor czyta z kartki po polsku wszystko, co mówią po turecku aktorzy, jednakowo mężczyźni i kobiety, sopran i basy, dziewczęta, starcy i dzieci.



„Wspaniałe stulecie” – tureckie zauroczenie polskiej telewizji.

Turecką ofertę fabularną wsparły w ubiegłym tygodniu dwa tytuły dokumentalne: francuskie studium żądzdy władzy o Erdoğanie (obiektywizujące i bogate zdjęciowo) oraz powtarzany już nie wiem który raz słabutki dokument grecki z 2013 r. o nadzwyczajnej popularności tureckich seriali w Grecji i kilku krajach arabskich. Oba mają się nijak do kompulsywnie malowanego przez Turków, a nadmiarowo transmitowanego przez Telewizję Polską, serialowego obrazu Turcji. Grecki dokument, być może, TVP traktuje jako usprawiedliwienie swoich ekscentrycznych zakupów programowych.

Trzeba przestrzec członków rządu, żeby nie powoływali się na znajomość tureckich realiów wyniesioną z oglądania seriali, tak jak wicepremier Morawiecki powołuje się na realia polskiej wsi dostrzeżone w „Ranczu”. Prawda, że ten polski serial może robić za dokument w zestawieniu z tureckimi bajkami, ale tak w ogóle to nieprawda.

Zanim uczeni zbadają, po co narodowej telewizji aż tyle obciachowych, obcych bajek, trzeba dopuścić intuicję, że Jacek Kurski, niefortunny konstruktor V4 (telewizji wyszehradzkiej po angielsku dla całego świata), przystępuje teraz do budowy zapowiadanej już telewizji międzymorskiej i szuka właśnie dostępu do wód oblewających Azję Mniejszą. ■

KOLEJNOŚĆ DZIOBANIA

Kto ma w stadzie najgorzej? Przedostatni. Zawsze może spaść o szczebel niżej

**JOANNA
KOSSAK**

– wnuczka Jerzego Kossaka, prawnuczka Wojciecha. Siostrami jej dziadka były Maria Pawlikowska-Jasnorzewska oraz Magdalena Samozwaniec. Siostrzenica Simony Kossak, biologiki, profesor nauk leśnych, która naukowe życie spędziła w Puszczy Białowieskiej, autorki książek i gawęd radiowych.



Rozmawia Małgorzata Kąkiel

Czy w pani puszczańskim domu bywa dzik?

– Większość z tego, co żyje, bywa tutaj. Dzięki w ilości dużej. Zanim przyszedł afrykański pomór świń, dzików było tyle, że zdemolowały mi ogrodzenie 2 ha łąk. Musiałam zrezygnować z trzymania koni. No ale to środek lasu, 7 km do asfaltu, 8,5 km do sąsiada, więc zwierzyna jest tu u siebie.

Ale Simona Kossak miała dzika domownika, który nawet do łóżka chciał wejść.

– Simona miała to, czego mnie jeszcze nie udało się osiągnąć, bo ona miała wokół siebie wszystkie zwierzęta, jakie występują w Puszczy Białowieskiej, z wyjątkiem żubra, wilka, wydry i bobra. Cała reszta przemieszkiwała na Dziedzince. Albo to były zwierzęta z ogrodów zoologicznych, chowane od oseska – ten dzik, loszka Żabka, miała trzy dni, jak pojawiła się u Simony – albo znajdy, ciężko okaleczone bądź porzucone.

Jeśli tylko się dało, po podleczeniu puszczano je z powrotem do lasu, co nie zawsze było dobre.

Nie umiały sobie poradzić?

– Ależ znakomicie umiały. Na przykład kuny wracały, bo wiedziały, że tam dostaje się jedzenie – i kurnik był ich. Na szczęście kradły tylko jajka, a nie ruszały kur. Natomiast lisy przychodziły i brały wszystko – miały w nosie Simonę i Leszka, bo się ich nie bały.

Wszyscy w naszej rodzinie mieli świra na punkcie zwierząt.

Czego człowiek może się nauczyć od zwierząt?

– Wszystkiego. Obcowanie z tyłoma zwierzętami na Dziedzince przyniosło głębokie przekonanie, że są to istoty myślące i czujące, a nie karteżañskie maszyny białkowe.

Czyli w wyniku intensywnych kontaktów z fauną możemy ulec zezwierzęceniu?

– No tak, kwestia słownictwa. Genialny człowiek używa ok. 12% pewnych obszarów mózgu, średnio używa się 8%. Badanie EEG zrobione u szczura czy papugi wykazuje 100% aktywności tych samych obszarów, co oznacza, że zwierzęta, w przeciwieństwie do nas, są w pełnym kontakcie z rzeczywistością. Weźmy jesienną chmarę szpaków – parę tysięcy ptaków zamienia się w jeden organizm, który w karkołomnych ewolucjach przetacza się nad polami z prędkością bolidu. Tam nie ma czegoś takiego, że któryś powie: dobra, teraz wszyscy w lewo, i następuje przegrupowanie. Wtedy by się pozabijały. One po prostu wiedzą, co robić, i to nie jest kwestia instynktu. My od znacznej części tej wiedzy zostaliśmy odcięci. Jesteśmy okaleczonymi stworzeniami, które nie widzą tak dobrze, nie słyszą. Przychodzi tu na myśl jaskinia Platona – widzimy tylko odbicie, takie małe coś. Wróć do tych szpaków – one przed odlotem zamieniają się w jeden twór, jedną istotę, są ze sobą w pełnym

kontakcie. My jesteśmy oddzieleni, została nam tylko zwierzęca fizjologia, która nami rządzi.

Czyli jesteśmy upośledzonymi zwierzętami?

– Konrad Lorenz napisał: „Brakujące ogniwo między zwierzęciem a człowiekiem to właśnie my”. Głęboko wierzę, że czemuś ta ewolucja służy i mamy jeszcze coś dobrego przed sobą.

To optymistyczne, co pani myśli.

– Skupiam się wyłącznie na tym, co jest konstruktywne. Reszta to strata czasu. Należy mieć świadomość potworności, ale nie ma sensu tego roztrząsać – to masochizm.

Szpaki przed odlotem zamieniają się w jeden twór. My jesteśmy oddzieleni.

To tak, jakby człowiek trzymał głowę w latrynie i ignorował resztę świata. Owszem, trzeba wiedzieć, że istnieją latryny, ale musimy się skoncentrować na tym, co nas pcha do przodu – w dobrą stronę.

Pytała pani, czego człowiek może się nauczyć od zwierząt. Weźmy szeroko już opisaną kolejność dziobania. Wie pani, kto ma w stadzie najgorzej? Przedostatni. Ostatni wie, że jest na samym dole hierarchii – pogodził się z tym faktem – ale przedostatni ma jeszcze coś do stracenia, może spaść o szczebel niżej. To są najbardziej zestresowane, cierpiące osobniki. Przełóżmy to na grupy ludzi: klasę szkolną, korporację. Te same zachowania.

Obserwacja psychologii zwierząt pomaga lepiej zrozumieć człowieka?

– Psychologia zwierząt... Niemcy mają termin *Tierpsychologie*, myśmy przeszli na etologię, bo przecież psychika, psychologia to tylko człowiek. A naprawdę obserwacja zwierząt daje nam wielką wiedzę o nas. Kwestia zapłodzenia, podchodów, zabiegania, opieki nad potomstwem wygląda jednakowo. Ja uważam się za osobę sprawnie poruszającą się wśród ludzi, łatwo rozpoznaję typ człowieka, z którym mam do czynienia, odczytuję jego potrzeby. To wszystko dzięki Simonie. Ona mnie tego nauczyła. Ten jest w stadzie alfa, tamten – beta. Są tanie licówki – któraś starsza, mądrzejsza prowadzi całe stado... Znamy przecież takie aktywne kobiety –

liderki. Obserwacja zwierząt pomaga nam zrozumieć mechanizmy rządzące w zbiorowiskach ludzkich.

Ale niewielu chce tak wnikliwie obserwować przyrodę.

– Przeciwnie, to zainteresowanie wręcz lawinowo narasta u ludzi dołąd odciętych od natury. Choć faktem jest, że środek puszczy przyciąga specyficzne osoby w przełomowym okresie życia. Właśnie takie znam. Od byłego górnika, który po jakimś horrorze szuka spokoju, po kogoś z korporacji. A w korporacjach kończy się już teraz wyścig szczurów. Wchodzi słynne pokolenie Y, które odkryło, że pot, łzy i bat nie dają nam nic. Najwyżej tworzą mistrzów w fingowaniu pracy i mistrzów kamuflażu: och, jaki jestem zajęty! I nagle tacy ludzie się buntują, przechodzą na filozofię: wystarczy. Stworzyliśmy cywilizację, która nie zna słowa dosyć. Zawsze jest nowy model, nowy gadżet. I to myślenie zaczyna się sypać.

Zna pani takich ludzi?

– Oczywiście. Przyjeżdża do mnie 16-latek, od drugiego roku życia okablowany, przyczepiony do mózgotrzępiących, krwawych gier komputerowych, spędza w lesie trzy tygodnie bez prądu i mówi, że nie chce wracać. Bo nagle zobaczył, jak fascynujące jest siedzenie przy spróchniałym pniu i obserwowanie 30 gatunków żyjącego tam dziwactwa.

Ale musi być przewodnik, który pokaże te gatunki.

– Może być, ale tylko dla osób, które lubią mieć wszystko nazwane, żeby przyjąć do wiadomości. Jest masa ludzi, którzy nie muszą wiedzieć, na co patrzą, żeby się cieszyć tym, co widzą. Tego podejścia do świata uczyła mnie Simona.

Simona Kossak w którymś z wywiadów powiedziała: „Wiedziona atawizmem zamieszkałam w puszczy, atawizm być może spowodował, że zajęłam się badaniami łowieckimi, tzn. poznawaniem zwierząt, na które się poluje. Dzięki temu poznałam też łowiectwo. I dziś mogę już przekazać innym, że puszcza woła o ratunek dla swoich zwierząt”. To był rok 1987. Dzisiaj puszcza o co woła?

– Zabierzcie ode mnie politykę! – to według mnie jej aktualne zawołanie. Od 1987 r. zmieniło się wszystko. Od sześciu lat nie widziałam drwa w starodrzewach. Simona pracowała w Instytucie Badaw-

czym Leśnictwa, latami prowadziła badania nad zwierzętami kopytnymi, głównie sarnami. Swoją drogą w dzisiejszym świecie biznesu takie długofalowe badania są rzadkością – jest grant i szybko muszą być wyniki. Zaczynała, kiedy po prostu szło się do lasu i strzelało. W 1992 r., gdy przyjechałam do Białowieży, Simona była osobą wyznaczającą wysokość odstrzałów. Bo proszę pamiętać, że Puszcza Białowieńska to nie Syberia czy Jukon, gdzie są wielkie przestrzenie bez ludzi, a przyroda świetnie sobie radzi sama.

A w Białowieży?

– Puszcza Białowieńska jest najstarszym parkiem narodowym w Polsce, za to jednym z mniejszych. W takich warunkach, to co człowiek zepsuł, wymaga już niestety ludzkiej interwencji. Skoro mamy taki niewielki kawałek lasu, musimy pilnować ilości zwierzyny. Cud się zdarzył, że na przełomie 1992 i 1993 r. ścisłą ochroną objęto całą populację wilka i rysia w Polsce. Dzięki temu znów pojawił się naturalny wróg jeleni i saren. Ogniwo w łańcuchu przyrody zostało odtworzone. I znacznie zmniejszyły się odstrzały zwierzyny płowej. Jeszcze trzeba pamiętać, że są to odstrzały selekcyjne.

Czyli nie przyjeżdżają tam zasobni panowie, żeby ustrzelić jakiegoś króla zwierząt?

– Tu nie ma prywatnych kótek łowieckich, Białowieża podlega pod państwową gospodarkę łowiecką, zależną od Instytutu Badawczego

Osoby mięsożerne powinny poważnie zastanowić się nad swoją dietą.

Leśnictwa oraz Instytutu Biologii Ssaków PAN. W zaburzonej przez człowieka przyrodzie odstrzały muszą być. Ale selekcyjne – zasobny pan nie może tu liczyć na medalowe trofeum. Poza tym kwestia polowań jest niczym w porównaniu z kwestią przemysłowego tuczu zwierząt. To jest horror. I nie chodzi mi o sterydy, antybiotyki czy hormony. Idzie o piekło, przez jakie przechodzą miliony zwierząt, które mają nakarmić małą część ludzkości. Dwie trzecie pół uprawnych świata służy nakarmieniu zwierząt, które zostaną zjedzone przez ułamek populacji. Reszta ludzi ▶

► żywi się ryżem i przymiera głodem. Wszystko jest nie tak. Sto razy wolę, jak zwierzę sobie chodzi na wolności i nagle trafia je grom z jasnego nieba, niż gdy cierpi w niewoli u człowieka. I to jak cierpi! A w jego mięsie odkładają się toksyny, wydzielane pod wpływem stresu. Osoby mięsożerne powinny poważnie zastanowić się nad swoją dietą.

ska fachowców. Do Puszczy Białowieskiej został przywleczony przez człowieka świerk i powinien zostać przez niego odwleczony. Sztucznie zasadzone w rzędkie świerki zaatakował kornik; teraz trzeba pilnować, żeby świerczki nie odrosły same, bo będzie jak z królikami w Australii. Nie damy rady. Ale świerkowy las odnowi się sam i zagłuszy wszyst-

u niej wszystkie wakacje od szóstego roku życia. To był okres błogostanu. Kiedy nadchodził czas powrotu do Krakowa, czułam się jak były więzień Oświęcimia, którego znów wywożą do obozu. Tak, to musiał być atawizm, bo nie o zwierzęta przecież chodziło. Tych nigdy nie brakowało w naszej rodzinie.

Choćby oswojone wiewiórki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

– Tak, i papugi Madzi. Wszyscy w naszej rodzinie mieli świra na punkcie zwierząt. Ale Białowieża to co innego. Ani Simona, ani ja potem nie miałyśmy choćby minuty żalu: co ja zrobiłam?! Przeciwnie: jak dobrze, że tu jestem! Przyjechałam tu na stałe w 1992 r. i od tego czasu w Krakowie byłam tylko raz, w 1994 r. Kilka godzin, nawet nie nocowałam. Na samą myśl, że miałabym tam pojechać, jestem chora. Siedzę w środku lasu – jak Simona. Zawsze chciałam ją naśladować.

Kim była dla pani?

– Mentorką, matką, idolem. Tak naprawdę to ona mnie wychowywała, nauczyła wszystkiego: czytania

W korporacjach kończy się wyścig szczurów. Wchodzi pokolenie Y, które odkryło, że pot, łzy i bat nie dają nam nic.

Wróćmy do Białowieży. Co z awanturą o wycinę?

– Mieszkam w środku puszczy. Powtórzę: od sześciu lat nie widziałam drwa! w starodrzewie. Dwie trzecie puszczy należącej do Lasów Państwowych jest pod ścisłą ochroną. Nie wolno ruszyć stąd patyczka – jak w Rezerwacie Ścisłym Białowieskiego Parku Narodowego. Konflikt dotyczy jedynie plantacji świerkowych. A cała awantura powinna się przenieść z polityki do środowi-

ko. W wielu miejscach uschły już 300-letnie piękne dęby, bo odcięty je od światła szybko rosnące świerki, liczące 120-170 lat. Puszcza Białowieska w wersji naturalnej to przede wszystkim lasy liściaste.

Dlaczego przeprowadziła się pani do puszczy?

– Chyba najważniejszą rolę odegrał wspomniany już atawizm. Odkąd pamiętam, rysowałam domki w lesie, zagrody wiejskie. Kiedy Simona przeniosła się do Białowieży, spędzałam

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Zygmunt Hübner



Mewa

Anton Czechow
Wojciech Faruga
premiera 8.04.2017
pokazy 9, 18, 19, 20.04

Patroni
medialni

wyborcza

wyborcza.pl

cojestgrane24

A!

P

świata, widzenia. Dała mi podstawy, dzięki którym mogłam tworzyć swoje rzeczy. Bez niej by mnie nie było. Simona i Lech dali mi dowód, że zły świat to zrakowaciłe punkty, ale obok nich jest dużo miejsc, gdzie żyją piękni ludzie.

Simona Kossak życzyła sobie, żeby ją pochować we wsi Poryte, koło Łomży, gdzie Maria z Kisielnickich i Wojciech Kossak wzięli ślub i gdzie znajdował się majątek rodowy panny młodej. Czy babcia Maria była szczególnie ważna dla pani cioci?

– Miała dla niej szczególną atencję. Myślę, że w związku z opowieściami rodzinnymi, listami Wojciecha. Babcia Maria była serdeczna, ciepła, opiekuńcza, wyrozumiała. Simonie pozostała po niej kamea, pięknie trawione na ceramice zdjęcie.

Z zamiłowania malarka, mieszka pani w środku puszczy i maluje?

– Oj, tylko z deskoku. Po latach wróciłam do malowania, namówiona przez prof. Andrzeja Strumiłłę. Dotąd udało mi się stworzyć pięć dobrych obrazów koni. Oficjalnie jestem opiekunką niepełnosprawnego dziecka. Mam cudowną, dorosłą, samosterowną córkę, która czerpie z życia garściami, i 17-letniego syna, który pół godziny po szczepieniu, w szóstym tygodniu od urodzenia,

Stworzyliśmy cywilizację, która nie zna słowa dosyć.

dostał paraliżu, porażenia mózgowego, autyzmu. Pomogła nam puszcza. Teraz syn ma może 8% autyzmu, jest w pełni komunikatywny, zagaduje ludzi na śmierć, szaleje ze zwierzętami.

Domowe obowiązki pozostawiają mi dwa dni w tygodniu na malowanie – syn jest w szkole specjalnej z internatem. To niewiele, żeby się rozmalować. Marzą mi się dwa miesiące z końmi i rysowanie z natury. Kocham malarstwo, ale to wciąż marginalna sprawa.

Tworzy pani portrety koni, a nie przedstawia konia na polu bitwy czy na paradzie.

– Tak. Koń u mnie jest bez uzdy, uprząży. Ma być dziki i swobodny.

Co pani pozostało po Kossakach? Simona miała dębowe łóżko Lilki.

– Jakieś drobiazgi, niewiele się ostało po szaleństwach mojej mamy.



Simona Kossak zaraziła Joannę miłością do puszczy.

A Simona wiele rzeczy przekazała izbie muzealnej Liceum Plastycznego im. Wojciecha Kossaka w Łomży. Na przykład portret Zofii Gałczyńskiej, żony Juliusza. Ja przekazałam im tabliczkę z drzwi: Juliusz Kossak.

Kogo z przodków najbardziej pani lubi, ceni?

– Zofię Kossak-Szczucką. Dla mnie to postać prawdziwie wielka. Powinien powstać film o niej. Nie dość, że była wybitną pisarką – „Pożoga”, „Dziedzictwo”, „Złota wolność” – to współtworzyła Żegotę, prowadziła tajne komplety; po ucieczce do Anglii była traktowana jak szpieg sowiecki, a po powrocie do Polski – jak szpieg angielski. Chcąc ratować męża, gdy dostał się do oflagu, wsiadła w listopadzie na rower i jechała ponad 300 km. Na Kossakówkę wstąpiła po drodze tylko napić się herbaty. To dla mnie kobieta niesamowita! Poniemaj oceniam ludzi i siebie wedle tego, co robią dla innych. Ona zrobiła wszystko, co można. Jej przeciwnictwo stanowią Lilka i Madzia – skrajnie egocentryczne.

O, pytała pani, co mi zostało po Kossakach – książka przychodów i rozchodów, prowadzona przez Marię Kossakową, i tam jest tak: policyjny za ujęcie złodzieja – 3,50, kierowcy samochodu – 17, Kucharci za coś

tam – 10 zł, a za wachlarze, rękawiczki i gorsety z Paryża – 700 zł. Dla córek. **Uczciwie jest o tym mowa w „Marii i Magdalenie”.**

– Czy to coś zmienia? Były wybitnie uzdolnione – na pewno. To jest w ogóle kwestia oceny artystów. Leonardo da Vinci załatwił kilkanaścioro dzieci, smarując je złotem, żeby gdzieś tam ładnie zagrały w dekoracjach. Geniusz? Z pewnością, ale ja szukam człowieka – tego Lorenzowego, który już przeszedł etap między matką a nami.

Małgorzata Kąkiel

Odszedł

Romuald Romański

prawnik, wykładowca, zwolennik rozwoju samorządności, ale przede wszystkim historyk, pisarz.

Autor esejów historycznych, powieści przygodowych, monografii, znawca Kozaczyzny.

Mądry, serdeczny gawędziarz.

Żegnamy Kolegę, dziękując za wiele przegadanych godzin.

Będziemy pamiętały –
Małgorzata Kąkiel, Jadwiga Prymek

NA POWAŻNIE

ZA KULISAMI

Podobno już takich garderób nie ma. Podobno już nie przestrzega się hierarchii zawodowej, a relacje mistrz-uczeń należą do przeszłości. Podobno... Takie sugestie płyną z towarzyszącego premierze „Garderobianego” programu teatralnego. Ale czy tak jest na pewno? Nawet jeśli to i owo się zmieniło, istota udręki i chwały aktorskiej, wampirycznego charakteru tego zawodu, który żywi się aktorami (ale też ich żywi), została przez Ronalda Harwooda oddana z niebywałą przenikliwością.

Osią dramatu jest związek Mistrza i Garderobianego, pana i sługi, władcy i poddanego, w którym niekiedy Mistrz okazuje się sternikiem, choć do niego należy ostatnie słowo. Kiedy umiera, wali się cały świat objazdowego teatru, przy okazji druzgocąc sługę-opiekuna. Aktorzy tak świetni jak Jan Englert (Sir) i Janusz Gajos (Garderobiany) ulegli pokusie zmierzenia się z mrocznym światem garderoby. Obaj stworzyli role wybitne, ale ich gra nie jest przecież popisem, lecz zniuansowaną partyturą znaków, nastrojów, emocji, jakie przez lata wspólnej pracy wytworzył w nich teatr. Reżyser Adam Sajnuć poszedł za tekstem – na małej scenie przy Wierzbowej wystawił garderobę z poszarpanymi od wybuchów ścianami, z popękkanymi w czasie nalotów lustrami, w ten sposób budując tło teatralnych zmagania, toczących się przecież podczas wojny. Teatr trwa i musi trwać mimo niszczyielskiej siły wojny, o tym także opowiada Harwood. W objazdowym teatrzyku Mistrza poczucie misji nie opuszcza aktorów do ostatniego tchnienia.

Tomasz Miłkowski



Ronald Harwood, „Garderobiany”, tłumaczenie Michał Ronikier, reżyseria Adam Sajnuć, Teatr Narodowy, scena przy Wierzbowej, premiera 10 grudnia 2016



WŁOSZKA EDYTA

Opera Rossiniego „Turek we Włoszech” opiera się na erotycznej fascynacji. Dla Fiorilli Selim jest kimś szalenie atrakcyjnym i pociągającym, podobnie jak dla Selima Fiorilla, kobieta pochodząca z innej kultury, prezentująca inny typ urody itd. Motyw przyciągania się „obcych ciał” nie został jednak w przedstawieniu zaakcentowany, choć może w polskich warunkach byłoby to na miejscu. Przedstawienie nie uwzględnia naszej specyfiki lokalnej, bo powstało w koprodukcji na potrzeby Festival d’Aix-en-Provence oraz oper w Turynie i Dijon. My dostarczyliśmy warszawskiej premierze tylko chór, orkiestrę, dyrygenta i kilku solistów, trzeba przyznać – znakomitych. Czym byłaby ta opera bez Edyty Piaseckiej w roli Donny Fiorilli – strach zgadywać. Nasza śpiewaczka od początku do końca jest w centrum uwagi, na swoich plecach (a konkretnie modelowo zgrabnej sylwetce) i głosie niesie całe przedstawienie. Jej zachowanie w kontaktach z mężczyznami, chód i perfekcyjne opanowanie głosu w popisowych i jakże trudnych ariach wywołują huraganowe owacje. Z Piasecką można operowe góry przenosić.

Bronisław Tumilowicz

Gioacchino Rossini, „Turek we Włoszech”, dyrygent Andriy Yurkevych, reżyseria Christopher Alden, Teatr Wielki Opera Narodowa, premiera 17 marca 2017

MIĘDZY OKŁADKAMI

Liane Moriarty

WIELKIE KŁAMSTEWKA

tłum. Magdalena Moltzan-Małkowska
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2017

Na przynętę mamy nieboszczyka, a generalnie – satyrę na matki traktujące dziecko jak cyzelowane dzieło życia albo jak projekt. Tak to wygląda przez kilka pierwszych kartek. W idyllicznym otoczeniu przedmieścia Sydney, nad brzegiem oceanu, działa szkoła idealna. Dbająca o dzieci i o zaangażowanie rodziców, integrująca społeczność... Z tym że niektórzy rodzice angażują się aż do przesady, od frustracji aż iskrzy, a im piękniej wygląda fasada czyjegoś życia, tym paskudniej może być za nią. Kto zginął, nie wiemy, ale kandydatów i na ofiarę, i na mordercę nagle przybywa nam z każdą pochłanianą stroną. A choć rozrywkę mamy znakomitą, problem jest poważny. Tak łatwo wierzymy pozorom i kłamstwu. Oceniamy powierzchownie, a gdy szukamy winnego, wskazujemy od razu tego, kto od nas się różni. I jeszcze jedno, w sumie banał, ale warto przypominać – przemoc domowa nie zna pojęcia statusu społecznego.



Aleksandra Pańko

FESTIWAL

ACTUS HUMANUS RESURRECTIO

„Najwybitniejsi przedstawiciele wykonawstwa historycznego i polskie gwiazdy muzyki dawnej. Pierwsza wiosenna odsłona festiwalu Actus Humanus będzie wyjątkowym wydarzeniem, na którym trzeba być”, mówi Filip Berkowicz, dyrektor artystyczny imprezy. Być, żeby posłuchać takich wykonawców jak William Christie, René Jacobs, Rinaldo Alessandrini, Ottavio Dantone i Björn Schmelzer z zespołami, a także naszych: Marcina Świątkiewicza, Adama Struga, Michała Gondki i Agnieszki Budzińskiej-Bennett. W ich wykonaniu usłyszymy m.in. „Pasję wg św. Mateusza” Johanna Sebastiana Bacha, oratorium „La Resurrezione” George’a Friedricha Händla, a także mało znane „Lamentacje” Carolusa Luythona i Pedra Ruimontego, „Żołtarz Jezusów” Władysława z Gielniowa, średnio-wieczne lamenty oraz polonezy Johanna Gottlieba Goldberga. Arcydzieła muzyki pasyjnej zabrzmiały w Ratuszu Staromiejskim, Centrum św. Jana, Ratuszu Głównego Miasta, Dworze Artusa i Wielkiej Zbrojowni. Szczegółowe informacje: www.actushumanus.com.

GDAŃSK, 12-16 KWIETNIA



ZAJRZYJ TU



PIOTR KAMLER Ruch utajony

Kamler sam uważa się za twórcę polskiego, choć większość animacji stworzył po 1960 r. we Francji. Porusza w nich tematykę filozoficzną, nie bojąc się eksperymentów zbliżonych do *science fiction* („Zielona planeta”), zabaw formami geometrycznymi („Linie i punkty”) czy powoływania do życia abstrakcyjnych społeczności, jak w „Chronopolis”. W Kordegardzie możemy zobaczyć niemal wszystkie animacje mistrza, jak również rzeźby szkieletowe i inne „utwory przestrzenne”. To także okazja poznania warsztatu artysty poprzez archiwalne zdjęcia, oryginalne marionetki z „Chronopolis” czy szkice i rysunki.

WARSZAWA, GALERIA KORDEGARDA, DO 23 KWIETNIA

WIEM, KIM JESTEŚ

Po wypadku samochodowym do szpitala trafia mężczyzna w średnim wieku. Nie pamięta, kim jest. Nie rozpoznaje nikogo z rodziny ani otoczenia. Okazuje się, że to Juan Elias, jeden z najlepszych hiszpańskich adwokatów, słynący... z wykorzystywania amnezji jako wymówki dla zbrodni. Policja odnajduje wrak samochodu Eliasa i telefon komórkowy jego 23-letniej siostrzenicy, Anny. Dziewczyna zniknęła tej samej nocy co cierpiący na amnezję prawnik. Wszystkie dowody wskazują, że Elias jest zaangażowany w jej morderstwo. Dla miłośników intryg kryminalnych.

SERIAL



ALE KINO+, OD 9 KWIETNIA, GODZ. 20.10

NA EKRANACH



AMERICAN HONEY

reż. Andrea Arnold, prod. USA/Wielka Brytania, już w kinach

Aż trudno uwierzyć, że reżyserce tej klasy co Andrea Arnold („Fish Tank”, „Wichrowe Wzgórza”) tak bardzo zabrakło dyscypliny. „American Honey” jest za długi o połowę. Brytyjce nie zabrakło za to empatii. Po raz kolejny pochyla się nad losem bohaterów, którzy są jeszcze bardziej irytujący niż we wszystkich poprzednich filmach razem wziętych. Arnold nie wkłada ich do szufladek, nie rozstrzyga, czy oglądamy cynicznych hipsterów, czy naiwnych kontestatorów, którzy jeżdżą po rozległym terytorium Stanów Zjednoczonych i jako akwizytorzy łączą w sobie sprzeczne natury wagabundy i kapitalisty. Reżyserka odmalowuje młodość ze wszystkimi jej blaskami i cieniami. Postacie są rozdarte między dorosłość a ucieczką przed nią. Napędzane buzującymi hormonami zatracają się w namiętności, krzyczą, piją, filozofują.

Przez pierwszą godzinę obcowania z nimi ma się wiarę w sens całego przedsięwzięcia. Później zostaje już tylko podglądanie ikonicznych dla amerykańskiego kina drogi miejsc i przedmiotów oraz świetna muzyka.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

SADDAM NA CELOWNIKU

Jak Stany Zjednoczone chciały usprawiedliwić zabójstwo irackiego dyktatora

Konrad Szelest

Wydarzenia z 11 września 2001 r. stworzyły w USA atmosferę przyzwolenia na wykorzystanie zabójstw politycznych i podobnych akcji do walki z wrogami poza granicami kraju. Biały Dom starał się usprawiedliwić wyprawy „specjalnych egzekutorów” w najodleglejsze zakątki globu. Sprawa nie odnosiła się wyłącznie do Osamy bin Ladena.

CEL NR 1

Pomimo że Stany Zjednoczone wysłały do Afganistanu regularną armię, która miała zniszczyć talibów i zlikwidować bądź schwytąć bin Ladena, w Pentagonie prowadzono zaawansowane rozmowy o sposobach obejścia decyzji (*executive order*) prezydenta Geralda Forda zabraniającej amerykańskiemu personelowi zlecenia i dokonywania zabójstw politycznych poza granicami USA. Podjęto ją po ujawnieniu dokumentów dotyczących planów zabicia przez CIA Fidela Castro i Patrice’a Lumumby, stawiających Waszyngton w bardzo złym świetle. Miała chronić Stany Zjednoczone przed wpadkami związanymi z zabójstwami wspieranymi przez rząd.

Decyzja z lat 70. stała się po zamachach z 11 września przeszkodą w swobodnym tropieniu terrorystów z Al-Kaidy w każdym zakątku świata. Trzeba było ją obejść, aby umożliwić wysyłanie grup Navy Seals czy Delta Force za granicę bez informowania rządów państw, na terenie których przeprowadzano operację. Ludzie z bliskiego otoczenia sekretarza obrony Donalda Rumsfelda uważali, że stan wojny z Al-Kaidą w pełni tłumaczył podejmowanie takich działań. Wyprzedzenie każdego kolejnego kroku terrorystów gwarantowało uzyskanie informacji o „celu nr 1”, jak określano bin Ladena, nie należało więc liczyć się z nikim i niczym.

Gorącym orędownikiem tych rozwiązań był szef CIA George Tenet.

Od tej chwili zacieśniano współpracę między CIA a dowództwem wojsk operacyjnych. Początkowo część urzędników gabinetu prezydenta George’a W. Busha uważała to za zjawisko niepokojące. Wszystkie wątpliwości rozwiązał jednak wiceprezydent Dick Cheney. Polityk wskazał, że na potrzeby walki z Al-Kaidą możliwa będzie korekta *executive order* Geralda Forda. Słowa Cheney’a: „Trzeba będzie się odnieść do wielu niemyślnych metod”, jasno wskazywały kierunek, w którym zmierzał Biały Dom. Cheney nazwał przy tym Afganistan „wstrętnym, trudnym, niebezpiecznym i brudnym”, chcąc przekonać

Saddam Husajn komplikował plany Stanów Zjednoczonych wobec Bliskiego Wschodu.

słuchaczy, że to gniazdo osi i że akcja amerykańskiej armii to za mało. Oficjalne działania zbrojne w ramach ogólnoświatowej walki z terroryzmem były bowiem do zaakceptowania przez społeczeństwo i opinię publiczną, Waszyngtonowi chodziło jednak o coś innego.

NAGINANIE ŚW. TOMASZA

To nie Osama bin Laden był głównym problemem, z którym musiała się zmierzyć administracja Busha juniora. Osobą komplikującą plany Stanów Zjednoczonych wobec Bliskiego Wschodu był iracki dyktator Saddam Husajn. Zakończona zwycięstwem wojna w Zatoce Perskiej nie doprowadziła do jego usunięcia. Prezydent Bush senior zostawił następcom, w tym synowi, problem, który należało rozwiązać z dużą zręcznością, by nie narazić się na krytykę z całego świata. Ataki na World Trade Center ożywiły dyskusję na temat fizycznej likwidacji Husajna. Równocześnie specjaliści od etyki i prawa debato-

wali, czy zabicie irackiego przywódcy będzie do obronienia w świetle prawa międzynarodowego. Pod koniec września 2001 r. w „Arlington Catholic Herald” pojawił się artykuł teologa Williama Saundersa. Autor zadawał w nim pytanie, czy Kościół dopuszcza zabójstwa polityczne. W odpowiedzi przywoływał filozofów greckich i rzymskich, jak również teologów katolickich i protestanckich. W końcu jako argument za pełną akceptacją zabójstwa politycznego przytoczył słowa św. Tomasza z Akwinu: „Ten, kto zabija tyrana, żeby uwolnić swój kraj, zasługuje na nagrodę i pochwałę”. W całym artykule Saunders miesza jednak dwa pojęcia: tyrana i terrorysty. O ile terroryzm, traktowany jako „zło, któremu należy się przeciwstawić i położyć kres”, jest kwestią zrozumiałą, o tyle zabójstwo obcej głowy państwa, określanej jako tyrana, zdecydowanie wychodzi poza ramy walki z terroryzmem. Z etycznego punktu widzenia Saunders nie widzi żadnej przeszkody przed połączeniem tych dwóch pojęć i usprawiedliwieniem ich słowami św. Tomasza.

Prawnik Louis René Beres z Uniwersytetu Purdue już kilka miesięcy przed tekstem Saundersa opublikował w „Indiana Law Review” artykuł „Assassinating Saddam. The View from International Law”. Były to rozważania na temat możliwości zabójstwa Husajna w świetle prawa międzynarodowego. Autor opisał najważniejsze zabójstwa polityczne od czasów starożytnych aż do teraźniejszości. Podsumowując, zaznaczył, że dokonanie zabójstwa politycznego, którego ofiarą pada władca lub urzędnik państwowy wysokiego szczebla, ma wsparcie w tradycji filozofii politycznej. Beres odnosił się jednak tylko do sytuacji, w której zamachowcem i jego celem są osoby tej samej narodowości. Gdy polityk zostaje zamordowany przez obywatela obcego państwa, zawsze jest to przestępstwo przeciwko prawu międzynarodowemu. Prawnik



To zdjęcie obiegło cały świat. Saddam miał zostać upokorzony.

tymczasem chciał za wszelką cenę udowodnić, że nawet to może być usprawiedliwione. Na pierwszy plan wysunął stwierdzenie, że morderstwo polityczne może być traktowane jako wyjątkowy przypadek „interwencji humanitarnej”. Problem był w tym, że agenci lub żołnierze jednego kraju mogą legalnie zabijać polityków drugiego, tylko jeśli pomiędzy obydwojema trwa wojna. W czasie pokoju taki czyn jest aktem terroryzmu lub agresji. Szczegółowo definiuje to rezolucja nr 3314 Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 14 grudnia 1974 r. – jako akt przemocy stosowany przez jedno państwo w celu naruszenia suwerenności, integralności terytorialnej oraz niezależności politycznej drugiego. Zabójstwa polityczne popełnione w czasach pokoju przez obywateli obcego państwa spełniają więc warunki przestępstwa przeciwko prawu międzynarodowemu. Kolejnym aktem prawnym jest konwencja haska IV z 1907 r., której art. 23 jasno i wyraźnie zabrania „zabijać albo ranić zdradziecko osoby należące do ludności lub do wojsk nieprzyjaciela”. Konwencja haska została podpisana przez Stany Zjednoczone i ma moc „najwyższego prawa krajowego” zgodnie z art. 6 konstytucji.

Beres próbował przekonywać, że podstawowe prawa człowieka muszą mieć pierwszeństwo przed zakazem zabójstw politycznych. Stan wojny

czy pokoju nie ma tutaj żadnego znaczenia. Powołując się na przykład Hitlera czy Pol Pot, prawnik stwierdzał, że o wiele większym przestępstwem jest zaniechanie zabójstwa politycznego niż jego zrealizowanie.

Z SOJUSZNIKA WRÓG

Jak odnieść twierdzenia Beresa do Saddama Husajna? Iracki dyktator w latach 80. był traktowany jako sojusznik Stanów Zjednoczonych. Wiceprezydent George Bush nie powiedział na niego złego słowa, gdy Bagdad toczył krwawą wojnę z Iranem. Także mordowanie Kurdów i opozycji nie spotkało się z żadnymi protestami Waszyngtonu ani przed

Usunięcie Husajna było przysługą dla islamskiego radykalizmu.

wojną w Zatoce Perskiej, ani po niej. Dopóki Husajn dbał wyłącznie o porządek na własnym podwórku, Stany Zjednoczone nie interweniowały. Nawet zapowiedzi podbicia Kuwejtu zostały określone przez amerykańską ambasadorkę April Glaspie jako „mało interesujące dla Białego Domu”. W rzeczywistości administracja Busha seniora chciała wykorzystać

działania Husajna do rozpętania wojny, pozwalającej na pełne kontrolowanie wydobycia ropy, prywatyzację przemysłu naftowego oraz blokadę kredytową Iraku.

Prawie 10 lat po ojcu George W. Bush także zwrócił uwagę na Irak. Amerykańska finansjera i koncerny paliwowe marzyły o redystrybucji rynków i złóż surowców naturalnych na Bliskim Wschodzie. Wojna z Irakiem i obalenie Saddama Husajna mogły to wszystko zagwarantować. Atmosfera po atakach z 11 września stwarzała doskonałe warunki do walki z wrogami demokracji i tyranami, którzy mogli mieć związek z terroryzmem.

Zagrożenie, jakie według Białego Domu stwarzał iracki dyktator, pozwalało na wykorzystanie zabójstwa politycznego jako metody obrony koniecznej. Według Louisa Beresa zorganizowanie zamachu na Husajna przeszkodziłoby w irackim ataku chemicznym bądź biologicznym, dodatkowo chroniąc ludność cywilną przed skutkami regularnego konfliktu zbrojnego. Prawnikiem podkreślił, że akt zabójstwa politycznego, pomimo swojego tragizmu, jest jedną z najsukurszych metod obrony prawa międzynarodowego.

Prezydent Bush i jego doradcy doszli jednak do wniosku, że Stany Zjednoczone zyskają więcej na interwencji zbrojnej w Iraku niż na samym zabójstwie Husajna. Zwycięska kampania, schwytanie żywego dyktatora i postawienie go przed sądem będą świadczyły o wspaniałomyślności obrońców światowej demokracji i przyniosą miliardowe zyski. Fałszywe dane dotyczące irackiej broni masowego rażenia pozwoliły uzasadnić inwazję na Irak w marcu 2003 r. Doskonale się to opłaciło. Zniszczony wojną Irak stanowił idealne miejsce dla amerykańskich firm specjalizujących się w odbudowie infrastruktury oraz „nadzorze” nad polami naftowymi.

Dziś śmiało można stwierdzić, że usunięcie Husajna było wielką przysługą dla islamskiego radykalizmu. Zrujnowany Irak stał się przystanią dla bojowników tzw. Państwa Islamskiego, będącego jednym z największych zagrożeń współczesnego świata. Zbrodnie i represje reżimu Husajna są kwestią niepodważalną. Jak jednak nazwać działanie Amerykanów, którzy przed 14 laty rozpoczęli „demokratyzację” Iraku? ■

WOJNA O PORTY

W latach 80. doszło na Bałtyku do 180 incydentów wywołanych przez NRD

Eugeniusz Guz

W miesięczniku „Nasza Historia” (nr 2/17), zaspokajającym zainteresowanie historią przede wszystkim północnej Polski, znalazłem tekst, który – jak sądzę – zainteresuje historyofilów także z innych regionów kraju. Pod zaskakującym tytułem „Dziwna wojna Jaruzelskiego z Honeckerem” Jakub Szczepański wydobył na światło dzienne pewien zgrzytliwy fakt z już i tak chropowatych stosunków między PRL a NRD. Autor artykułu oparł relację na badaniach, które przeprowadził dr Tomasz Ślepowroński ze szczecińskiego Instytutu Historii Studiów Międzynarodowych.

W latach 80. XX w. NRD zaczęła samowolnie rozszerzać swoje wody terytorialne w sąsiedztwie Polski z dotychczasowych trzech do 12 mil morskich. Spowodowało to poważne perturbacje na styku NRD-Polska, z niebagatelnymi dla nas stratami gospodarczymi. NRD przejmowała bowiem władanie nad infrastrukturą wodną zespołu portów Szczecin-Świnoujście. Tory podejściowe do polskich portów i kotwicznice znalazły się pod kontrolą niemieckich jednostek wodnych. Poszerzenie wód terytorialnych do 12 mil morskich zakłóciło także ruch tranzytowy wschód-zachód na Bałtyku, dotychczas obsługiwany przez Polaków.

Władze polskie nie pozostawały bezczynne. Protestowały jednak bezskutecznie. Starcia nie wychodziły ponadto poza ramy gabinetowych spotkań, bo bratnie państwa nie mogły przecież być w poważnym konflikcie. Oczywiście zorientowani w sprawie szczecińscy działacze naciskali na Warszawę, aby działać energiczniej, ale oficjalnie obowiązywała cisza.

Według ustaleń dr. Ślepowrońskiego w ciągu czterech lat doszło na Bałtyku do ok. 180 incydentów wywołanych przez NRD. Jednostki niemieckiej marynarki dobywały nawet do naszych statków, „powodując zniszczenia, a nawet

zagrożając bezpieczeństwu załogi”. „Do prawdziwej eskalacji agresywnych działań marynarki wojennej NRD doszło w roku 1986”, zaznacza dr Ślepowroński. Jej okręty podpyływały do statków handlowych różnych bander czekających na wejście do portów i domagały się opuszczenia wód morskich, do których rościła sobie pretensje NRD.

Brak reakcji na polskie protesty sprawił, że wiosną 1988 r. do NRD wybrał się Wojciech Jaruzelski, by interweniować bezpośrednio u Ericha Honeckera, I sekretarza SED. Rozmowy okazały się skuteczne, bo wkrótce ingerencje zaczęły być coraz rzadsze, wznowiono obustronne negocjacje. 22 maja 1989 r. podpisano w Berlinie odpowiadającą w pełni polskim oczekiwaniom umowę o rozgraniczeniu obszarów morskich w Zatoce Pomorskiej.

Wyłowilem ten artykuł, by przedstawić ważną konkluzję – gdyby władze PRL pod przewodnictwem Wojciecha Jaruzelskiego nie doprowadziły do zażegnania sporu, wątpliwe, by udało się to władzom III Rzeczypospolitej. Partnerem wówczas byłoby nie Niemcy Honeckera, lecz Niemcy zjednoczone pod przywództwem kanclerza Helmuta Kohla, który nie kwapił się do uznania jako ostatecznej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

JAK POSKLEJAĆ SPOŁECZEŃSTWO?

Wyolbrzymianie roli „żołnierzy wyklętych” kłóci się ze zdrowym rozsądkiem i nie budzi szacunku dla władzy. Dla mnie nie byli to żołnierze, bo nie stanowili żadnej armii, nie byli też wyklęci, bo rzucanie anatemy nie było kompetencją tzw. komuchów, a o ich wyklinaniu przez Kościół nic mi nie wiadomo. Byli natomiast przekłeci przez tych, którym wyrządzili krzywdę. Mam w rodzinie takiego „wyklętego”. Zastrzelił milicjanta w obecności jego żony i dwóch małych synów. Po kolejnym odnaczeniu nie wytrzymałem i powiedziałem: „Nie wiem, czy żyje jeszcze żona tego milicjanta, ale chłopcy to już dorośli mężczyźni. Zapytaj ich, czy uważają cię za bohatera”. Skończyły się rodzinne herbatki. Śmierć ponad 5 tys. niewinnych cywilów i około dwóch setek dzieci. Czy pan prezydent o tym nie wie, czy nie chce wiedzieć? Dlaczego w tej bratobójczej walce widzi tylko jednych? Dlaczego nie uznaje tych, którym urząd powierzono za wyboru? Dlaczego profanuje się pomniki tych, którzy nas, także „wyklętych”, wyzwolili spod niemieckiej okupacji?

Jaką politykę powinna prowadzić władza, by posklejać społeczeństwo? Czy kult „wyklętych”, pośmiertne awanse zbrodniarzy i zdrajców, comiesięczne spektakle przed Pałacem Prezydenckim są próbą posklejania? Czy władza nie dostrzega, że przynosi jej to ujmę? Czy tak trudno zrozumieć, że np. nieżyjący szeregowiec pozostanie szeregowcem i nie będzie marszałkiem, choćby mu taką etykietę przypiąć? Jeżeli czcić, to takiego, jakim był, a nie takiego, jakim chciałoby się, żeby był.

Zbigniew Rudecki, Warszawa

„STAN RACJI” – NAJNOWSZA KSIĄŻKA PROFESORA ADAMA GIERKA

BEZPIECZEŃSTWO GAZOWE

KRYZYS WARTOŚCI **UCHODŹCY**

REINDUSTRIALIZACJA POLSKI

UPADEK AUTORYTETÓW **EMIGRACJA MŁODYCH**

PRZEMYSŁ WĘGLOWY **ROZWÓJ ENERGETYKI**

„Stan racji” to najnowsza książka, wywiad – rzeka, Półka do Parlamentu Europejskiego Profesora Adama Gierka. Pytania zadawał red. Zbigniew Wiecek.

Książka do nabycia m.in. w Wydawnictwie **PROGRES** Sosnowiec, ul. Hubala Dobrzańskiego 70, tel: 32 299-75-83. Więcej na stronie www.wdrprogres.pl

WODY JEST ZA MAŁO I BĘDZIE MNIEJ

Każdego dnia z powodu braku dostępu do czystej wody umiera 800 dzieci

Tomasz Borejza

W 2040 r. co czwarte dziecko na naszej planecie będzie cierpieć z powodu braku wody, donosi UNICEF w raporcie „Thirsting for a Future” („Pragnienie przyszłości”), który opublikowano w marcu na Światowy Dzień Wody. Dane są alarmujące. W 36 krajach dostęp do wody uznaje się za ekstremalnie trudny. – Przewidujemy, że w samej Etiopii w 2017 r. ponad 9 mln ludzi będzie bez dostępu do bezpiecznej, pitnej wody – napisał we wstępie do raportu szef UNICEF prof. Anthony Lake. Oprócz Etiopii szczególnie zagrożone są Somalia, Sudan Południowy i Nigeria. Najbardziej cierpią najmłodszy. Biegunki – zwykle spowodowane przez picie brudnej wody i brak odpowiednich warunków sanitarnych – zabijają na świecie 800 dzieci dziennie. Szacuje się, że 156 mln dzieci, które nie

Zdjęcie sprzed dwóch tygodni. Ojciec z synem biorą wodę z koryta rzeczno-ego w pobliżu somalijskiego miasta Doolow, niedaleko granicy z Etiopią.

skończyły jeszcze pięciu lat, choruje i słabiej się rozwija z powodu braku dostępu do czystej wody.

Raport UNICEF ostrzega, że w 2050 r. na jednego mieszkańca Ziemi przypadnie o połowę mniej wody pitnej niż teraz. Przewiduje się też, że już w roku 2040 z powodu braku dostępu do wody będzie cierpieć 600 mln dzieci. Niektóre umrą, inne będą chorować i gorzej się rozwijać. Będą także głodować, bo brak wody oznacza również brak wystarczającej ilości pożywienia.

O skali problemu świadczy to, że eksperci zastanawiają się już tylko nad tym, jak bardzo będzie źle. Widać bowiem przynajmniej kilka procesów fatalnie rokujących na przyszłość. Do najważniejszych należy presja demograficzna. Więcej ludzi potrzebuje więcej wody, a tej brakuje nawet dla populacji liczącej 7,4 mld. Dziś brak wody jest problemem setek milionów osób. Kiedy będzie nas dwa razy więcej, stanie się udziałem miliardów.

Na to, że będzie coraz gorzej, wpływa m.in. postępująca degradacja środowiska naturalnego. Ogromne ilości wody

wykorzystuje przemysł, po czym rzadko nadaje się ona do picia. Przemysł też często odpowiada za jej skażenie. Szczególnie w krajach rozwijających się, gdzie ochrona środowiska naturalnego jest traktowana po macoszemu.

Największym zagrożeniem są jednak zmiany klimatyczne. Skala ich wpływu zależy od regionu, jednak w zasadzie wszędzie powodują one kurczenie się dostępnych zasobów wody. Rosnąca temperatura zwiększa częstotliwość susz i przyspiesza proces pustoszczenia, co np. w krajach Sahelu daje się odczuć już od lat 50. Ubywa też wody znajdującej się blisko powierzchni, trzeba więc wiercić coraz głębsze studnie. Z drugiej strony przybywa katastrof naturalnych, ponieważ większa ilość odparowanej wody w atmosferze powoduje, że coraz częściej doświadczamy gwałtownych zjawisk pogodowych: huraganów, burz, ulew oraz powodzi, które zanieczyszczają zbiorniki wody pitnej.

To samo dzieje się za sprawą podnoszącego się poziomu mórz i oceanów. Nie tylko zatapiane są rejony przybrzeżne, ale dochodzi także do zanieczyszczenia solą zbiorników słodkowodnych i wód gruntowych. Szacuje się, że w regionach, które mogą ucierpieć z tego powodu, żyje ok. 25% populacji naszej planety. Wszystko to oznacza, że będzie rosła liczba tzw. uchodźców klimatycznych, którzy będą szukać jedzenia i wody.

Autorzy raportu UNICEF wskazują, że wobec skutków niekorzystnych zmian klimatu nie jesteśmy bezbronni. Bogata Północ ma technologię oraz pieniądze, które pozwalają uzyskać dostęp do wody – choćby poprzez budowę studni głębinowych. Potrzebna jest jednak solidarność, o czym w „Thirsting for a Future” przypomniano z pomocą art. 24 Konwencji o prawach dziecka ONZ. Na potrzeby tego dokumentu streszczono go tak: „Dzieci mają prawo do dobrej opieki medycznej – do bezpiecznej wody pitnej, pożywnej jedzenia, bezpiecznego środowiska (...). Bogate państwa powinny pomóc biedniejszym państwom to osiągnąć”. W globalnej perspektywie zaliczamy się do państw bogatych, które powinny pomagać biedniejszym. Także we własnym interesie.



Adam Bielecki
i Dominik Szczepański

Wróćmy pod Gaszerbrum I [2012 r.]. Pierwszy atak się nie powiódł, ale mieliśmy w odwodzie jeszcze jedną próbę. Musieliśmy się spieszyć, bo prognozy mówiły, że niedługo zacznie bardzo mocno wiać.

Artur [Hajzer] został w dwójkę. To wtedy z zawodnika stał się prawdziwym kierownikiem. Poświęcił swoją szansę na szczyt, żeby zabezpieczyć tyły. Chyba pierwszy raz w życiu świadomie przesunął się do drugiego szeregu. W odróżnieniu od nas nie spał jeszcze w trójce, ponadto bał się odmrożeń ledwo zaleczonych po wyprawie na Makalu.

Wyszliśmy z Januszem [Gołębiem] i Shaheenem [Baigiem]. Mimo wiatru udało nam się dojść do trójki. Pakistańczyk wziął cięższy plecak, dzięki temu straciliśmy z Januszem mniej sił. Potem pomógł nam rozbić namiot i zszedł do Artura.

Było po 16, gdy w końcu znaleźliśmy się w namiocie. Przez dwie godziny topiliśmy śnieg. Na podłodze położyliśmy energetkę [folia termiczna – przyp. red.], a na niej karimaty. Po 19 przykryliśmy się naszym jedynym śpiworem, przytuliliśmy się jak kochankowie i próbowaliśmy na chwilę zasnąć, ale nie przypominało to snu. Nigdy nie przypomina. Poleżeliśmy trzy godziny i zaczęliśmy się zbierać.

Na niebie nie było chmur, wiał słabutki wiaterek.

Wychodziliśmy z namiotu w poczuciu, że szczyt już pewnie został zdobyty. Mieliśmy jeden dzień opóźnienia, bo nie udało nam się od razu przebrnąć z jedyńki do trójki. Dziwiliśmy się, że Gerfried [Göschl], Cedric [Hahlen] i Nisar [Hussain] wciąż się nie pojawili. Mieli przecież schodzić z wierzchołka naszą drogą.

Ruszyliśmy o północy. Na wszelki wypadek wziąłem kawałek cienkiej liny. W plecaku miałem też termos, ze dwa batoniki i flagi – polską oraz sponsorów. Wyszliśmy w nocy wbrew niepisanej zasadzie himalaizmu zimowego, sformułowanej chyba przez Krzyśka Wielickiego: nocą w zimie szczytu się nie atakuje. W lecie to normalne, w końcu atak szczytowy trwa średnio ok. 20 godzin, więc tak czy

TAKTYCZNY MAJSTERSZTYK NA PIĘKNEJ GÓRZE

Sukces był ogromny, po siedmiu latach Polacy znów zdobyli zimą ośmiotysięcznik jako pierwsi



8 marca w Kuluarze Japońskim z Januszem Gołębiem i Shaheenem Baigiem.

siak trzeba iść po ciemku. Lepiej to zrobić na początku, bo sił jest więcej niż na końcu, gdy wyziębione ciało znajduje się na granicy wytrzymałości i liczy się każda cząstka energii. Tylko że w latach 80. himalaiści dysponowali gorszym sprzętem niż my. Zimowy start w nocy oznaczał bardzo duże ryzyko odmrożeń, które w przeszłości zdarzały się himalaistom znacznie częściej niż obecnie. Dziś mamy lepsze buty i ubrania. Grzejemy stopy jednorazowymi rozgrzewaczami chemicznymi, czyli wkładkami do butów, które w reakcji z tlenem wytwarzają ciepło. Używamy też rozgrzewaczy elektrycznych, na baterie.

Start w nocy był naszą jedyną szansą. Agnieszka [siostra Adama Bieleckiego] przekazała nam jednoznaczne prognozy: 9 marca do godziny 12 ma być ładnie, ale potem zacznie wiać. Spodziewaliśmy się, że o 14 w okolicach szczytu wiatr osiągnie prędkość 80 km na godzinę. Jeśli tam wtedy będziemy, to zginimy. Po kilkunastu minutach dostaniemy hipotermii. Od temperatury jesteśmy w stanie odgradzić się sprzętem. Ale przed wiatrem kombinezon już tak nie chroni. Wolę, żeby było minus 50 st. C i wiało z prędkością 10 km na godzinę, niż minus 30 st., ale przy wietrze o prędkości 70 km.

Tego dnia było ok. minus 40. Wiało maksymalnie 40 na godzinę. To oznaczało, że temperatura odczuwalna na szczycie będzie wynosiła jakieś minus 60 st. Dziś już wiem, że to blisko granicy mojej wytrzymałości.

Szło nam całkiem nieźle. Aż stało się to, co dość często przydarza mi się podczas ataku szczytowego. Zachciało mi się kupę. Noc, ponad 7000 m, minus 40 st., najgorszy możliwy moment, a ja muszę wystawić cztery litery na wiatr. Absolutnie przerażająca sprawa. Z konieczności załatwiłem sprawę szybko, ale i tak byłem wdzięczny Januszowi, że na mnie poczekał te kilka minut.

Weszliśmy w kopułę szczytową. Latem droga wiedzie blisko skał, aby uniknąć zagrożenia lawinowego. Zimą jednak cały śnieg jest wywiany, a w jego miejscu znajduje się skała, firn bądź lód, dlatego mogliśmy pójść inaczej. Wbiliśmy się w kuluar, który miał nas wyprowadzić prosto na grań szczytową.

– Adam, chyba musimy iść bardziej w lewo – powiedział Janusz.

– Nie, Jasiu, idziemy prosto do góry, do grani, pamiętam ze zdjęć.

– Chyba jednak w lewo, pójde sprawdzic.

– Bez sensu, szkoda czasu!

Janusz jednak poszedł sprawdzić inną drogę. Czekalem na niego. Robiło się coraz zimniej.

Żeby się wspinać w Karakorum w zimie, trzeba pamiętać o trzech rzeczach. Pierwszą jest tempo marszu. Drugą oddech. Powyżej 7500 m n.p.m. na jeden krok robimy nawet cztery wdechy i wydechy. Kiedy jesteśmy zmęczeni, to tych wdechów i wydechów robi się czasami więcej. Oddychamy ustami, głęboko z przepony. Na tym polega cała sztuka – oddychać tak, żeby wciągać jak najwięcej powietrza. Kobiety muszą się tego uczyć, faceci z przepony oddychają naturalnie. Jeśli idziemy za szybko, to łapiemy zadyszkę i musimy się zatrzymać. Wtedy pojawia się trzeci czynnik: zimno.



Na szczycie Gaszerbrumu I spędziłem kilka minut.

Chodzę po górach szybko i ubieram się lekko, żeby się nie pocić. Dlatego przez pierwsze pięć minut czekania na Janusza było znośnie, ale dwie minuty później zacząłem się trząść. Po 10 minutach czułem, że zamaram. Doraźne patenty na rozgrzanie przestały działać. Sekundy wydłużały się w nieskończoność. Musiałem się ruszyć. Podszedłem kawałek, żeby się rozgrzać. Po chwili zobaczyłem Janusza idącego po moich śladach. Szedłem dobrze.

Kiedy przekładasz nogę za nogą dziesiątą godzinę i walczysz o każdy oddech, wprowadzasz się w stan głębokiej koncentracji. Ktoś kiedyś powiedział, że jedną z najpiękniejszych rze-

czy we wspinaniu jest ten czas, kiedy liczy się tylko metr kwadratowy terenu przed tobą. Kiedy pokonujesz trudne miejsce, to znikają dom, rodzina, bliscy, przyjaciele i problemy dolin. Nie ma tego, co na co dzień zaprząta twoje myśli. Trochę tak, jakby twoje „ja”, ten wewnętrzny ludek, który myśli, analizuje, rozważa, boi się, przestawało nagle istnieć. Rozpływasz się, przestajesz się wspinać, a stajesz się wspinaniem. Najgorsze, co możesz zrobić w trudnej sytuacji, to pomyśleć, że jesteś zbyt zmęczony, a przed tobą jeszcze tyle godzin. Że nie dasz rady. Wtedy od razu lepiej zawrócić. Jeśli nie umiesz wyczyścić całkowicie umysłu, to pomyśl o domu, o bliskich albo po prostu o tym, co ostatnio zjadłeś i co zjesz po zejściu. To pomaga rozwiązać złe myśli. Ale najlepiej w ogóle nie myśleć i skupić się na oddechu. Wtedy z twojej świadomości znika wszystko, co zbędne. Wpadasz w trans, w którym możesz iść niemal w nieskończoność. Ważne jest też, żebyś nagle nie pomyślał, że jest super. (...) W górach ten moment dekoncentracji może cię zabić. Sztuką jest się wyłączyć, ale nie przestać analizować tego, co dzieje się dookoła.

Sensem życia nie są ośmiotysięczniki, ale to, co czeka na mnie, kiedy wracam.

Na 8000 m w mojej głowie pojawia się pasek, taki jak w grze komputerowej. A w zasadzie kilka pasków. Jeden – mierzy odwodnienie.

Drugi – wyczerpanie. Trzeci – głód. I kolejne – siła mięśni, niedotlenienie, niewyspanie. Poza tym muszę analizować pogodę, sprawdzać, co z moimi partnerami, i kontrolować czas. A na koniec uważać na tak prozaiczną rzecz jak stawianie kroków, żeby się nie poślizgnąć.

Jeśli do tej układanki dopuszczę strach, to wszystko zacznie się sypać.

Kiedy wyszedłem na grań szczytową, wyrósł przede mną ogromny serak. Gerfried mówił w bazie, że trzeba go obejść z prawej strony. Tak zrobiłem. Za serakiem znajdowała się kolejna przeszkoda – lodowa ścianka, ▶

► która wyglądała, jakby była zrobiona ze szkła. Miała 60 m długości. Układała się pod kątem co najmniej 55 st. Niby nic takiego, ale na wysokości 8000 m proste rzeczy stają się trudne. W górę to jeszcze pół biedy, ale co będzie z zejściem? Pomyślałem o linie w moim plecaku. Na samą myśl o wyciągnięciu jej zrobiło mi się zimno. Wbiłem przednie zęby raków w lód, w ruch poszedł czekan. Strach uleciał, a trudne miejsce puściło – spokojnie, pewnie i sprawnie.

Szliśmy bez okularów czy gogli. To dla mnie niepojęte, że w XXI w. potrafimy wysłać ludzi w kosmos, ale nikt

Im wyżej byliśmy, tym bardziej martwiłem się o Gerfrieda i jego partnerów. Co się z nimi dzieło?

Coś musiało pójść nie tak.

Wyszło słońce.

Na szczycie stanąłem około ósmej rano. Zrobiłem kilka kroków na południe, żeby zobaczyć, czy gdzieś nie widać ekipy Gerfrieda. Nic. Żadnych śladów.

Połączyłem się z bazą.

– Jestem na szczycie GI! Nie ma śladów Gerfrieda. Strasznie późno. Janusz jakieś 40 minut za mną. Idzie w kierunku szczytu. Zaraz będę odpalał aparat.

– Masz dziesięć minut do szczytu. Super! Gratulacje!

– Fajnie, dzięki – powiedział.

Zapytałem, czy nie chce aparatu. Janusz odparł, że ma swój.

– Dobra, to ja schodzę.

Pięć minut później zatrzeszczało radio. To był Gerfried. Poculiśmy olbrzymią ulgę. Od doby nie mieliśmy z nim kontaktu. Przekazał, że idą w kierunku szczytu i brakuje im jeszcze 300 m. Dobra informacja, ale zaniepokoiłem się, bo wynikało z niej, że od 24 godzin nie zrobili żadnych postępów. Wtedy połączyli się ostatni raz.

Zszedłem jeszcze kawałek, zatrzymałem się i odwróciłem. Zobaczyłem Janusza schodzącego granią. Wszyst-



Najgorsze w trudnej sytuacji to pomyśleć, że jesteś zbyt zmęczony, a przed tobą jeszcze tyle godzin.

ko było w porządku. Szedłem powoli i ostrożnie, aż do miejsca, w którym teren się wypłaszczył i straciłem mojego partnera z oczu. W tym miejscu postanowiłem poczekać.

Słońce było już na tyle wysoko, że zrobiło się trochę cieplej. Usiadłem na plecaku. Pierwszy raz tego dnia wyciągnąłem termos i napiłem się herbaty. Zacząłem ruszać palcami u stóp, próbując sprawdzić, czy aby ich nie odmroziłem. Przy takim ataku nigdy tego nie wiesz. Wielokrotnie tracisz i odzyskujesz czucie. W pewnym momencie nie jesteś w stanie ocenić, jak to się skończy. Janusz pokonał załozzone pola w kuluarze. Szedł wolno, ale był już w bezpiecznym miejscu.

Doszedłem do trójki i zacząłem topić wodę. Janusz przyszedł dwie godziny później. Dostał coś do picia i od razu zaczęliśmy schodzić. Albo raczej uciekać. Nadchodził huragan. Zostawiliśmy namiot. Gdyby Gerfried z kolegami zdobyli szczyt, mieliby gdzie się zatrzymać. Zostawiliśmy też gaz, jedzenie, do środka wrzuciliśmy kilka dużych kamieni, żeby choć na chwilę powstrzymały namiot przed odlotem.

Gabl [Karl Gabl – austriacki meteorolog] miał rację – o 14 załamała się pogoda. Warunki były koszmarnie. Do dwójki doszliśmy w zadymce śnieżnej i silnym wietrze. Tam czekali na nas Artur i Shaheen. W nocy zrobiło się ciasno, bo musieliśmy się zmieścić we czterech w jednym namiocie. Cieszyłem się z sukcesu, ale dominującym

10 lutego założyliśmy z Januszem i Muhammadem Alim obóz III na wysokości 7000 m n.p.m.

jeszcze nie wymyślił podgrzewanych gogli. Kiedy rok później pojechaliśmy na Broad Peak, Artur ściągnął z USA model z wentylatorkiem na baterie. Nie parowały i były świetne, ale tylko do wysokości 6000 m. Wyżej zamarały. Problem polega na tym, że kiedy oddychamy w niskich temperaturach, to na szybkach pojawia się para, która w tym samym momencie lodowacieje. Możemy albo próbować przecierać gogle co pięć sekund, albo przyzwyczaić się, że wszystko jest rozmazane. Wybieramy to drugie lub w ogóle ściągamy z oczu ochronę, ryzykując śnieżną ślepotę. W lecie, kiedy śniegu jest więcej i słońce świeci mocniej, tak nie można. W zimie są szanse, że nie oślepiemy.

Artur martwił się o Gerfrieda:

– Możesz sprawdzić jeszcze raz?

– Boję się podchodzić do krawędzi, bo tam może być nawis – powiedziałem.

– Dobrze. Poczekać na Janusza.

– Artur, nie jestem w stanie, za zimno.

– OK, to schodź.

Spod kombinezonu wyciągnąłem zawieszony na szyi aparat. Zrobiłem kilka zdjęć, nakręciłem krótki filmik i trzęsąc się z zimna, ruszyłem w dół.

Janusza spotkałem przy lodowej ścianie. Okazało się, że był za mną nie dalej niż 20 minut drogi.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– Spoko, dobrze.

uczuciem był strach o los Gerfrieda, Cedrica i Nisara.

Następnego dnia wróciliśmy do bazy. Zastaliśmy tam ciężką atmosferę. Trzeba było uruchomić akcję ratunkową, ściągnąć helikopter, który miał szukać zaginionych wspinaczy z drugiej wyprawy.

Miałem odmrożony palec u nogi. Obaj z Januszem odmroziliśmy nosy. Przez telefon satelitarny skonsultowaliśmy się z Robertem Szymczakiem, himalaistą i lekarzem, który stwierdził, że chociaż nasz stan nie jest poważny, to jednak powinniśmy opuścić bazę helikopterem. (...)

Rozdzwoniły się telefony. Okazało się, że media są umiarkowanie zainteresowane naszym sukcesem, ale za to bardzo ciekawiły je problemy. TVP nadała materiał, którego wydźwięk sprowadzał się do stwierdzenia, że „polscy himalaiści są uwięzieni i wymagają akcji ratunkowej. Kończą się leki i żywność. Weszli na szczyt, ale nie potrafią z niego zejść”. Zrobiło się nam przykro. Sukces był ogromny, po siedmiu latach od pierwszego zimowego wejścia na Sziszapangmę Piotra Morawskiego (razem z Simone Moro) Polacy znów zdobyli o tej porze roku ośmiotysięcznik jako pierwsi. A media zrobiły z nas ofiary losu.

Kiedy zadzwonili do nas dziennikarze Programu 1 Polskiego Radia, Agnieszka skorzystała z tego, że przekaz jest na żywo, i odczytała nasz komunikat:

Chciałabym zaapelować do dziennikarzy, że nie jesteście materiałem, tylko żywymi ludźmi, którzy mają rodziny i przyjaciół, a rozsiewanie tego typu sensacyjnych informacji jest niezwykle szkodliwe. Zwłaszcza w przypadku tego sportu, który sam w sobie niesie duże ryzyko, straszenie ludzi i opinii publicznej niczemu nie służy. Jesteśmy oburzeni. Naszym zdaniem sprawą powinna się zająć Rada Etyki Mediów.

Na transport czekaliśmy kilka dni. W bazie było smutno. Zanim odlecieliśmy, helikoptery poleciały szukać Gerfrieda i chłopaków. Do dziś nie odnaleziono żadnych śladów tej wyprawy. Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, co się z nimi stało. (...)

Po powrocie do Polski jak dziecko cieszyłem się drobnostkami. Ciepłym prysznicem albo łóżkiem. Lepiej ra-



Na lodowcu.

dziłem sobie z codziennością. Lubię i znam już dobrze tę przemianę. Jest widoczna do tego stopnia, że kiedy ustępuje, to zaczynam drażnić nawet sam siebie i żona mówi mi, żebym już lepiej jechał w góry. Gdy zbyt długo siedzę w domu, łatwiej się denerwuję, jestem mniej cierpliwy, nadpobudliwy. Wkurzają mnie najprostsze rzeczy. Nie lubię, gdy Dobrochna nie zakręca pasty do zębów. Po powrocie mówię: „Kochanie, zapomniałaś”. A jak za długo jestem na dole, to powiem ostrzej. Góry mnie kalibrują. Pozwalają ustawić właściwie priorytety.

Pamiętam, że stresowaliśmy się przed wizytą u prezydenta Bronisława Komorowskiego. Żeby nas uspokoić, Artur Hajzer powiedział: „Nie ma sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia, więc możemy zachować spokój”. Mnie spokój dają góry. Kiedy odczuwam treść przed prelekcją, to przypominam sobie powiedzonko Artura i zamiast panikować, zaczynam myśleć, że nic mi się na głowę nie zawali, jestem bezpieczny, zdrowy, więc co może mi się stać?

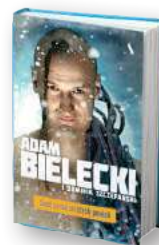
Po powrocie mniej się przejmuję rzeczami mało istotnymi. (...)

Ludzie mówią, że my, wspinacze, nie szanujemy życia i podchodzimy do niego lekkomyślnie. Sądzę, że jest odwrotnie. Kiedy od trzech godzin chce ci się sikać, to jak wielką radość czu-

jesz, gdy w końcu możesz to zrobić? Jeśli od 12 godzin chce ci się pić, to jak bardzo docenisz tyk zimnej wody? Albo piwo? Po całym dniu wspinaczki najgorszy cienkusz smakuje jak ambrozja. Jeśli porządnie nie zmarzniesz, nie docenisz kocyka i ciepłej herbaty. Jeśli nie będziesz szedł całego dnia, nie dowiesz się, jak dobrze jest w końcu ściągnąć buty i skarpetki.

Maciek Berbeka mówił o drugiej stronie lustra. Jeśli nie zobaczysz, jak życie jest kruche, jeśli nie doświadczysz sytuacji granicznej, to go nie docenisz. Spotkanie ze śmiercią sprawia, że jeszcze bardziej kochasz życie. I kiedy potem będziesz leżał na łące z dziewczyną i pił wino, to w pełni zachwycisz się tą chwilą.

Prawdziwym sensem życia nie są ośmiotysięczniki, tylko to, co czeka na mnie, kiedy z nich wracam.



Fragmenty książki Adama Bieleckiego i Dominika Szczepańskiego *Spod zamrożonych powiek*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2017

Weronika Mliczewska

Każdej soboty w tętniącym życiem miasteczku Copan odbywa się uliczny pokaz mody. Samochody z przyciemnianymi szybami podjeżdżają na skrzyżowanie małych, garbatych uliczek. Z pseudolimuzyn o niskim zawieszeniu wychodzą szczupłe latynoskie piękności w obcisłych sukienkach, na 10-centymetrowych obcasach. Są uosobieniem piękna, gracji, powabu. Ich powieki świecą od brokatu, ich biodra zaczepnie się kołyszą, hipnotyzują wyrwane ze snu turystyczne miasteczko, gdzie znajdują się piramidy Majów. Buchająca muzyka z klubów zlepia półnagie ciała turystów i bogatych Latynosów. Miasteczko zanurza się w rytmie dziwnie napompowanej kultury pop, zupełnie wyrwanej z kontekstu. W Copan znajdują się jedne z najlepiej zachowanych w całym Mundo Maya ruin. Indianie Chorti są bezpośrednio powiązani z Majami z przeszłości. Ponoć glyfy ruin zapisane są dokładnie w tym samym języku, którego używają dzisiejsi mieszkańcy, ponoć dialekt Chorti w ogóle się nie zmienił. Wstęp do ruin kosztuje 40 dol. Który ze współczesnych Majów może tyle zapłacić? Czy któryś z nich, żyjących tuż przy ruinach przodków, miał kiedykolwiek możliwość zobaczyć ich potęgę? Nie zapominajmy jednak, że to przygraniczne, turystyczne miasto leży zaledwie 6 km od społeczności, które przez trzy miesiące w roku nie mają co jeść.

Pod powłoką dyskotekowego szaleństwa kryje się inny świat. 18-letnia Maria dochodzi właśnie do domu po dwugodzinnym marszu. Do jej wioski, La Pintada, nie docierają ani autobusy, ani inne środki transportu, można tam dojechać tylko dzięki koniom. Dzisiaj nie sprzedała nic. Lalki zrobione z zafarbowanych tusek kukurydzy nie należą do najbardziej pożądanых towarów w dobie kapitalizmu. Jeżeli ktoś by je kupił, to raczej z pobudek charytatywnych, nie estetycznych. Dlatego Maria wraca z pustymi kieszeniami i dwiema pełnymi torbami lalek. Razem z nią idzie pięć dziewczyn, które tak jak ona ruszyły dziś w miasto w poszukiwaniu szczęścia. Nic z tego. Ludzie w La Pintada żyją z turystów, a raczej z ochłapów, które turyści raczą im rzucić ze swojej błyszczącej bańki, którą jest Copan.

La Pintada to wioska, do której tutejsi Metysi organizują wycieczki



Tkanie tradycyjnych strojów na ganku – codzienne zajęcie kobiet.

NIEWOLNICY GŁODU



Don Oscar Acuestas walczy o prawa do ziemi Majów Chorti w Hondurasie.

– Od grudnia zaczynamy głódówkę
– mówią Majowie z Hondurasu.
– Mamy przed sobą pięć miesięcy, na które nie wystarcza nam kukurydzy

konne. Trzy godziny egzotycznego doświadczenia „prawdziwego życia” Chorti Maya za „jedynę” 15 dol. Dzięki temu produkcja kukurydzianych lalek kwitnie. Najwięcej jednak pieniędzy zarabiają na tym nie Indianie, lecz ci, co mają konie, czyli Metysi.

Maria ma dwa poślaczane zęby, gdyż prawdziwe jej wypadły, gdy miała 15 lat. Ubrana jest w różową sukienkę w kwiaty, opadającą za kolana, ma długie, czarne włosy i oczy pełne ciekawości świata. Dzisiaj śledziła mnie cały dzień. Najpierw przyglądała mi się z zaciekawieniem, potem zaczęła podchodzić bliżej, a na końcu odważyła się zadawać pytania. Pytała o wszystko: od moich ulubionych potraw do sposobów zapobiegania ciąży. (...) Było to dla mnie nowe doświadczenie, zazwyczaj to ja pytam, dziennie zadaję tych pytań setki, nawet jeżeli

druzgoczącą biedę. Inaczej jest w wioskach, do których nie dojeżdża nikt i nikt, o których zapomnieli nie tylko turyści, ale cały otaczający ich świat.

Wybrałam się więc do San Rafael, małej osady zamieszkaną głównie przez Chorti Maya. Dojechałam tam tuk-tukiem. Zdziwiałe, ile ten skuter na trzech kółkach może wytrzymać. Przejechałam przez jedną górę, poradziłam sobie z wyrwami w drodze, z wybojami i kamieniami, i połączyłam drogę wiodącą przez góry. San Rafael oddalone jest od miasteczka Copan zaledwie 15 minut drogi tuk-tukiem. Wygląda jednak, jakby znajdowało się na totalnym pustkowiu, z dala od jakiegokolwiek cywilizacji.

Udałam się do tutejszej szkoły. W San Rafael 85% mieszkańców nie potrafi czytać ani pisać. W wielu osadach

li. Ponoć dzięki szkole jedzą więcej od swoich rodziców.

Kiedy pytałam dzieci, jaki zawód chcą wykonywać w przyszłości, większość z nich nie wiedziała, co odpowiedzieć. Choć kierowca autobusu był częstym wyborem chłopców. Dlaczego? Bo zawód ten pozwala na „dalekie podróże”. Na zatrudnienie w San Rafael nie ma co liczyć. Za 12-godzinną pracę przy budowie domu można dostać 30 lempiras, czyli 1,60 dol. W samym Copan żaden biznes nie należy do Majów. Nawet najmniejszy sklepik.

Jeszcze w 2008 r. wśród zamieszkujących ten teren Majów panowało niewolnictwo.

W Hondurasie większość ziemi znajduje się w rękach prywatnych. Pewnego dnia właściciel działki, na której wybudowana jest szkoła, przyjechał buldożerem i krzychał: „Zburzę tę budę!”.

– Był wściekły – opowiadała nauczycielka Carolina Nariz. – „Jak państwo nie wykupi ode mnie ziemi, to zniszczę tę budę od razu!”.

Dzieciaki zawisły na płocie, dziewczynki przestały zamiatać pokryte betonem małe boisko, a jeź u sąsiada zaczął uciekać, gdyż wreszcie odbiegła od niego gromadka zbyt wylewnych chłopców. Do tej pory nikt ziemi nie wykupił.

Carolina Nariz pracuje w San Rafael od ośmiu lat. Na początku została tu przydzielona. Młodzi nauczyciele nie mogą wybierać, gdzie zacząć uczyć. Zazwyczaj rząd wysyła ich w najbardziej niebezpieczne regiony, gdzie panują najcięższe warunki życiowe. Żaden doświadczony nauczyciel nie chce tu uczyć.

– Nie ma wody, nie ma światła, nie ma dróg i nie ma godziwych pieniędzy. Nie można się wyrwać z tego świata, trzeba w nim tkwić – mówi Carolina. – Ja to jednak wybrałam. Po dwóch latach mogłam się przenieść, ale nie chciałam. Spodobało mi się tutaj. Kiedyś przystali czterech nauczycieli. Tak bardzo nie chciały pracować, że przychodziły do szkoły tylko raz w tygodniu. Do tego nikt nie umiał przewidzieć, w który dzień. Pograżyły się w depresji. To trudna praca, trzeba mieć do niej powołanie.

Wioska San Rafael ciągnie się wzdłuż jednej drogi prowadzącej stro-



Karmienie piersią w miejscu publicznym nie jest dla Majów niczym wstydlivym ani dziwnym.

nie komuś, to zadaję je sobie. Napotykanie ludzi zazwyczaj mówią, dzielą się swoim życiem i nie wiedzą o mnie nic. (...) Maria była inna. Polowała na mnie, przyglądała mi się, by wreszcie móc się otworzyć i zadać wiele niekończących się pytań.

Zastanawiam się, ilu ze 150 tys. odwiezających ruiny kiedykolwiek prowadziło z nią rozmowę. Ilu z nich Maria mogła poznać, a dla ilu z nich była wcieleniem ich strachu, problemu, którego najlepiej nie dotykać, gdyż zacznie boleć. La Pintada, codziennie wspierana przez napływających turystów, nie wykroczyła jednak poza

dach w górach nie ma szkół. Dzieci muszą pomagać w domu, więc się nie uczą. Z wielodzietnej rodziny do szkoły posyła się jedną lub dwie latorośle, zazwyczaj chłopców. Reszta ma pracować. Do tej szkoły docierają jednak też dzieci, które muszą rano iść godzinę przez góry. Francisco idzie boso, zdejmując buty, bo mu ich szkoda, żeby się zabrudziły. Białą koszulkę od mundurka też często ściąga i niesie w rękę, żeby się nie zapociła i nie zniszczyła. Pójście do szkoły równoznaczne jest z nagrodą. Dzieci dostają dwa posiłki dziennie – śniadanie i obiad. Potrawy są proste, składają się z ryżu, tortilli i czarnej fas-

► mo pod górę. Na samym jej początku znajduje się najbiedniejsza chata. Wygląda najgorzej ze wszystkich. Jest to zlepek kijeków, związanych drutami i pokrytych falowaną blachą. W domku o tak wątej konstrukcji, szerokości 2 m i długości 4 m, płacze małe dziecko. W chatce znajduje się zarówno kuchnia, jak i sypialnia oddzielona białym, podziurawionym prześcieradłem w kwiatki zastępującym drzwi. Na „suficie” zawieszono radio, z łóżka zwisają buty. Na tych kilku metrach kwadratowych jest wszystko.

W środku stoi łóżko, na którym obok niemowlęcia leży dziewczyna, ma 18 lat. Wczoraj urodziła drugą córeczkę. Chowa ją przede mną, nie chce jej pokazać, gdyż boi się, że rzucę na nią urok. Kobieta ma wysoką temperaturę, jest słaba. Na głowie ma biały turban z mokrej pieluchy włożonej pod czapkę. Stare ubrania z organizacji charytatywnych. W domku jest jej mama. To ona wczoraj odbierała poród. Przyszła z sąsiedniej wioski, oddalonej dwie godziny drogi pieszo. Mąż młodej matki pracuje przed domem. Wybiera glinę i błoto, i formuje je w cegły. Buduje dom dla większej rodziny. Zanim go postawi, cała czwórka będzie spać w jednym łóżku w szczerbatej chatce. Aby dostać się do niej z drogi, trzeba wspiąć się na wysoką górę. Powiedziały dziewczynie, że za dwa dni trafią do niej misjonarze. Nakierowałam ich na nią, rzeczywiście u niej byli. Ponoć miała się już lepiej.

Na górze wioski San Rafael sytuacja rodzin nie wygląda weselej. Afrainowie: Maria, lat 25, i José, lat 26, mają dwójkę dzieci: Guendi i Ever. Ich chatka zbudowana jest z cegieł zrobionych z błota, w środku jednak jej stan jest opłakany. Nad łóżkami zawieszono są szmaty, które kiedyś były moskitierami. Z chyboczących się półek spadają garnki, drewno, wióry i śmieci. W jednym kącie chaty znajduje się góra tussek z kukurydzy. Po izbie chodzą kury, wydziobując rozrzucone ziarna. Maria i José siedzą przed chatą i obierają kolby kukurydzy. Czteroletnia Guendi siedzi na podłodze i rysuje. Dwuletni Ever jest niedożywiony, ma wyduły brzusek. Pół roku temu do gospodarstwa Afrainów przyszli ludzie pracujący dla rządu i zważyli ich dzieci. Miał to być wstęp do programu pomocy w dożywianiu dzieci.

– Jak ich nie było, tak nie ma – wzrusza ramionami José. – Przyszli, zważyli i poszli. Może wrócą – uśmiecha się bezradnie.

Maria potrafi czytać i pisać. Ukończyła cztery klasy szkoły podstawowej, to dużo jak na tutejsze warunki. José dorabia, sprząając fincę, prywatne tereny bogaczy. Płacą mu 70 lempiras za 12 godzin pracy, czyli 3,7 dol. Litra mleka kosztuje ok. 40 lempiras. Rodzina Afrain ma pół manzany ziemi, to tutejsza jednostka miary. Jest to mniej

Dzieci muszą pomagać w domu, więc się nie uczą.

niż jeden akr. José mówi, że cały rok można wyżyć na kukurydzy z 50 manzan, czyli ok. 86 akrów ziemi.

– Od grudnia zaczynamy głodówkę – mówi José. Mamy wtedy przed sobą pięć miesięcy, na które nie wystarcza nam naszej kukurydzy. Jeżeli pojedę do Copan zarabiać, wtedy w trzy dni zarobię na jedno wiadro kukurydzy, które zjemy w jeden dzień.

Ceny podczas miesięcy głodu rosną. Maria zajmuje się domem i dziećmi. W wiosce nie ma ani prądu, ani wody, ani nawet sklepu. Rodzina Afrain pozostaje ze swoim głodem sama.

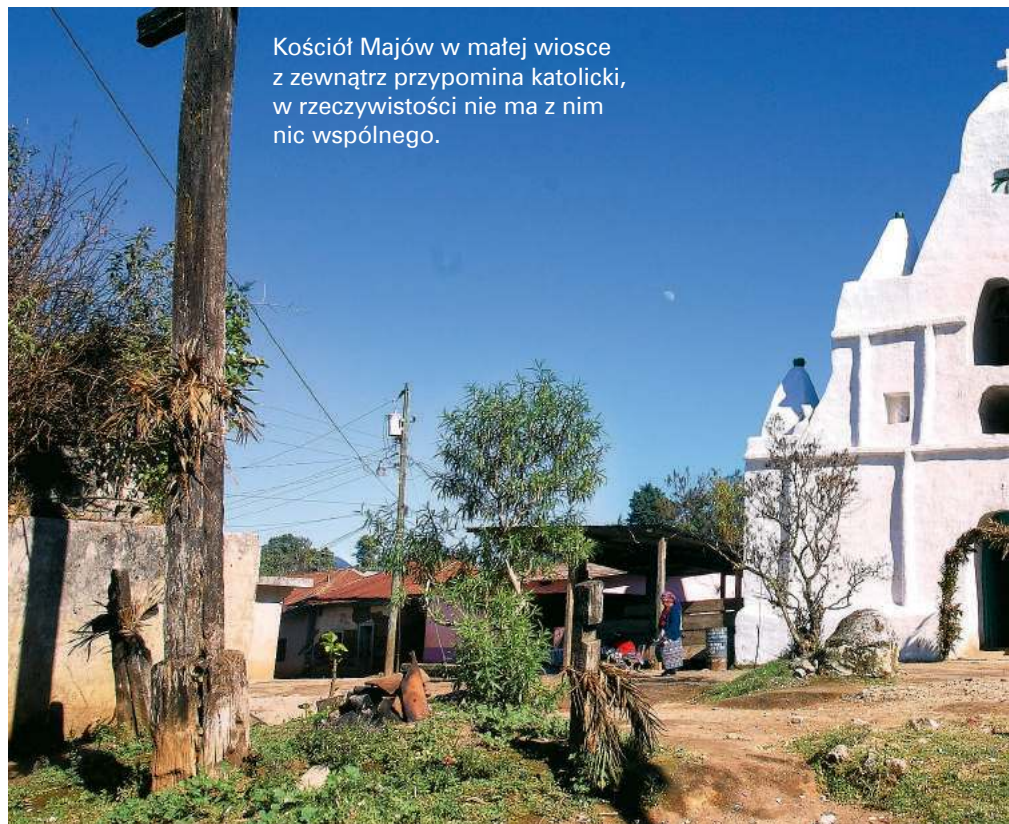
Po drugiej stronie drogi, ciągnącej się przez całą wioskę, znajduje się mała osada, która oficjalnie nie ma nazwy. Ludzie nazywają ją jednak Aldea

Nueva (Nowa Wieś). Co ciekawsze, nie ma tu drogi, którą można by się do owej wioski dostać. Wejścia pilnuje stado pasących się byków. Zanim odważyłam się wejść na pastwisko, bawiłam się z nimi w chowanego i obmyślałam strategię, jak w razie czego będę uciekać. Ominęłam je szerokim łukiem, nadrabiając spory kawałek drogi. Osada miała znajdować się za górą. Rzeczywiście, za wzniesieniem, na trawiastych wzgórzach znajdowało się 10 chat. W nowo wybudowanym kościele trwało wykańczanie i tynkowanie świeżych elewacji. Znalazłam tam Don Leopolda, którego poleciły mi szukać nauczycielki ze szkoły.

– Dlaczego do waszej osady nie ma drogi?

– Ziemia, która łączy naszą osadę z drogą, jest w rękach prywatnych. Teraz pasą się tam byki właściciela. Nas nie byłoby stać na stado byków. Właściciel, Latynos, zagroził drogę, abyśmy nie mogli przejeżdżać do naszej ziemi. Zresztą i tak nie mamy samochodów. Łatwiej jednak byłoby transportować cement na budowę kościoła.

Pieniądze na wybudowanie kościoła przyszedł od rządu. Jeszcze w 2008 r. wśród zamieszkujących ten teren Majów panowało niewolnictwo, choć oficjalnie zniesiono je w 1991 r. dzięki podpisaniu Konwen-



Kościół Majów w małej wiosce z zewnątrz przypomina katolicki, w rzeczywistości nie ma z nim nic wspólnego.

cji nr 169 Międzynarodowej Organizacji Pracy. Majowie przypisani byli do ziemi, a ta należała do prywatnego właściciela. Człowiek ten wprowadzał odrębną walutę, którą płaćć rolnikom. Mogli jej używać tylko w miejscowym sklepie, oczywiście należącym do latyfandy. Za 12 godzin pracy Majowie zarabiali 2 lempiras, czyli 10 centów. Te fakty są tylko wstępem do długiej listy łamania podstawowych praw człowieka.

Dzisiaj sytuacja się poprawiła. W 1997 r. Majowie wyszli protestować na ulicę. Do pokojowego marszu poprowadził ich Candido Amador. Po kilku dniach zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Proces trwa.

– Candido był zbyt silny dla rządu. Musieli go zabić, gdyż doprowadziłby do rewolucji – mówi Oscar Acuestas, działacz organizacji walczącej o prawa Indian Chorti Maya, CONINCH. – Candido stał się dla nas ikoną, jego śmierć

państwo ziemi Majowie nie mogą sprzedać, jest to własność społeczności, a nie ich prywatna. Mogą jednak czerpać dochód z plonów. I tak Don Leopoldo zaczął uprawiać kawę.

– Jest to roślina bardzo wymagająca i trudna w uprawie. Proces zbierania ziaren jest długi, a drzewka rodzą bardzo mało. W rok udaje mi się zebrać małą część hektara, pozwala to zarobić 4 tys. lempiras, czyli 211 dol. rocznie.

Wartość pieniądza w oddalonych od większych miast wioskach traci uniwersalne znaczenie. Wymyka się spod zasad wolnego rynku i rządzi własnymi prawami, gdyż społeczności Chorti Maya są w dużej mierze samowystarczalne. Jedynie gdy wyjedzie się poza granice wioski, można się o tym przekonać. Wymiana dóbr za pomocą pieniędzy w takim miejscu to znamie luksusu. Zazwyczaj pieniędzy się nie używa, nie są one potrzebne do życia zgodnie z cyklami natury i z rytmem rodzinnego bytowania. Potrzebne są tylko wtedy, gdy członkowie wioski starają się wyjść poza to, co lokalne, tradycyjne i sięgnąć po to, co jest obce. Przez to ceny dóbr „obcych” są wysokie. Wartość pieniądza to też sam fakt, że się tego pieniądza używa. Fakt, że za coś można wyznaczyć cenę, np. za pomoc, jest zaszczytem dla obu stron. Podwyższa status usługi.

Jednak pieniąż, a właściwie jego brak, przyczynia się do frustracji. Honduras prowadzi, zaraz po Salvadorze, w statystykach morderstw w całej Ameryce Łacińskiej. Dane statystyczne dotyczące liczby zabitych pięciokrotnie przekraczają średnią światową. Na tysiąc mieszkańców w wyniku przemocy ginie tu 43,8 osoby. W Salvadorze jest to 56,2, a w Gwatemali 37,5 osoby. W Hondurasie jest też największe na świecie zagęszczenie gangów. Tuż za nim na tej liście figuruje Salvador – kolejny punkt na mapie mojej podróży. Doświadczylam tego bezpośrednio, gdyż podczas poszukiwania Majów wpłatałam się w historie gangów...



Więcej w książce Weroniki Mliczewskiej *Na początku jest koniec. Na szlakach duchowości Majów*, Muza SA, Warszawa 2017

Kobiety Majów noszą dzieci w chustach, blisko ciała, wykonują z nimi wszystkie codzienne czynności.



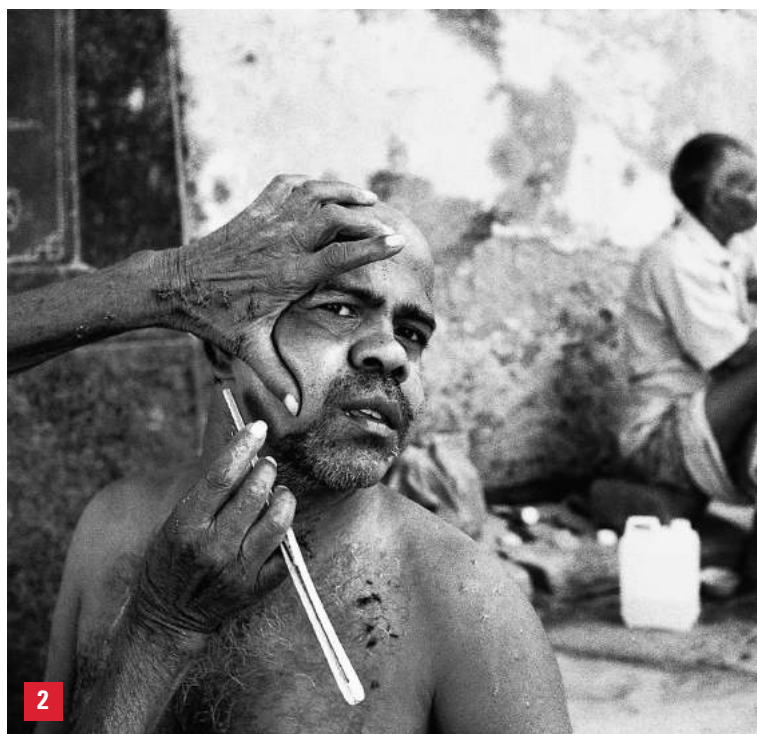
wcale nas nie złamała, przeciwnie – zjednoczyła. Z 15 wiosek walczących o prawa do ziemi nasza organizacja rozrosła się do 80. Rząd zorientował się, że nie może już dłużej zwlekać z reformami i musi nam pójść na rękę. Jeżeli tak by się nie stało, gotowi byliśmy na rewolucję.

Oscar Acuestas organizował wiele demonstracji, manifestacji i marszów pokoju. Z czasem zaczęły się temu przyglądać międzynarodowe organizacje, np. Komisja Europejska, która zaczęła wywierać wpływ na rząd Hondurasu. W efekcie, w 1997 r. rząd obiecał Indianom Maya 14 mln 700 tys. ha. Miał wykupić je z rąk prywatnych i przekazać rdzennej ludności. Do tej pory wywiązał się z 40% tych obietnic. Aldea Nueva jest jednak przykładem, że zmiany zachodzą. Ziemie tej wioski zamieszkałe są od ponad 90 lat. Starsi dobrze pamiętają czasy niewolnictwa. Dzisiaj ziemia w wiosce podzielona jest pomiędzy wszystkich mieszkańców. O podziale decyduje sołtys i rozdzielają ziemię po równo. Darowanej przez





Sony
World Photography
Awards



ZYCIE NIECODZIENNE





1 *Uwierz w wiarę* – Raju Ghosh, Indie, wyróżnienie, kategoria Open, kultura.

2 *Golenie głowy* – Dennis Garcia Dela Cruz, Filipiny, wyróżnienie, kategoria Open, kultura.

3 *Jesienny sezon żniw* – Xiaowei Wang, Chiny, kategoria Open, kultura.

4 *Ciężar* – Alejandro Marcos, Meksyk, kategoria Nagrody krajowe.

5 *Wieprzowina na plecach* – Alejandro Reinoso, Ekwador, 2. miejsce, kategoria Nagrody krajowe.

6 *Poranny rytuał Masaja* – Joseph Were, Kenia, 3. miejsce, kategoria Nagrody krajowe.

7 *Mężczyzna z kogutami* – Andreas Godwin, Szwecja, kategoria Nagrody krajowe.

JAKIE SOJUSZE?

Dr Jarosław Flis w wywiadzie „Falowanie i spadanie” (PRZEGLĄD nr 13) twierdzi, że sukces PSL w wyborach samorządowych i parlamentarnych leży w interesie nie tylko PO. Moim zdaniem służyłby on także SLD. PSL zabiera wyborców PiS, a właściwie stara się mu odebrać swój przyciągnięty elektorat. Jeśli PSL nie ulegnie pokusie koalicji z PO, sprzyjać to będzie osłabieniu duopolu władzy partyjnej w Polsce (PO i PiS).

Maksymilian Podstawski

ŚWIATŁA NIE GAŚCIE!



SLD nie jest lewicą. Nie wystarczy mieć to słowo w nazwie, trzeba jeszcze reprezentować to skrzydło polityczne. Do tej pory SLD reprezentował politykę centroprawicową, neoliberalną gospodarczo i umiarkowane konserwatywną światopoglądowo. To, że jest uważany za lewicę, świadczy wyłącznie o tym, jak bardzo przesunięta w prawo jest polska scena polityczna. Przypominam, że mamy w Sejmie faszystów.

Mariusz Butrykowski

Gwiazda SLD już dawno zgasała, a właściwie sama się zgasiła, gdy wybrano tego, a nie innego nowego szefa. Kiedyś na nich głosowałem, ale teraz? W życiu! Miotają się od skrajnego antyklerykalizmu po wypowiedzi niemal skopiowane od PiS. Mam nadzieję, że ci, o których mówi dr Materska-Sosnowska, rozwiną skrzydła. Trzymam kciuki za Razem. Mają swoją szansę.

Paweł Drabek

Jak można uważać SLD za lewicę? W rozumieniu zachodnioeuropejskim jest to partia konserwatywna. Zachodnia centroprawica swoje posunięcia i postulaty lokowała wyraźnie na lewo od tego, co nam pokazał SLD.

Lewica nie ma mediów, więc nie będzie mieć władzy. Swoje media ma PO-PiS. Bez mediów lewica nic nie wskóra, w internecie ich przekaz jest raczej adresowany do przekonanych. Media Agory oraz „Polityka”, „Newsweek” są zblatowane z PO. Koniec tematu lewicy w Polsce. Przy całej mojej sympatii do PRZEGLĄDU i „Krytyki Politycznej” – to nisza dla intelektualistów.

Artur Koszykowski

Teraz lewicowość „Krytyki Politycznej” jest już raczej tylko maską.

Ariel Sarniewski

Winą największego grabarza lewicy, Leszka Millera (błyskotliwa kariera przez różne epoki i ustroje, od PZPR do Samoobrony), jest brak szansy SLD na zmartwychwstanie. No i jeszcze ten stworzony przez niego Golem lewicy, czyli Magda Ogórek. To był ostatni fajerwerk na jej stypie.

Paweł Bieńkowski

Razem to regresywna lewica tolerująca seksizm i rasizm chrześcijaństwa i islamu. W XXI w. nie ma miejsca na bi-

bliżną nietolerancję i faszyzm. Prawdziwa lewica to oczywiście taka, która nie boi się nazywać rzeczy po imieniu. Ale takiej w Polsce chyba nie ma.

Madzia Firlej

Lewica jest bezwzględnie potrzebna, aby humanizm przeciwstawić obskurantyzmowi i ciemnogrodowi prawicy. SLD to już czas miniony.

Zbigniew Pietrzak



NIE MA SENSU SIĘ KLÓCIĆ

Lewica – tak samo jak prawica – ma różne oblicza i różnych wyborców. Kiedy popatrzymy na programy wyborcze dwóch głównych partii lewicowych, tj. SLD i Razem, nie widać szczególnych różnic, co więcej, w wielu kwestiach program Razem jest zbieżny z programem SLD. Drogie media, drodzy przedstawiciele partii i organizacji lewicowych, różnijmy się, dyskutujmy merytorycznie na temat naszych pomysłów i propozycji programowych, ale okazujmy sobie szacunek. Zamiast się zwalczać, pokażmy wyborcom, że na lewicy jest miejsce dla różnych organizacji darzących się szacunkiem, bo dzisiejsze położenie lewicy jest również skutkiem wewnętrznych kłótni. Wystarczy, że PiS bije się z PO. My, SLD, wyciągnęliśmy już z tego wnioski. Mamy nadzieję, że pozostałe organizacje lewicowe, także media, również je wyciągną. Szkoda czasu na tego typu walki, tym bardziej że, po pierwsze, nie wiadomo, jaki próg wyborczy będziemy mieli za dwa lata w wyborach parlamentarnych, a po drugie – kiedy patrzy się na tych byłych lub obecnych członków SLD, którzy pod sztandarami Inicjatywy Polskiej lub Razem utyskują dzisiaj na SLD, można się zastanawiać, kiedy zaczną narzekać na IP czy Razem. Choć nikomu nie życzymy takich członków, bo doskonale wiemy, co to oznacza.

Łatwo wytykać błędy SLD, ponieważ ta formacja i ludzie z nią związani kiedyś rządili i byli w parlamencie, a jak wiadomo, błędów nie popełnia ten, kto nic nie robi. Razem na razie nie ma takiego doświadczenia, więc nie ma za co tej formacji oceniać w takim zakresie jak SLD. Polacy potrzebują rozważnych i mądrych partii, a nie ugrupowań walczących ze sobą.

Świątokrzyski SLD



WOJSKO NA MINIE

Żołnierzem się jest, nawet w cywilu, a w stanie spoczynku odpowiedzialność za ojczyznę jest taka sama jak wtedy, gdy się było w służbie. Nie wolno się zastaniać apolitycznością ani chować głowy w piasek. Gdyby dymisje dotyczyły jednego czy dwóch generałów, można by to uznać za zwykłe odejście ze służby. Kiedy jednak dotyczy to 90% kadry dowódczej wysokiego szczebla, a generałowie milczą, trudno ich nazwać odważnymi. Niewiele może tu zdziałać opozycja, gdyż politycy PiS opowiadają bajkę o osobistych powodach tych dymisji, a opozycję traktują jak natrętą muchę. A może by tak zebrać się na odwagę, zrobić konferencję prasową i wygarnąć wszystko, co leży na wątrobie? Już nic gorszego wojska nie spotka, a może przerwie się ten chocholi taniec.

Sławomir



Tajemnica ambasadora

Jeżeli ktoś chciałby dowodu, że nowa ustawa o służbie zagranicznej ma na celu wyczyszczenie MSZ nie z dyplomatów zaczynających karierę jeszcze w czasach PRL, ale z młodszych stażem, z naboru Geremka, otrzymuje go na tacy. Tym dowodem jest Jarosław Łasiński, którego sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych zaakceptowała jako kandydata na ambasadora w Norwegii stosunkiem głosów 15:10. Czyli było ciężko.

A skąd wziął się ten bój?

Otóż stąd, że Jarosław Łasiński, kandydat ministra Waszczykowskiego na ambasadorskie stanowisko, zaczynał pracę w MSZ w roku 1987, czyli za czasów Polski Ludowej. Co więc się stało, że zamiast pakować kartony i szykować się do odejścia, został wywyższony i jedzie do Oslo?

Tym bardziej że zaskakujące, że Łasiński nie jest anonimem w MSZ. PiS dobrze go zna. W roku 2006, gdy premierem był Jarosław Kaczyński, Łasiński pełnił funkcję konsula generalnego w Chicago. I właśnie wtedy, we wrześniu, w USA składali wizytę premier Kaczyński i szefowa MSZ Anna Fotyga. Zażyli sobie, by na czas ich pobytu w Chicago Łasiński wyjechał do Warszawy. Tak też się stało. Nawiasem mówiąc, była to w tamtych czasach częsta praktyka. I Lech, i Jarosław przed zagranicznymi wizytami dokładnie sprawdzali, kto jest przedstawicielem RP na danej placówce, i – gdy nie spodobał im się czyjś życiorys – życzyli sobie nieobecności tej osoby.

Jak to więc się stało, że w roku 2006 Łasiński parzył PiS, a teraz już nie?

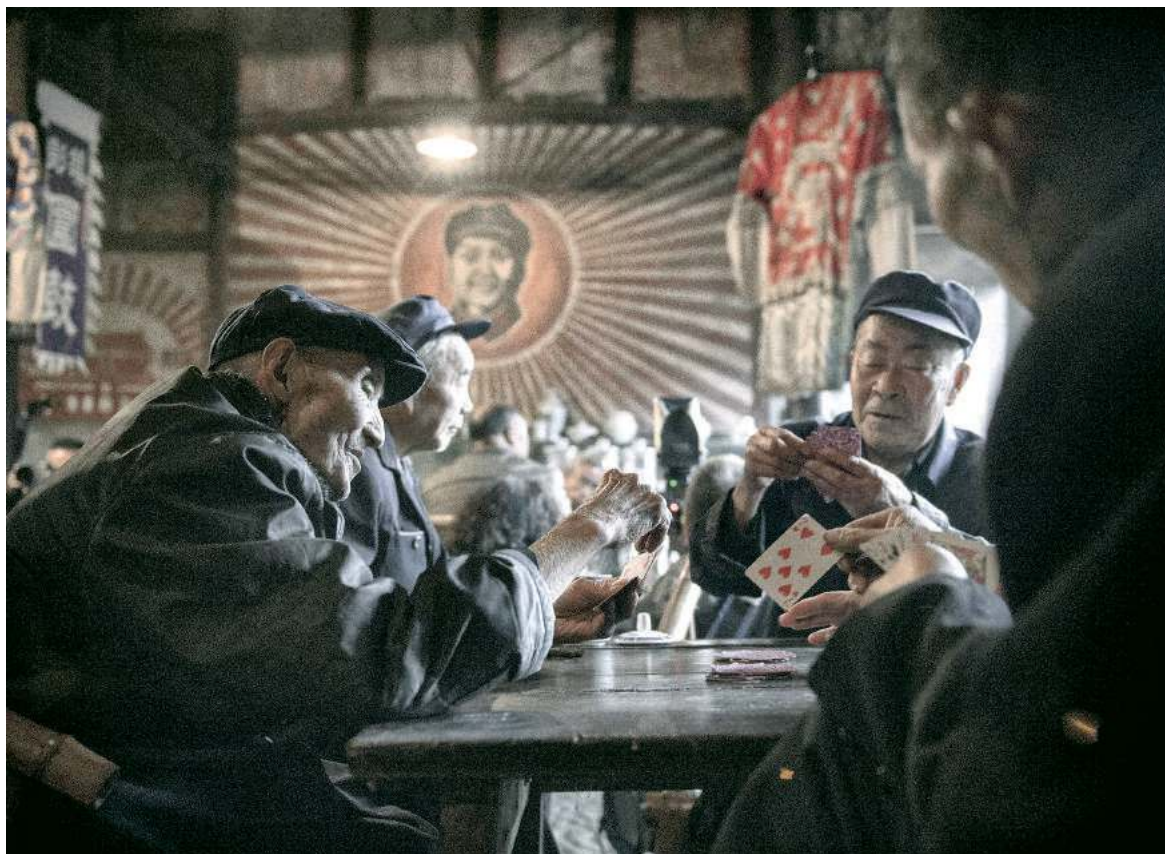
Politycy PO tłumaczą to tym, że był on jednym ze współautorów nowej ustawy o służbie zagranicznej.

Czyli zasłużył się i teraz w nagrodę jedzie do Oslo. Oto sojusz starej, obłej PRL z równie paskudnym PiS, żeby pozbyć się z MSZ fachowców i patriotów z czasów PO – suflują platformersi. A jeden z ich liderów, Andrzej Halicki, dramatycznie pytał Łasińskiego w Sejmie, w jakich służbach specjalnych pracował, czy PRL-owskich, czy rosyjskich. Pytanie było oczywiście bez sensu, bo nawet jakby pracował, to przecież trudno sobie wyobrazić, żeby słysząc Halickiego, nagle się przyznał. Chodziło więc raczej o to, żeby Łasińskiego opluć, niż żeby czegoś się dowiedzieć.

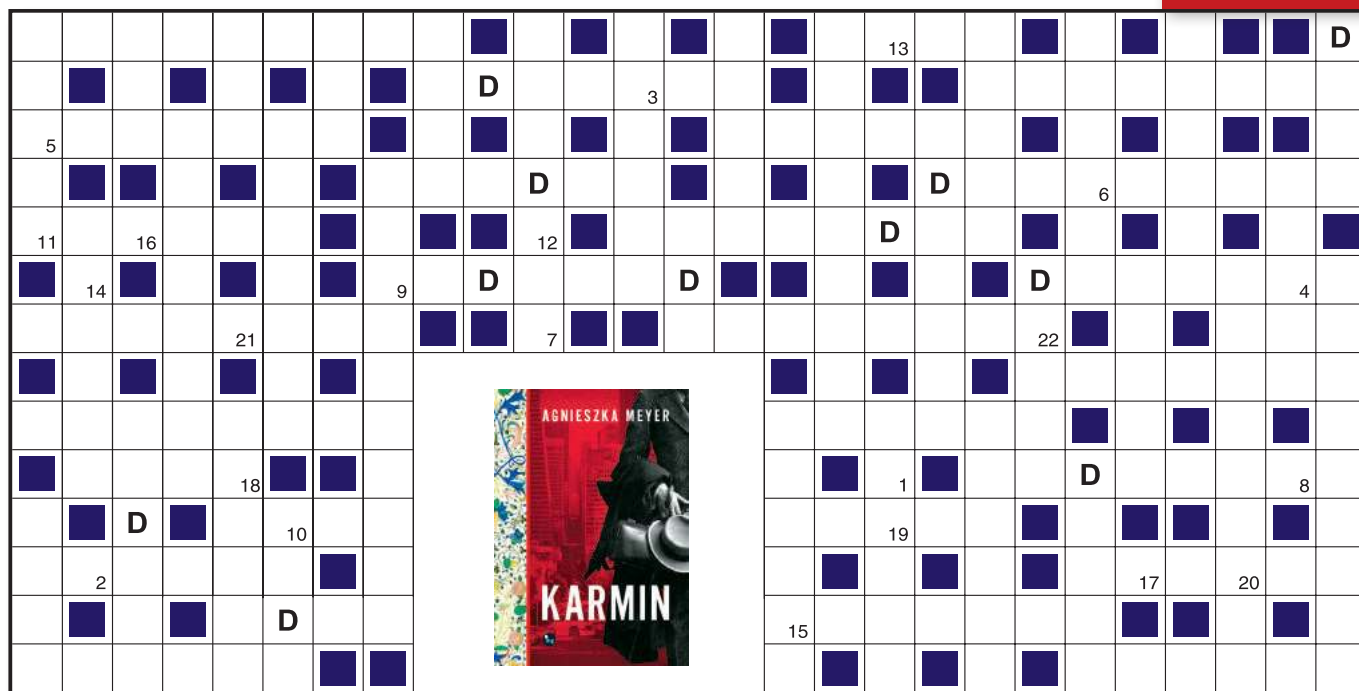
Uff... Owszem, krąży po MSZ plotka, że nowa ustawa ma kilka pięt. Że, po pierwsze, pozwoli PiS wywalić z alei Szucha wszystkich platformersów. Po drugie, że przy okazji jedna służba chce załatwić drugą, więc nie ma co się podniecać, służby w MSZ zawsze były, są i będą... A po trzecie, to wielkiego żalu nie ma, bo ci, co będą w najbliższym czasie wyrzucani, też swego czasu wyrzucali, i to brutalnie. Za Mellerę odwoływano ambasadorów z placówek w trybie natychmiastowym, co więcej – głośno opowiadając, że ze względu na współpracę ze służbami PRL. Tych upokarzanych nikt nigdy potem nie przeprosił.

Dożyliśmy takich czasów, że raz jedna władza, a raz druga wycierają sobie gęby PRL, kłócą się, kto jej bardziej nie lubi, a jak przyjdzie co do czego, jak trzeba napisać ustawę albo załatwić w świecie jakąś sprawę, to się taszą. Tfu...

Attaché



Zrelaksuj się – tak zatytułował zdjęcie Wong Wai Sun z Malezji, 2. miejsce w kategorii Nagrody krajowe w tegorocznej edycji Sony World Photography Awards.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpowiadających wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- płaci za stałe usługi
- Rusowicz z Niebiesko-Czarnych
- czytał z rodziny jeleniowatych
- sporo ojców unika ich płacenia
- poddane królowej Hipolity
- sztetl ze „Skrzypka na dachu”
- doża Doria lub śpiewak Bocelli
- imię pani kanclerz
- biedrzeniec...
- byk czczony w Memfis
- jedna litera w nią zmienione utajone szyderstwo
- mały samolot sportowy
- kolega Burka i Pimpka
- Nemezis lub Nike
- odebranie np. akredytacji
- matka Perseusza

- niedobór
- polityk Cheney i detektyw Tracy
- kopalnia mała czelkowska
- sklepka
- od niej nazwa sztuki prowadzenia sporów
- zbiór norm postępowania, moralność
- alpejski halny
- krótki, nieskładany nóż
- ugania się za krążkiem po lodzie
- pięcioboistka Dorothea jak święty z Saint-Gilles
- cienka, sucha, kielbasa
- dźwiękowy chaos
- domowe obuwie
- nikt nie wierzył jej przepowiedniom
- organ kierujący siłami bezpieczeństwa ZSRR
- przyprawa do kiszzonej kapusty
- leksykograf Władysław
- i do oczu, i świecowa
- ma partię z 15 w nazwie
- wisior ze zdjęciem
- kwiat ze stawu

- spuszczana na kwintę
- natrętne myśli, mania
- pętla sieci
- kolczasty przysmak Kłapouchego
- płynny miód
- co za mała, proszę pana!
- spodnia warstwa lub muzyczny
- grzyb albo Smigły
- wypowiedź senatora Incitatusa
- dopływ Mozeli i niemiecki land
- zażądała głowy Jana Chrzciciela
- wabiły śpiewem żeglarzy
- fajka wodna
- żużel
- neapolitański taniec ludowy
- czworokąt o dwóch bokach nierównoległych
- z rybem ogonem, dął w muszlę
- decyzja jury
- ruszył przeciw nim Don Kichot
- siła
- okucie do mocowania
- bufor
- zdrobniały toast

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-801”. Do rozlosowania książki „Karmin” ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.801.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 9 kwietnia 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-798” z 19 marca: *Grzeczny ma wytrych do serca.*

Nagrody otrzymują: Zenon Lewiński z Dębina, Józef Pisarek z Piotrkowa Trybunalskiego, Arkadiusz Stępień z Drzewicy.

ĆWICZ UMYŚL, PÓKI CZAS

1. Znajdź dwie identyczne figury.



2. Odczytaj dwa hasła, od pola żółtego do żółtego i od brązowego do brązowego, z różowego skorzystaj dwa razy.



Masz na to pół minuty.

VIVA!

**PROF. JERZY BRALCZYK,
JĘZYKOZNAWCA**

Kiedy Polacy mówią, że są „dumnym narodem”, choć pewnie inne narody też tak o sobie mówią, to dla mnie jest to wyraz pewnej śmieszności, czegoś niedobrego. Nie powiem o sobie „jestem uczciwy”. Dlaczego? Dlatego że to dla mnie jest niewątpliwe. „Polacy są dumnym narodem”, to znaczy, że kark może być zgięty. To jest podobne do dawnego „Polak potrafi”. Czy ktoś wyobraża sobie hasło „Japończyk potrafi”? Przecież to oczywiste, że potrafi, więc po co to mówić?! A u nas? Patrzcie, Polak, a potrafi, Polak, a dumny. Tak samo „wstanie z kolan” bardziej opowiada o tym, że klęczeliśmy pohańbieni.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**MAŁGORZATA SZEJNERT,
REPORTERKA**

Z badań socjologicznych wynika, że poziom zaufania do ludzi i instytucji jest w społeczeństwie polskim dramatycznie niski. Zaufanie do polityków w skali od 1 do 10 w Danii wynosi 8, a w Polsce 2,21. Ufa się tylko rodzinie i bliskim sąsiadom. Żeby się zdecydować na wyjście do kasyna, Polak musiałby wiedzieć, że akurat tego wieczoru krupierem będzie jego znajomek. Inaczej nie uwierzy, że przegrał w wyniku nieszczęśliwego zrzędzenia losu. Wszystko, co się dziś u nas dzieje, idzie na przekór zaufaniu. Nie pamiętam innego takiego okresu, w którym miałam poczucie, że już nikt nikomu nie ufa.

**TYGODNIK
ANGORA**

**HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA**

Poset ziemi wrocławskiej Zboniowski z PiS to maczo znany od lat z rozróby cypryjskiej, gdzie meleksem zdemolował po pijaku jakiś hotel. Mimo że ostentacyjnie bogobojny, jak zresztą każdy w PiS, poset znęcał się nad małżonką, cudzołożył, mataczył, kradł i kłamał. Do tego łął kobietę, a zapłodnioną namawiał do aborcji. Sześć razy szedł poset w pielgrzymce do Częstochowy, a gdy czas mu nie pozwolił na udział w kolejnej, jakże tego publicznie żałował...

POLSKA

**PROF. JERZY
MATYJASEK, FIZYK
TEORETYCZNY**

Komunikacja międzygwiazdowa to bardzo poważny problem. Człowiek nie może podróżować z prędkością światła, więc komunikacja w obie strony zajęłaby więcej niż 80 lat. Być może jest szansa, żeby tę drogę skrócić. Wielki fizyk amerykański prof. Kip Thorne znalazł rozwiązanie teorii Einsteina. To rozwiązanie pozwala na szybkie przechodzenie z miejsca do miejsca, które bez skorystania z tunelu czasoprzestrzennego zajęłoby nam wiele miliardów lat świetlnych. Te rozwiązania są niewątpliwie nietypowe. Być może za 2 tys. lat potomkowie będą się z nas śmiali, że podróżowaliśmy raketami.

Aby język giętki...

**KS. STANISŁAW WALCZAK
O POLSKIM KOŚCIELE**

To kulawy Kościół. Mamy w Polsce powrót pogaństwa.

DANIEL PASSENT PROTESTUJE

Przeciwko przyjęciu króla Polski Jarosława Kaczyńskiego przez premier Theresę May, a nie przez królową Elżbietę II.

PROF. MARCIN KRÓL O WINIE ZA ZŁO

Dopuszciliśmy do kłamstwa, pogardy, mowy nienawiści przez bierność, nieuctwo i lenistwo.

**MAŁGORZATA WASSERMANN
O WALDEMARZE PAWLAKU**

Gdy go przesłuchiwaaliśmy, stopień nieścisłości jego języka był ogromny.

**KUBA WOJEWÓDZKI
O „SUPER EXPRESSIE”**

Różnica między dziennikarzem a dziennikarzem „SE” jest jak różnica między pracą w telewizji a kupieniem telewizora.

BEATA BOCHIŃSKA O DIZAJNIE

Starsi mają skojarzenia z PRL. A młodszy widzą po prostu dobry projekt.

**ROBERT GAWLIŃSKI
O PIOSENCE „BAŚKA”**

Są dziennikarze muzyczni, dla których „Baśka” jest niewybaczalna. Ale kupię sobie za nią dom.

MAGDALENA CIELECKA O WYGLĄDZIE

Jestem zadowolona z mojej powłoki. Chociaż chwilami wolalabym mieć czarne, kręcone włosy i śniadą cerę.

**SZCZEPAN TWARDOCH
O BYCIU ŚLĄZAKIEM**

To nie jest mój zawód czy funkcja, tylko mój etos.

ADAM MAŁYSZ O SNACH

Czasami śniło mi się, że przeskakuję skocznię w Wiśle i ląduję w centrum miasta.

**URSZULA I TOMASZ KUJAWSKI
O NAŁOGACH**

Nie wiem, jakim cudem udało nam się wyjść na prostą. Nie tylko mnie dopadły uzależnienia. Ona sprytnie się ukrywała.

**MARCELINA ZAWADZKA
O WYGLĄDZIE PARTNERA**

Nawet wzrost nie ma znaczenia. Przy moich 180 cm i szpilkach, które lubię nosić, rzadko który facet jest wyższy.



Fotka z przyszłą Miss Camel? King Abdulaziz Camel Festival to konkurs piękności wielbłądów, z nagrodami w wysokości 30 mln dol.

Nie wiadomo, co bardziej boli – strata punktu czy... Vanessa James i Morgan Cipres (Francja) oraz Ksenia Stołbowa i Fiodor Klimow (Rosja). Mistrzostwa Świata w Łyżwiarstwie Figurowym w Helsinkach.

MEMY BEZ ŚCIEMY



ŚWIAT SIĘ KRĘCI

SŁODKI I ZDROWY

Moda na miejskie pasieki dotarła do Polski parę lat temu i stała się dla firm doskonałym narzędziem kreowania pozytywnego wizerunku. Jednak ostatnio podniesiona została kwestia bezpieczeństwa miodu produkowanego w pasiekach na dachach biurowców czy centrów handlowych – zwłaszcza obecności w nim metali ciężkich czy pestycydów. Przeprowadzone badania pokazały jednak, że miód z warszawskich pasiek jest w wielu przypadkach mniej zanieczyszczony niż tradycyjny miód ze wsi. Głównie dlatego, że zieleń miejska jest mniej skażona przez środki ochrony roślin.

W TROSCE O KLIENTÓW

W Japonii wraz ze wzrostem liczby wypadków powodowanych przez starszych kierowców pojawiają się inicjatywy, które mają skusić seniorów do dobrowolnego oddawania prawa jazdy. Na przykład dom pogrzebowy Heiankaku z prefektury Aichi w środkowej Japonii oferuje 15-procentową zniżkę tym, którzy przedstawiają policyjne zaświadczenie o oddaniu dokumentu. Dzięki temu mogą zaoszczędzić nawet 450 tys. jenów (ponad 3,7 tys. euro) na własnym pogrzebie lub ceremonii bliskich.



TRZY DNI NA BÓL

Włoski parlament dyskutuje nad wprowadzeniem płatnego, dodatkowego urlopu dla kobiet, które cierpią na bolesne miesiączki. Kobieta miałaby wtedy prawo do trzech dni wolnych od pracy co miesiąc pod warunkiem przedstawienia zwolnienia lekarskiego. Takie rozwiązania praktykowane są już w Korei Południowej, Japonii czy na Tajwanie. Pytanie tylko, czy urlop „miesiączkowy” nie będzie powodem dyskryminowania kobiet jako kandydatek do pracy.

DRON DLA PSA

Niedawno firma IBM złożyła wniosek o przyznanie patentu na drona, który może być wykorzystywany jako mechaniczny opiekun psa. Będzie on wyposażony w system wykrywania szczenia i zmian temperatury. Ma też reagować na nietypowe zachowania zwierzęcia, karmić go, zabawiać i mówić do niego prostymi komunikatami. Czy niedługo pies będzie tylko pretekstem do posiadania kolejnej elektronicznej zabawki?

Satyrzycy, do dzieła!

34. Ogólnopolski Turniej Małych Form Satyrycznych Bogatynia 2017

UWAGA! ZMIANA TERMINU KONCERTU FINAŁOWEGO!
9 września 2017 r., Bogatynia



Turniej będzie rozgrywany w trzech kategoriach konkursowych: autorski tekst satyryczny, satyryczna prezentacja sceniczna (konkurs główny) i rysunek satyryczny. Do udziału w konkursach zapraszamy osoby pełnoletnie.

- Tekst satyryczny należy przesłać do Programu III Polskiego Radia, ul. Myśliwiecka 3/5/7, 00-977 Warszawa, **do 10 maja 2017 r.**
- Rysunek satyryczny należy przesłać do Stowarzyszenia Turnieju MFS, ul. Pocztowa 2, 59-920 Bogatynia, **do 10 maja 2017 r.**
- Krótką prezentację sceniczną (w formie multimedialnej) należy przesłać do Programu III Polskiego Radia, ul. Myśliwiecka 3/5/7, 00-977 Warszawa, **do 10 maja 2017 r.** Kwalifikacje odbędą się na podstawie nagrań.

Nagrodą główną najstarszego i znanego konkursu jest tytuł Króla Łgarzy w roku 2017. Przewidziano też nagrody finansowe (pula nagród wynosi 14 tys. zł).

Szczegółowe informacje dotyczące regulaminu konkursów oraz kartę zgłoszeń można znaleźć na stronie internetowej www.turniej.com.pl i pod nr. tel. 664 394 272

ZAPRASZAMY Z UŚMIECHEM

Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych w Bogatyni

„PRZEGLĄD” NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC
Warszawa 101 FM
DAB+

RADIO PARADA
96.00 FM
Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYŚŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. a, d
2. Charaktery z natury złe nie zmieniają się. Kto nie czyni zła, jest z natury bogiem.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 **wew.** 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
redakcja@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

REDAGUJE KOLEGIUM

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego

– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz,
Bartosz Machalica, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osinski (Berlin),
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk

Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczynska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Socawa (Katowice)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma,
Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Agnieszka Szesko

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:**

Leopold Dzikowski, Krzysztof Zuczkowski

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

p.o. Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie
artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi,
al. Piłsudskiego 82

Prenumeratę krajową od dowolnego numeru można
zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu”.
Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł,
kwartalna – 70 zł

Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden
kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka,
Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł.
Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną
na konto Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.

Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl**. Pytania prosimy kierować
na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do
Centrum Obsługi Klienta „RUCH” tel.: +48 (22)
693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze
w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny

brand design & promotion
ARTREPUBLICA

Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu”
Fundacja Oratio Recta

KOD SWIFT: WBPPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

TANIEJ SZCZEPIĆ, NIŻ LECZYĆ

Rząd Australii zdecydował, że rodzice, którzy nie szczepią dzieci, stracą zasiłek rządowy, którego wartość szacowana jest na kilka tysięcy dolarów australijskich. Odebrana im zostanie także rodzinna ulga podatkowa, która wynosi 726 dol. na dziecko i jest wypłacana na koniec roku podatkowego. Teraz otrzymają ją wyłącznie ci opiekunowie, których potomstwo zostanie poddane szczepieniom w pierwszym, drugim i piątym roku życia. Ta finansowa zachęta do szczepień obowiązuje już od 2012 r., ale dotychczas nie obejmowała osób, które formalnie zarejestrowały się ja-

ko przeciwnicy szczepień. Zgodnie z najnowszymi decyzjami i ta grupa pozbawiona zostanie zasiłków.

LEGGINSY NIE DO SAMOLOTU

Amerykańskie linie lotnicze United Airlines zakazały grupie dziewcząt lecieć z Denver do Minneapolis, gdyż miały na sobie legginsy. W pierwszej chwili informacja wydaje się nieprawdopodobna, jednak dziewczęta korzystały ze specjalnych biletów dla pracowników linii lub ich gości, przez co przewoźnik mógł powołać się na *dress code*. Trzy pasażerki przebrały się, jednak dwie nie miały się w co ubrać i nie poleciały.





Piotr Szczur, Czerwone słońce

Jan Szczepkowski, Nocte



**FUNDACJA
2WYMIARY**

BWA Sanok
ul. Rynek 14
do 21 kwietnia

We wnętrzach sanockiego BWA prezentowane są płótna pięciorga artystów, dla których natura i przyroda stanowią ważny punkt odniesienia w twórczości malarskiej. W obrazach Pauliny Karpowicz, Moniki Marchewki, Wojciecha Pietrasza, Jana Szczepkowskiego i Piotra Szczura odnajdziemy bardzo odmienne, niezwykle osobiste wizje tego, czym jest natura i kim wobec niej jesteśmy. Wystawa zorganizowana dzięki Fundacji Promocji Artystów Malarzy Polskich 2 Wymiary.

NEOROMANTYCY WOBEC NATURY

Im dalej w las



Jan Szczepkowski, Pokój antyczny

MARCIN DOROCIŃSKI JAKIEGO NIE ZNACIE



GDY ZABÓJSTWO JEST TAŃSZE NIŻ ROZWÓD...

MAŁŻEŃSKIE PORACHUNKI

7 IV 2017



GAZETA.PL

MY COMPANY

ROOM

FILM

STRÓER



DEMOTYWATORY.PL

T3

K
MAG

STRÓER

cojesigrane24

TWÓRCY „HOLIDAY” I „CZEGO PRAGNĄ KOBIETY” PRZEDSTAWIAJĄ



BEL POWLEY GABRIEL BYRNE COLIN O'DONOGHUE WILLIAM MOSELEY

Carrie Pilby

6 KROKÓW DO SZCZĘŚCIA

MAYFLY WRAZ Z RADIANT FILMS INTERNATIONAL PRZEDSTAWIAJĄ FILM PRODUKCJI BRAVEART / SMF / STOREFRONT PICTURES
„CARRIE PILBY” WYSTĘPUJĄ BEL POWLEY, VANESSA BAYER, COLIN O'DONOGHUE, WILLIAM MOSELEY, JASON RITTER ORAZ
GABRIEL BYRNE I NATHAN LANE CASTING SIG DE MIGUEL I STEPHEN VINCENT KIEROWNIK MUZYCZNY GARY CALAMAR MUZYKA MICHAEL PENN
ROSTIUMY LESLIE YARMO MONTAŻ PHILLIP J. BARTELL SCENOGRAFIA CURT BEECH ZDJĘCIA GONZALO AMAT KOPRODUCENT PER MELITA
PRODUKCJENI WYKONAWCZY TERI SIMPSON, ELAINE HARRIS, EDITH MYERS, NICK QUESTED PRODUCENT LISA WOŁOFSKY
WYPRODUKOWANY PRZES SUZANNE FARWELL P.G.A., SUSAN JOHNSON P.G.A., SUSAN CARTSONIS P.G.A., BRENT EMERY P.G.A.
FILM OPARTY NA KSIĄŻCE CAREN LISSNER SCENARIUSZ KARA HOLDEN REŻYSERIA SUSAN JOHNSON

©2016 CARRIE PILBY PRODUCTIONS, LLC. ALL RIGHTS RESERVED.

W KINACH OD 7 KWIETNIA

empik.com



HarperCollins

FILM

MOVIES ROOM

diastudenta.pl

filmosfera



FILM.ORG.PL

Oh!me

Obcasz

eprasa.pl 920b8dde18